

Zapolska Gabriela

NOWELE

Tom I V

FANTAZYE I DROBNOSTKI

„Le coeur malgre son abandon...
jamais n'oublie!"

Odłożyć trzeba pióro. Mrok zapada i owija szarą siatką cieniów wszystko, co się dokoła mnie znajduje. Wszystko szarzeje... a pod oknami tłumy ludzi zlewają się w jedne ciemniejącą strugę, poruszającą się bezustanku. Nad dachami domów niebo szare, ołowiane, ciężkie — sypie na ziemię drobny miał deszczu, który, zmieszany z węglem, unoszącym się w powietrzu, opada na chodniki w postaci czarnego, tłustego błota. Ciężko oddychać, smutno patrzeć; lecz mimo to coś od światła odtrąca i w szarych tych cieniach zagrzebać się każe!...

Napróżno człowiek przez dzień cały pancierz obojętności na piersi swej zaciska! napróżno, wzruszając ramionami, mówi: „silniejszy jestem nad... to wszystko;" napróżno całą siłą woli przytłumia w sobie gorętsze serca bicie i stara się wmówić w siebie, że to, co umarło, nie zmartwychwstanie. Napróżno!... Razem ze słońca promieniem pancierz w mgłę się rozwiewa—i o tej szarej, biednej godzinie, która jak kopciuszek wolno się przekrada, ginie cała buta, a lód, którym się obłożyć chcemy, topnieje...

Serce zaczyna bić żywiej, głowa mimowoli pragnie oparcia, oko mgłą się zasnuwa i czegoś w tej ciemnicy szuka... szuka.,.

I coś w mogile budzić się zaczyna, w tej mogile, którą z nas każdy ma w sobie. Bo serce ludzkie to jeden wielki cmentarz. Od urodzenia wznoszą się tam mogiłki, czasem biedne, sieroce, opuszczone i smutne,—czasem strojne w koronkowe mauzolea i pełne świeżej woni fijołków wiośnianych. Cmentarz ten sercowy śpi w ciszy pod promieniem słońca lub w odblasku gazu. I tylko o szarej godzinie groby zaczynają się ożywiać—i z pod mogiłek, odgarniając zeschłe

już liście lub świeże kwiaty, wstają marylki wybladłe, ażeby w szarych cieniach znikającego dnia wieść powolny, cichy taniec dusz pokutujących... I człowiek, który dzień cały liczył cyfry, lub starał się być oszustem—i kobieta, która uśmiech swój ważyła na szali, a spojrzenia miała tylko dla pereł lub szafirów — czują, że w sercach ich coś się porusza, przemocą ożywia, zmartwychwstaje. Napróżno chwytają notatki i przy blasku znikającego dnia kreślą cyfry z pośpiechem:—szary woal tęsknoty wzrok im zasłania. W oddali dźwięczy stara, ośmieszona piosenka; notatki z rąk wypadają...

Serce ludzkie to wielki cmentarz!...

Ci, którzy w życiu pozują na ludzi z kamiennymi sercami, mówią, że o wszystkim zapomnieć można.

Kłamstwo!

Jakże zapomnieć można chwil łzami i krwią w księdze życia znaczonych?

Jakże zapomnieć dni, w których dusza rwała się na strzępy, a serce zdawało się być jedną wielką raną? Jakże zapomnieć znów uśmiechu losu, uśmiechu przelotnego, wiodącego za sobą rozpacz

bezdenną? Jak zapomnieć radości godzinnej, którą się opłacało latami cierpienia? I jakże z pamięci wymazać kroplę rozkoszy, tonącą w morzu goryczy, lub zjawisko promienne, krepą żałoby przyćmione?... Los—toć wierzyciel nieubłagany. Nic darmo ci nie da! wszystko płacić musisz, i to natychmiast, bez zwłoki. Za promień słoneczny zapłacisz nocą bezsenną; a jeśli dłoń losu kwiat ci poda, to tylko po to, aby go złożyć na darniowej mogile!

Zapomnieć?...

Letejska woda dawno już wyschła,— a czas* ten lekarz wielkoskrzydły, zamiast leczyć rany, tylko je rozkrwawia.

Niema zapomnienia!

Jest tylko... wspomnienie!

Wspomnienie!...

O ty smutna maro, w pajęczą tkankę tęsknoty spowita! Ty, zbrojna w skalpel, nad sercem ludzkim się pochylasz i z pod gruzów i popiołów szkielety dobywasz!... szkielety, wlokące za sobą obrazy chwil dawno przebytych, które jak cierń w mózg wrastają i wyrwać ich niepodobna, bo razem z niemi

i życieby z piersi ulecieć musiało! A wszystko pod dotknięciem twój dłoni ożywa, i, jak pieśń powracająca z oddali, echem się w sercu odzywa. I widzi się ból i uśmiechy, i to, co stanowiło dumę życia, i to, co stanowi hańbę i poniżenie... I zpośród mgieł szarych przebijają się zwolna ku nam twarze ukochane, spowite w całun grobowy, niosące z sobą woń trupią, a przecież ciągle drogie!.. ciągle sercu miłe!... I odpychając to, co nas otacza, co w tej chwili się ku nam uśmiecha— wyciągamy ręce w stronę

tych mar serdecznych, które z drugiej strony grobu stoją smutne, jakby skarżąc się na swoje opuszczenie...

Lecz pomiędzy nimi i nami staje twoja wysmukła postać, o smutna maro! i szata twoja z mgieł utkana, jak żelazna zaporą, dzieli nas od tych istot, zda się umarłych, a przecież żywych, których źrenice, szkląc się trupio, grzeją nam zziębłe serca i życie w stygnące dusze wlewają!

W fałdach twej szaty, snującej się cicho wśród grobów i ruin —jak głos szklanej harmoniki płacze się jedno słowo, które przy ka

źdej mogile dźwięczy z przejasną czystością w powietrzu.

Słowo to krótkie, lecz jak pchnięcie noża straszne, jak iskra palące; tem słowem:

— „Pamiętasz?...”

Napozór, jak fragment niedokończonej piosenki, snuje się dokoła ciebie...

Pamiętasz tę i tę chwilę? pamiętasz tę melodyę? pamiętasz dźwięk tego głosu? Lecz ile ci ran serdecznych to słowo w głębi duszy otworzy... o! wiesz o tem tylko ty sam, nędzny robaku, taczkę życia pchający, a tak szumnie... „człowiekiem” przewany. I gdybyś posiadał wszystką wiedzę ziemską, gdybyś w skarbach Golkondy brodził, gdyby miłość najpiękniejsze kwiaty rzucała ci pod stopy—to jeszcze o szarym zmroku posłyszysz dokoła siebie słowo, które zabije woń kwiatów, zaćmi blask drogich kamieni, zniszczy dumę z nabytej wiedzy.

— „Pamiętasz?...”

I jakieś śmieszne, a mimo to rzewne, dziecinne, a przecież już dojrzałe wspomnienie przyplącze się do ciebie, wgryzając się w duszę twoją. I ujrysz się wtedy marnem, bezsilnem stworzeniem, drżącym przed wskrzeszoną mara i powtarzającym jedno słowo, dźwięczące w przestrzeni:

— „Pamiętasz?...”

Ci, którzy pamiętać nie chcą, ci pamiętają najlepiej! Ach! wszyscy muszą pamiętać, czy to w purpurę spowici, czy nagłem ciałem przez łachman błyskający. I Chrystyan, król duński—konał, dręcząc się wspomnieniem lat swoich dziecinnych; i biedna wyrobnica, patrząc na pustą kołyskę zmarłej córeczki, pyta męża:

— "Pamiętasz?"

A on potrząsa głową, jakby chciał zaprzeczyć— jakby chciał odpowiedzieć: „Nie, nic nie pamiętam! dawno zapomniałem!...”

A jednak... pierś pod grubą bluzą podnosi się westchnieniem, ręka od pracy zgrubiała drży nerwowo i przed oczyma tego, który „dawno zapomniał”—wśród prątków kołyski bieleje drobna postać dziewczeczki, która, klęcząc w długiej koszulce, wśród białych poduszek—wpółsennym głosem odmawia modlitwę wieczorną.

A on, ten człowiek zda się ze spiżu odlany, który żywi się własnym potem i, krwawiąc swe dłonie bez jęku, chleb powszedni zdobywa—ociera ukradkiem łzy, srebrzące się pod powieką, i wciąż odpowiada:

— „Dawno zapomniałem!”

Czasem dwoje ludzi stanie naprzeciw siebie, dwoje ludzi—mężczyzna i kobieta,—którzy lata całe nie widzieli się i przeżyli zdala od siebie.

Ludzie ci stoją i patrzą na siebie, a pomiędzy nimi mara spowita w pajęczą tkanę tęsknoty zwolna się kołysze, nucąc cichą piosnkę miłosną, której każda strofka zaczyna się od słówka: „Pamiętasz?”

A oni —zapatrzeni w siebie, żyją cali przeszłością, tą przeszłością, która ich w objęcia sobie rzucała, otaczając wieńcem snów promiennych i marzeń o... wspólnej przyszłości.

Los kazał im się rozejść, tym dwojgu, którzy duszę sobie z ust wypijali i chwilami zdawali się istnieć tylko dla siebie; na świata krańce poszli oboje po inne życie i inne uczucia, i zdawało się im, że to wszystko zagasło, zamarło i będą się mogli oboje zejść kiedyś spokojnie, łącząc w ściśnięciu dłonie.

A jednak... stoją teraz naprzeciw siebie, milcząc, i ręce im opadają bezsilne, a pomiędzy nimi, jak nuta harmoniki szklanej, brzmi ciągle słowo:

— „Pamiętasz?...”

Często na ruinie własnych marzeń i pragnień stanie człowiek smutkiem złamany i powoli, powoli grzebać wśród gruzów tych zaczął. I sam ranił się dobrowolnie, dotykając tych kolumn podruzgotanych, które on w pocie czoła wznosił w górę, pragnąc z nich uczynić podstawę i rozpostrzeć na nich dach, pod który chroniłby się w chwili burzy lub słoty życia. I liczy, liczy ciągle, ile lat, tych najpiękniejszych, poświęcił złudzeniom,—ile czasu oddał marzeniom o dojściu do tego, co ludzie przywykli nazywać... doskonałym szczęściem. Każda kolumna strzaskana to jedno złudzenie w pył rozwiane, to skaza na duszy, która, jak brylant, bez skazy była i taką zostać pragnęła. Każda kolumna to ołtarz jakiegoś bóstwa, które się czcić chciało i w czci tej czerpać potęgę do walki. Lecz... bóstwo w proch się rozpadło i ołtarz runął, wydzierając z młodego serca jedno wierzenie więcej, niwecząc jeszcze jedno złudzenie. I powoli nic nie pozostaje! nic. czemubymy bezwzględnie ufać można; a przecież... człowiek w chwili ostatecznego zwątpienia do ruin się zwraca i z tych ruin jeszcze coś odszukać pragnie.

I czasem... dłoń samobójcza opadnie, bo pośród zgliszczy i zwalisk nagle błękitny, drobny kwiat zakwitnie, a kwiatem tym... „wspomnienie!...”
Więc ty nietylko łzę i tęsknotę dźwigasz na swych skrzydłach, ty współsenna maro, która o szarej godzinie wpośród nas przebywasz?—Jak strumień wody, jak promień słońca, tak obecność twoja i rozmarzenie, w jakie nas wprowadzasz, konieczne jest dla dusz naszych, zbiedzonych, starganych walką o chleb powszedni! I choć nam dusze ranisz bezlitośnie, ukazując minione bezpowrotnie chwile, toć przecież my czekamy na ciebie, drząc, gdy się zbliżasz, wsłuchując się w krystaliczny dźwięk twego głosu, kryjąc twarz łzami zalaną w fałdy sukni twojej!... W okrucieństwie swoim, targając nam bez litości zbolące serca, dodajesz siły do życia i teraźniejszość dozwalasz zamienić chwilowo w przeszłość ukochaną! Gdyby nie ty, nie mielibyśmy łez dobrych, które nie boją,—poeci by milczeli, a pieśń tęsknoty pełna nie brzmiałaby w powietrzu!

Światło cię płoszy... zmrok wieczorny jedynie owija postać twoją! Lecz z szarej sukni twojej bije blask natchnienia, blask świetlany, promienny!... Choć obecność twoja mogiły otwiera—nie znikaj! pozostań dłużej, siejąc łzy i tęsknotę... Łzy te smutek ukoją; tęsknota... bunt duszy przytłumi!

ZNAK ZAPYTANIA.
OBRAZEK Z ŻYCIA.

La voila! la voila! — zachichotała moja sąsiadka.

Spojrzałem w kierunku, w którym pobiegły figlarne oczy hrabianki, i wśród tłumu gości spostrzegłem dwie świeżo przybyłe kobiety, witające się z gospodynią domu.

Ta ostatnia stała na środku salonu, piękna, z olśniewająco białymi ramionami, wychylającymi się z czarnej jedwabnej sukni. Cała kaskada światła spływała z kryształowego pająka, dźwigającego setki świec, i dopomagała wystąpić na jaw wszystkim wdziękom tój zachwycającej blondynki.

Jeśli jednak gorące światło służy do upiększania tego, co jest rzeczywiście pięknem, oddaje wręcz przeciwną przysługę brzydocie, lub, co gorsza, brakom wszelkiego rodzaju.

Jasne światło balowe służy tylko młodym i zachwycającym kobietom, brzydkie winny

go stanowczo unikać — krzywdzi je bezlitośnie, wyjawiając z szyderczą dokładnością wszystkie braki, czy wrodzone, czy przez czas sprawione.

Dwie damy, witające się z gospodynią domu, powinny były uciec czempredzey z pod zdradliwej kaskady światła, która z góry spływała. Ramiona ich nie stworzone były do kapania się w złotych blaskach... Były brzydkie, choć każda miała odrębny typ brzydoty. Były to widocznie matka i córka. Jakaś air de familie—to coś nieokreślonego, co bije zawsze z rysów osób, należących do siebie przez związki krwi, uderzało na pierwszy rzut oka. Ale różnica była wielka. Matka, kobieta, która dawno przekroczyła pięćdziesiątkę, miała w swej pomarszczonej i zawiędłej twarzy wyraz prawdziwie... lichom le mol—małpi. Czarne oczy, niewielkie, biegały po obecnych dziwnie świderkowato, złośliwie, wyzywająco. Trzymała się prosto i sztywno w swej aksamitnej bordo sukni, trochę wytartej i zniszczonej — a kosztowna koronkowa zarzutka, okrywająca niedostatecznie chude i zczerniałe ramiona, miała niejedne, choć starannie ukrywaną cere.

Przyprawny, zrudziały szynion różnił się kolorem od reszty włosów, które dziwnym trafem zachowała czarne i lśniące. Wyglądała jak walące się i popękane domostwo, pokryte nową dachówką — wogóle sprawiała dziwne wrażenie.

Mówiła dużo, przymilając się i ściskając serdecznie piękną rękę gospodyni; pomimo gwaru, panującego w salonach, słyhać było jej głos krzykliwy, dominujący nad wszystkimi...

Usunięta trochę na bok, stała córka, wysoka, chuda panna, trzymająca się dziwnie pochyło, tak, że deka piersiowa formalnie była wklęsła, a plecy zaokrąślały się i lśniły migotliwym blaskiem...

Była brunetką, jak matka; włosy jej, uczesane wysoko, stanowiły główną ozdobę całej jej osoby. Wysoka fryzura odsłaniała chudą, białą szyję—dziwnie białą, jak na szyję brunetki. Ciemna fioletowa aksamitka okalała ją dokoła, wiążąc się na boku w kokardę.

Ramiona biedne, chude, delikatne, wystawały z białej faille toalety, obrzuconej iluzją i podpinanej bratkami. Wszystko było świeże, eleganckie, gustowne. Widocznie matka dbała więcej o córkę, niż o siebie.

Oczu tej panny dostrzedz nie mogłem. Trzymała je uparcie spuszczone, a zresztą cała głowa była tak na piersi niżona, że podbródek dotykał się formalnie wychudłej deki piersiowej.

Była tak przezroczyście chudą niemal, jak iluzja, otaczająca jej ramiona.

— Patrz, m'amour —szczebiotała hrabianka Elzia do swój przyjaciółki Mizi, —jak „znak zapytania” dziś przystroił się w bratki.

— Wyraźnie chce powiedzieć a ces messieurs... pensez a moi!..

— Oh, to się na nic nie zda; będzie to, co zawsze; Stenia już niema, aby nas zabawił. Cest dommage!

I ładniuchna hrabianeczka, wyjąwszy z kieszonki maluchne zwierciadełko przeglądać się w niem zaczęła.

— Czy nie będzie niedyskrecją zapytać— zwróciłem się do Elzi, —kogo panie nazywacie „znakiem zapytania?”

Panienki spojrzały po sobie.

— Decidement!.. pan spadasz z nieba!—odparła Mizia.

— Nie dziwcie się, piękne panie; je mens d'arriver... nie jestem wtajemniczony w wasze miluchne tajemnice.

— Oh! to nie tajemnica, tout le monde le sait, że Władzia się nazywa „znakiem zapyta

nia" —odpowiedziała wreszcie Elzia, powstając szybko z krzeselka. — Ależ... — zacząłem, lecz nie dokończyłem zdania. Obie panienki pofrunęły na środek sali i tylko delikatny szmer jedwabnej gazy i mocniejszy zapach Corylopsis'u świadczył o odlocie tych upudrowanych aniołków.

Nadeszły właśnie księżniczki Hohenschuhe, przybyłe z Wiednia wraz z ojczymem, głównie komenderującym wojskami, do Krakowa...

Z Wiednia do Krakowa!

Biedne księżniczki Hohenschuhe musiały się nudzić śmiertelnie. Wątpię, czy nawet serdeczna przyjaźń Mizi i Elzi zdołała osłodzić im pobyt w małej mieścinie.

Bądźcobądź, ja zostałem poinformowany bardzo niedokładnie co do owej Władzi i „znaku zapytania," a obok mnie zrobiły się dwa puste miejsca. Niedługo jednak byłem osamotniony. Z tłumu kobiet i mężczyzn, cisnących się dokoła księżniczek, wydostały się dwie postacie kobiece i skierowały ku mnie.

Były to te same dwie damy, które niedawno tak niefortunnie zaprezentowały się moim oczom pod olśniewającym blaskiem

Matka szła naprzód, podnosząc śmiesznie końcami atłasowych bordo pantofli brzeg sukni. Zbliżywszy się do próżnych krzeseł, wyjęła z za paska inkrustowaną lornetkę i, przyjrawszy się uważnie pustym miejscom, zawołała na córkę:

— Władzia! plaçons nous ici!

Panna zbliżyła się wolno i automatycznie zajęła miejsce bliższe mnie, tak, że, siadając, dotknęła mnie swym spiczastym łokciem.

— Pardon, monsieur!—wyszepnęła, spoglądając na mnie dziwnie lękliwie.

Przekonałem się wtedy o dwóch rzeczach: Najprzód, że to właśnie moja sąsiadka nazywa się Władzia i nosi śmieszne przezwisko „znaku

zapytania," —a potem, że właśnie tak zwany „znak zapytania" ma przepyszne oczy.

Były to dwa wielkie, czarne dyamenty, oprawne w nadzwyczajnej długości rzęsy. Nieokreślony smutek i tęsknota płynęły z tych źrenic, zawsze prawie w ziemię wpatrzonych. Ogromne, wspaniałe te oczy, osadzone głęboko, raziły prawie w porównaniu z nieregularnością rysów, szerokością ust i wychudzeniem całej postaci.

Oczy te powinny należeć do doskonałej piękności—tak były doskonale piękne i pod względem formy i pod względem wyrazu.

Były to dwie przepaście — smutku i cichej, zrezygnowanej boleści...

Zająły mnie i zastanowiły one...

Zacząłem śledzić uważniej moją sąsiadkę. Ze nazwano ją „znakiem zapytania," nie dziwiłem się wcale. Gdy siedziała tak na brzegu krzesła, wyciągając chude kolana i trzymając się pochyło, rzeczywiście formowała ten znak pisarski, nadużywany przez jednego z więcej znanych felietonistów.

Osoba, która ją tak nazwała, musiała być złośliwą, ale i dowcipną zarazem.

Rzeczywiście, trudno było dobrać lepszego miana na określenie tak pochyło trzymającej się kobiety.

"Wszyscy obecni w salonie byli zajęci świeżo przybyłymi. Panienki cisnęły się do księżniczek z oznakami egzaltowanej i obłudnej przyjaźni, nawet starsze matrony okazywały zbyt wiele uprzejmości, niemal poniżającej, względem tych dwu drobnych o wydatnych biustach Niemek, które, mrużąc impertynencko oczy, przybierały ton i miny cesarzowej podczas recepcji w Burgu.

Ja nie śpieszyłem się wcale ze złożeniem hołdu tym księżniczkom „z krwi," jak o nich mówiono.

W kobiecie imponuje mi tylko albo nadzwyczajna uroda, albo piękność duchowa,

przeświecająca odrazu w spojrzeniu niewieściem.

Księżniczki nie zachwycaly urodą, choć mówiono o nich, że są ravissantes a oczy ich mdłe, niewyraźne, mówiły tylko o Praterfestach i dworskich balach.

Wolałem więc pozostać na mojem krzeselku i obserwować pannę Władzię, której oczy zajęły i zastanowiły mnie odrazu.

Zresztą miałem tu mało znajomych.

Przybywszy ze wsi do Krakowa „na karnawał,” dla zadowolenia jedynie mej matki, która w swej troskliwości wyobrażała sobie, że się nudzę w czterech ścianach mej pustelni, wlokłem swą taczkę karnawałową, zmieniając frak na tużurek, tużurek na frak, stosownie do okoliczności. Znajomości nie zawierałem chętnie. Mam to coś w naturze, które czyni mnie sztywnym wobec osób nieznanych; jestem, przyznaję, bardzo drażliwym na punkcie podawania ręki i wymiany mniej banalnych myśli. Wolałem więc ograniczyć się na kółku dobrych przyjaciół mej matki i bywać tylko w tych domach, w których bywać niejako byłem zmuszony. Zresztą i z tych wieczorów, rautów, obiadów wychodziłem tak, jak ten Jean, qui s'en alla, comme il etait venu" — nigdy niepodra

zniony nawet w swej ciekawości, nie czując nic dla tych ludzi, z którymi spędziłem kilka godzin—ani sympaty, ani antypaty, ani uwielbienia, ani pogardy. Kobiety były piękne, strojne, pachnące, szeleszczące jedwabiem

i dowcipem, ale przeciw tego rodzaju pokusom byłem dostatecznie opancerzony...

W sąsiedniej wiosce, niemal tylko o miedzę, z okien gotyckiego pałacyku wyglądała śliczna rumiana dziewczynka, a oczy jej wielkie, piwne, o złotawych blaskach, biegły z tęsknotą w stronę Krakowa...

Dziewczynkę tę kochałem.

Oto był mój pancerz.

Gdyby Władzia była piękną, nie obserwowałbym ją z taką uwagą; ale „znak zapytania” był brzydki, — tylko jakiś smutek, coś nieokreślonego pociągało mnie ku niej.

Postanowiłem poznać ją bliżej. Tymczasem matka nie próżnowała.

Usiadłszy na krzeselku, ułożyła fałdy aksamitnego trenu, kryjąc starannie jakąś żółtą plamę, świecąca się na ciemnej czerwieni aksamitu. Potem obejrzała toaletę córki, poprawiła niektóre listki aksamitnych kwiatów, obniżyła iluzję, okrywającą jej wychudły biust, i zaczęła lornetować przechodzących.

Właśnie nadciągały księżniczki, otoczone dokoła tłumem „przyjaciółek.” Szły wolno,

powiewając wspaniałymi toaletami z różowej iluzji i wysuwając naprzód strojne w kwiaty gorsy.

Za ich nadejściem matka Władzi porwała się z krzesła, — a uśmiechając się dziwnie, posunęła się ku Niemkom z całym arsenałem komplementów i oświadczeń przyjaznych.

Władzia, pociągnięta przez matkę, postąpiła także kilka kroków w kierunku księżniczek, ale nie wymówiła ani jednego słowa, nie wyciągnęła nawet ręki. Oczy trzymała wlepione w ziemię; rzeczyby można, że poniżająca uprzejmość matki sprawiła jej przykrość.

Podobała mi się ta niema protestacja przeciwko zachowaniu się całego tłumu i uczułem dla Władzi coś nakształt szacunku.

Tymczasem do uszu moich doleciały następujące słowa, wyrzeczone ironicznym męzkim głosem:

— La comtesse Skierka zdaje się być en inlimate z księżniczkami...

— Przynajmniej ma szczere chęci ku temu—odparł drugi głosik, w którym poznałem srebrne tony hrabianki Elzi.

Władzia stała tuż przy mnie; widziałem, jak drgnęła pod wpływem tych słów, jak głowa jej pochyliła się jeszcze niżej na piersi.

Widocznie "la comtesse Skierka" była matką „znaku zapytania."

Dziwni byli ci ludzie, zgromadzeni w tym salonie. Nadawali wszystkim przezwiska!

Przez chwilę miałem ochotę zapytać, jakim mianem mnie ochrzczono. Ale przypomniałem sobie, że mnie koledzy szkolni przewali niegdyś „dyabełkiem."

Wystarczała mi ta jedna nazwa i dlatego nie zainterpelowałem hrabianki Elzi o nową perłę jej dowcipu, mającą jako oprawę moją mizerną osobistość.

Hrabina i Władzia wróciły na swoje miejsca. Księżniczki pociągnęły dalej, jak dwie komety, wlokące za sobą wspaniałą miotłę! ach, pardon!... ogon, czy tren, złożony z osobników samej śmietanki krakowskiego towarzystwa. Hrabina była widocznie wzburzona „nietaktownem" postąpieniem Władzi.

Zacząła więc upominać ją półgłosem:

— Już cię sermonowałam tyle razy, ażebyś dla księżniczki była uprzejmą. Ale ty perzistujesz w uporze. Par quelle raison?

Władzia milczała, tylko ręce jej nerwowo ścisnęły biały atlasowy wachlarz, przy którym wisiał mały karnecik z kości słoniowej do zapisywania tańców.

Milczenie córki zniecierpliwiło hrabinę — zaczęła się stopniowo unosić.

stanowiłem użyć go za pośrednika w przedstawieniu mnie hrabinie i jej córce.

Szybko więc powstałem i oczami wskazałem Leonowi obie damy. On z początku zdawał się nie rozumieć i spojrzał na mnie ze zdziwieniem, prędko przecież opamiętał się i dopełnił formalności, wymieniając moje nazwisko z pretensją mistrza ceremonii.

Hrabina spojrzała na mnie badawczo i z pewnego rodzaju zdziwieniem — nie zauważyła mnie do tej chwili.

Nic dziwnego! Byłem tak małego wzrostu, a przedewszystkiem kryłem się w cieniu wielkiego figusa, nie chcąc przeszkadzać w poufalej rozmowie matki z córką.

Ta ostatnia przecież nie okazała żadnego zdziwienia,—tylko podniósłszy swe lekką siną barwą przysłonięte powieki, spojrzała na mnie z jakimś lęklwym i smutnym wyrazem.

Było to drugie spojrzenie tego wieczoru, jakie z jej oczów spoczęło na mnie, a było tak rzewne, tak pełne jakiejś tajonej boleści, że uczułem dla tej biednej dziewczyny wielką, niezmierną sympatyę.

Skłoniłem się przed nią, prosząc ją do tańca. Lekki rumieniec oblał jej bladą twarz, powstała powoli i bez najmniejszego wdzięku położyła rękę na mojem ramieniu. Objąwszy

jej kibić, zdziwiłem się, że była tak szczupłą. Czułem tylko fiżbiny, stalki i inne mordercze narzędzia, pokryte i zamaskowane białą tkaniną.

Serenada hiszpańska w rytmie walca kołysała kilkanaście par, obracających się pośrodku salonu. Czarne fraki i różnobarwne tkaniny mieszały się razem, łączyły i znów rozbiegały. Zdawało się, że promień słoneczny rozkłada się na barwy tęczowe. Cała gama kolorów mieniła się pod dźwiękami melodyj Metry — melodyj szlachetnie, porywająco namiętych... Nawet Niemki walcowały z temperamentem, a starszej księżniczce krwi błyszczały oczy... Hiszpania, kastaniety, toreadorzy!.. to zdoła i Niemkę rozruszać... Ale moja tancerka obracała się jak automat w moich ramionach, blada jej twarz pobladła jeszcze bardziej, a oczy uparcie spuszczone zdawały się nie widzieć ożywienia, jakie panowało w sali. Tańczyła w dodatku źle, myliła się w tempie i pochylała się w tańcu gorzej jeszcze jak zwykle. Obracając się, dostrzegłem wyraz szyderczy na niektórych twarzach, śmiech przyciszony doleciał mych uszu.

Widocznie wyśmiewano moją tancerkę, a w dodatku i mnie z nią razem. Nie jestem zarozumiałym i nie mam najmniejszej dozy próżności — ale przykro mi było za tę biedną dziewczynę, wystawioną na pośmiewisko i obmowę całego towarzystwa.

Szybko doprowadziłem ją do miejsca i chciałem posadzić na krzeselku, ale ona przez chwilę opierała się na moim ramieniu silniej, a dłoń jej mimowoli ścisnęła kurczowo moją rękę.

Spojrzałem na nią. Była trupio bladą i oddychała z trudnością.

— Pani jesteś cierpiącą?—zapytałem.

— Nic... nic... zawrót głowy... to przeminie—wyszeptała.

Puściła moją rękę i usiadła obok matki. Ja zaś cofnąłem się trochę w głąb sali, aby pozostawić wolne pole innym tancerzom, gdyby ci chcieli

Władzę wprowadzić w taneczne koło.

Lecz nikt się nie zjawiał.

Hrabina Skierka siedziała odosobniona, trzymając ciągle lornetkę przy oczach, lub atakując kogoś z przechodzących. Wszyscy zaczepieni przemawiali słów parę i śpieszyli dalej, nie zwracając najmniejszej uwagi na Władzię.

Ona siedziała znów martwa i nieruchoma, nie patrząc na tłum tańczących. Wtedy dopiero dostrzegłem, jak barbarzyńsko prawie była ściśniętą gorsetem. Była odrażająco cienką w pasie, co ją nie upiększało bynajmniej. Musiała znosić istne tortury. Hrabina Skierka co chwila poprawiała coś w toalecie córki. Robiła mi wrażenie starej żydówki siedzącej na stopniach, prowadzących do sklepiku, w którym się mieszczą jej towary.

Ale kupujący, a przynajmniej targujący, nie zjawiał się wcale.

Dokoła tańczyły wszystkie młode, a nawet niemłode kobiety. Dziewczęta niektóre, pozbywszy się pensyonarskiej sztywności, oddawały się całą duszą zabawie; mężatki kokietowały tańcem, uśmiechając się zalotnie.

Jedna Władzia była nieruchomą, smutną, zapomnianą...

Powoli przycichła hiszpańska serenada, pary rozłączyły się i środek sali opróżnił się . w mgnieniu oka.

Ktoś potrącił przyjacielsko moje ramię.

Był to Leon.

Ujął mnie pod rękę i wprowadził do drugiego pokoju, stanowiącego zarazem tak zwany „mały salon” pani domu.

Mnóstwo chińszczyzny i laki przepełniało tę bonbonierkę, obciążoną całą chińską materią w dziwaczne zygzaki.

Komicznie powykrzywiani Chińczycy siedzieli na małych etażerkach z powagą członków krajowego wydziału podczas wakacyj.

— Cóż? tańczyłeś ze „znakiem zapytania?” — przemówił Leon, potrącając jednego z Chińczyków i przymuszając go tem samym do kiwania głową —ładnie tańczy... ucho ma nadzwyczajne.

— Tańczy źle, ale to mnie nie dziwi bynajmniej—odparłem;—tak mało kobiet tańczy dobrze, a szczególnie walca.

Leon spojrział na mnie ironicznie.

— Bronisz ją? — zawołał — czyś się czasem nie rozamuraszował w hrabiance Skierce?

Uśmiechnąłem się mimowoli.

— Cóż za myśl! Wiesz przecież, że jestem już prawie po słowie... Tylko ta dziewczyna wydała mi się bardzo smutną i nieszczęśliwą. Zresztą, jest tak opuszczoną i prawie ignorowaną w całym towarzystwie.

— Tra ra ra! —przerwał mi mój kolega — trudno, ażebyśmy dla niej zapominali drugich. Obie z matką są to prawdziwie wstrętne kreatury, narzucają się wszystkim, wszędzie włązą, proszone czy nieproszone. Wierz mi: elles nous donnent sur les nerfs...

— Matka wydała mi się rzeczywiście niesympatyczną; ale córka, powtarzam ci, zrobiła na mnie miłe wrażenie—rzekłem, siadając na wielkiej i ważkiej sofeczce.

— Dziwny masz gust, mój drogi—zawołał Leon. —Dziewczyna chuda jak szkielet, brzydka, stara, a w dodatku biedna... oh! tak! biedna do śmieszności. Elle n'a pas un sou!

— Mało mnie to obchodzi — odparłem; — nie mam zamiaru dziedziczyć po niej spadku. Rzeczywiście jest brzydka i źle złożona, ale ma cudowne

oczy, a w dodatku w oczach tych jest to coś, czego nie posiada ani Eliza, ani Misia, ani nawet księżniczka Hohenschuhe.

Leon roześmiał się serdecznie.

— A cóż jest w tych oczach, dites donet Może skarby Golkondy?.. powiedz! niech to wszystkim rozgłoszę. Wszyscy in gremio zgłosimy się do mamy hrabiny, prosząc o rękę jej uroczej córki. No, dalej, odkryj że nam ten skarb... Cóż widzisz w tych oczach?

— Duszę! i to piękną duszę! — odparłem poważnie.

Wesołość Leona nie miała granic.

— Stylvoll, piramida!!—wołał, śmiejąc się.— Wieś dziwnie na ciebie wpływa, poszukiwa

czu... dusz! Robisz się romantycznym, a to nie w modzie.

— Nie wiem, czy w modzie jest dawać kobietom dziwaczne i śmieszne przezwiska. Nazywacie matkę hrabiną Skierką, a córkę „znakiem zapytania.” To rzeczywiście nieromantyczne...

Leon zabrał się znów do dręczenia Chińczyka.

— Cóż chcesz, mój drogi; ainsi va le monde — wyrzekł po chwili; — hrabina Skierka jest rzeczywiście hrabiną, choć dużo byłoby o tem mówić. Ale nikt z nas nie myśli zaglądać do jej papierów. Nazywa się Zadolińska i spokrewnioną jest z kilkoma staremi rodami.

Śmieszność, jaka ją otacza, ściąga na siebie swym brakiem taktu i konieczną chęcią wydania nieszczęśliwej córki za męż. Już lat osiem włóczy ją po balach, stroi za pożyczane pieniądze, zachwala jak towar na sprzedaż i umiera ze złości, widząc, jak wszystkie jej zabiegi pełzną na niczem. Władzia nie ma szczęścia, nie podoba się nikomu... nikt z nią nie tańczy. Jest zawsze, jak mówią trywialnie: na koszu. Podobno, gdy wrócą do domu, mają się odbywać przykre sceny pomiędzy matką i córką. Hrabina wymawia córce jej niepowodzenie i brak szczęścia, a Władka zalewa się gorzkimi łzami. Ale cóż

chcesz, mój drogi, na drugi dzień zjawiają się znów na jakimś raucie lub balu po to tylko, aby doznawać nowych upokorzeń.

Nie odpowiedziałem nic.

Zastanawiałem się nad przykrą dolą tej biednej, widocznie chorowitej dziewczyny, włączonej z balu na bal i obnoszącej swą bladą, smutną twarz wśród niechętnych i drwiących z niej ludzi.

Z sali balowej dobiegły tony pobudki do kadryla.

— Ach! kadryl! — zawołał Leon, porywając się nagle. — Misia czeka! Za chwilę go nie było.

Chińczyk tylko kiwał poważnie głową, jakby się dziwił temu, co przed chwilą Leon powiedział.

Salonik był pusty.

Gwar zabawy dolatywał tu przez ciężkie zasłony, kadryl formował się powoli — wreszcie rozpoczęła się pierwsza figura.

Ja tymczasem mimowoli myślą wracałem do hrabiny i jej córki. Były to widocznie pracowite próżniaczki, ot poprostu żebraczki salonowe, jakich pełno jest w naszych towarzystwach. Ze matka godziła się na to życie smutne a tak upokarzające, nic dziwnego... Spojrzawszy na nią, łatwo można było zrozumieć niskie i brzydkie instynkta tej kobie

ty; ale córka, mająca tyle wyrazu szlachetnego w swych wielkich czarnych oczach!?

Powstałem i zbliżyłem się ku sali balowej; kadryl łamał dwie linie tancerzy, łącząc je w malowniczych zwrotach. Poszukiwałem między

tańczącymi białej iluzji i bratków — napróżno! hrabianka nie tańczyła. Widocznie ciągle zajmowała swoje krzeselko.

Posunąłem się popod ścianami. Rzeczywiście, Władzia siedziała obok matki, przesuwając w rękę swój karnecik balowy. Widocznie hrabina znów „sermonowała” córkę i wyrzucała jej brak szczęścia, bo oczy Władzi, wbrew zwyczajowi niewlepione w ziemię, spoglądały w dal z wyrazem nieukrywanego cierpienia.

Matka tymczasem mówiła wiele i szybko, nie odejmując wszakże od oczów tradycyjnej lornetki. Postanowiłem uwolnić biedną dziewczynę od tej przykrości, choćby tylko przez kilka godzin. Zbliżyłem się ku niej i, skłoniwszy jak można najwdzięczniej, prosiłem, „jeśli to jeszcze możebne,” o zaszczyt przetańczenia z nią mazura.

Władzia spojrzała na mnie nieufnie i ze zdziwieniem; matka natomiast szybko, może nawet zaszybko, odpowiedziała, że szczęściem Władzia ma jeszcze ten taniec do dyspozycji.

Zająłem miejsce obok panny i starałem się zawiązać rozmowę.

Przyszło mi to z łatwością; hrabina Skierka, uszczęśliwiona, że wreszcie znalazł się ktoś, przed kim może wylać potoki swej wymowy, przyczem, powodowana manią wyszukania dla córki konkurenta, stała się nagle niezmiernie rozmowną, dowcipną i ujmującą.

Wszyscy zebrani w salonie byli Jej najbliżsi krewni,” a panienki serdeczne Władzi przyjaciółki. Musiałem wysłuchać opisu pięknego letniego pałacyku, położonego w uroczej miejscowości w Karpatach, gdzie zwykły te panie udawać się z wiosną; dowiedziałem się, w jaki sposób Worth odpisuje swoim klientom i jak powinny być przystrojone damy, odbierające błogosławieństwo Ojca Świętego.

Ztąd dowiedziałem się, że hrabina Skierka pragnie uchodzić w oczach świeżo przybyłych za osobę majątną, a córkę swą wychowała za granicą, dbając o strój od Wortha i błogosławieństwo papieża.

Hrabina była skończoną blagierką, —ja zaś, choć jeszcze dość młody, miałem wyborny zmysł obserwacyjny i wiedziałem, co mam myśleć o tych opowieściach z „Tysiąca i jednej nocy.”

Zresztą, całe zachowanie się Władzi było dla mnie najlepszą pod tym względem wskazówką. W miarę opowiadania matki Władzia rumieniała się i bladła naprzemiennie. Kilkakrotnie zaciskała kurczowo usta i przygryzała wargi aż do krwi.

Widocznym było, że ta cała komedia wiele ją kosztuje i radaby jej jaknajprędzej koniec położyć.

Nie brała udziału w rozmowie, odpowiadała mi monosylabami i unikała mego wzroku.

Widocznie szlachetniejsze w niej instynkta pragnęły protestować fałszywym blaskiem, w jakie stroiła ją matka — ale konwenanse i szacunek dla matki nakazywały jej milczenie.

Ja umyślnie przedłużałem rozmowę. Słuchając bezczelnych kłamstw matki, studyowałem córkę i stawiałem dla tej ostatniej bardzo pomyślne mniemanie.

Wreszcie rozpoczął się mazur. Postarawszy się o visavisy podałem rękę Władzi.

Ale dla mnie było to obojętne. Widziałem tylko w niej nieszczęśliwą i pogwałconą istotę, a nie tancerkę, z której powinienem był być dumny. Misia, Elzia, a nawet księżniczki, śmiały się z poza wachlarzy, gdy nas dojrzały

w przelocie; ja zaś podwajałem moją galanterię względem hrabianki, chcąc jej wynagrodzić szyderstwo ogółu.

W pauzie, gdy inne pary tworzyły jakąś dziwną figurę, zapytałem Władzię, czy lubi taniec.

— Nie cierpię!—odparła bez wahania.

— Dlaczego więc pani tańczysz?—badałem, nieprzygotowany na tego rodzaju odpowiedź.

— Ach, mój Boże!—odrzekła ze smutnym uśmiechem—dziwne pytanie mi pan zadajesz. Tańczę, bo wszystkie panny, w tym salonie będące, uważają za szczyt szczęścia kręcić się bez wytchnienia. Nie można chcieć stanowić wyjątku w regule. Zresztą, ja tańczę bardzo mało, jak to pan musiałeś zauważyć.

— Przyznam się pani, że siedziałem w przyległym salonie — rzekłem, nie chcąc upokarzać ją zbyt przyznaniem zauważenia jej opuszczenia, w jakim ją pozostawiano.

Ale ona podjęła znów tę kwestyę z wielką prostotą:

— Tak! tak! tańczę bardzo mało, zresztą tańczę tak źle... Nie dziwię się, że mnie unikają. Zła tancerka nie pociąga nikogo. Widocznie pan niedawno przybyłeś, skoro nie wahasz się wziąć mnie do mazura...

— Oh, pani!—wybełkotałem, nie wiedząc sam, co mam na to odpowiedzieć.

— Albo zrobiłeś to pan z litości—ciągnęła dalej:—zauważyłeś pan starą pannę, siedzącą samotnie przy mamie, i zlitowałeś się nade mną...

Do tej chwili mówiła czystą polszczyzną, nie mieszając francuzkich słówek. Miało to dla mnie wdzięk nieporównany. Nagle uśmiechnęła się i wyszeptała:

— Meret de robole!

Czułem, że powinienem coś odpowiedzieć.

— Postępujesz pani wręcz przeciwnie jak wszystkie kobiety—wyrzekłem wreszcie:—one ujmują sobie lat, pani dodajesz je, nazywając się starą panną!

— Bo jestem nią—odparła:—mam już dwadzieścia pięć lat; a że mam w domu wyborne lustro, więc nie ulegam rzeczywiście manii, na którą cierpią inne kobiety w moim wieku. Ach! złudzenie, kłamstwa!... jakież to smutne i przykre. To poprostu ból sprawia.

Zrozumiałem ją doskonale; mówiąc w ten sposób, chciała mi dać poznać, że nie solidaryzuje się z matką w tej całej wystawie blagierskiej, jaką koło niej urządzano.

— Cieszy mnie — zawołałem, — że i pani nie znosisz blichtru, kłamstwa, blagi. Pozna

łem odrazu, że pani musisz być uosobioną szczerością.

— Jakim sposobem?

— Patrząc w pani oczy!

— W moje oczy? I cóż tam w nich jest, na Boga?

— Przedewszystkiem... prawda, a potem, potem,.. smutek i cierpienie...

Było to trochę zaśmiało, jak na pierwszą znajomość; obawiałem się, że ją to rozgniewa.

— Ach, Boże!—wyrzekła po chwili —może pan odgadłeś poczęści. A zresztą, sprawię sobie ciemne okulary, skoro oczy moje są tak niedyskretne i mówią więcej, aniżeli ja sama wypowiedzieć pragnę...

— O, nie czyń pani tego!—zawołałem żywo.— Kryjąc swe oczy za ciemną zasłoną, wyrządzisz krzywdę sobie, a przedewszystkiem swym bliźnim. Oczy pani są tak niezwykle piękne...

Urwałem nagle, czując całą banalność tych słów. Zły byłem na siebie, a gniew ten powiększył się jeszcze pod wpływem postępowania mej tancerki.

Spochmurniała nagle, brwi jej zsunęły się, a ręce zaciskały kurczowo rękojęć wachlarza. Widocznie słowa moje sprawiły jej przy

krość wielką, bo nerwowy, bolesny uśmiech wykrzywił chwilowo jej usta. W uśmiechu tym było całe morze goryczy, goryczy, jaką odczuwa kobieta, obdarzona niepospolitym umysłem i piękną stroną duchową, wobec zwykłych, trywialnych komplementów, jakimi przyzwyczajaliśmy się obdarzać salonowe gąski, spowite w gazy, tarlatany i całe sztuczki atlasowych wstążek.

Chciałem poprawić swą opinię w oczach tej dziewczyny. Była tak niepodobną do salonowych manekinów, jakie nas otaczały a które noszą nazwy "panien na wydaniu" — że pragnąłem szczerze, aby nie miała o mnie zbyt złego wyobrażenia.

Milczałem chwilę, nie wiedząc, z jakiego punktu rozpocząć rozmowę, mimowoli błędząc oczami po szczegółach jej toalety; wzrok mój zatrzymał się na wspaniałym pęku aksamitnych bratków, ciemniejących wśród fal iluzji.

— Smutne to kwiaty — wyrzekłem wreszcie, pragnąc przemówić cokolwiek, — smutne, ciemne, a przecież piękne myślą, jaką mieszczą w sobie.

Panna Władysława podniosła głowę.

— Czy podoba się panu ten bukiet? — zapytała żywo.

— Nad wyraz! — odparłem — ładujące; można sądzić, że przed chwilą zerwane... tak natura wybornie naśladowana. Zapewne to wyrób paryzki?

— O, nie!—zawołała dziewczyna — to ja sama robiłam te kwiaty. Jestem zanbogą, aby z Paryża sprowadzać stroje!

Mówiła szybko, podkreślając słówko „uboga.”

Widocznie lękała się, abym nie został wprowadzony w błąd opowieściami hrabiny i nie zapragnął wystąpić jako... konkurent do jej fikcyjnego posagu.

Zrozumiałem ją doskonale.

Pragnąłem więc zręcznym zwrotem dać jej poznać, że jestem wtajemniczony w istotny stan rzeczy, — gdy wezwano nas z kolei do zakreślenia jakiejś dziwacznej i śmiesznej figury mazurowej.

Po skończeniu mazura wezwano nas na kolację. Wszyscy przyjęli to wezwanie z widocznym zadowoleniem.

W domu tym trzymano się jeszcze tak zwanej „starej mody;” męczono tańcem, ale i pokrzepiano siły. Dobra ta „moda” wychodzi coraz więcej z użycia. Pięknie zastawione stoły, błyszczące srebrem, kwiatami, piramidami cukrów, owoców, z dwoma rzędami

wysokich, równo ustawionych krzeseł, znikają z powierzchni naszój kuli!.. Natomiast pojawiają się tace, także piękne, srebrne, błyszczące,—ale cóż jest taca, choćby najwspanialsza, w porównaniu z tym dobrym, pocziwym stołem, poza którym usiadłszy, topi się widelce w majonezie, a wzrok w białych ramionach sąsiadki,—przy którym z najwyższą rozkoszą odpoczywa się co najmniej godzinę, pojąc się dobrem winem i rozkosznym, bezmyślnym szczebiotem siedzącej obok kobiety!

Podaliśmy ramię pannie Władysławie i przeszliśmy do sali jadalnej.

Uczyniłem tylko to, co robili wszyscy — poprowadziłem do stołu moją tancerkę mazurową. Ale po drodze spotykałem bezustannie szydercze lub zdziwione spojrzenia.

Przesuwając się koło Leona, zmuszeni byliśmy zatrzymać się chwilę. Księżniczki Hohenschuhe, prowadzone przez dwóch pur sang

arystokratów galicyjskich, usiłowały niemieckie swe istoty pokrzepić u stołu, zastawionego istotnie ze staropolską gościnnością. Usunęliśmy się z drogi tym dwóm świetlanym meteorom i w ten sposób stanęliśmy tuż obok Leona, prowadzącego do stołu hrabiankę Elzie.

— *Heureux mortel!* — wyrzekł półgłosem Leon, dotykając się mego ramienia.

Elzia zachichotała rozkosznie, tak, jak chichotać umieją panienki pomiędzy szesnastą a dziewiętnastą wiosną życia. Chichot taki działa na mnie denerwująco: tyle w nim pustego dźwięku, a tak mało myśli!... Panna Władysława musiała być tego samego zdania, bo drgnęła nerwowo i z niechęcią odwróciła głowę w przeciwną stronę. Nie widziałem jej twarzy—ale musiała posłyszeć słowa Leona i zrozumieć rozkoszny śmiech hrabianki.

Nareszcie księżniczki przelawowały i, przekroczywszy podwoje jadalnej sali, umożebniły tem samom wydostanie się reszty osób z salonów.

Ja z Władzą zajęliśmy miejsce więcej ku szaremu końcowi, gdzie się mieści młodzież, i za *visavis* dostaliśmy znów Leona z Elzią. Świdrujące oczki tej ostatniej nie były dla mnie sympatycznym obrazkiem. Starąłem się więc posunąć o tyle przepyszny bukiet, umieszczony we wspaniałym wazonie, aby zakryć się przed wzrokiem tego rozkosznego aniołka.

Ale Elzia odgadła moje manewra, bo zawołała, śmiejąc się głośno: — Czemuż pan się chowasz za bukiet? Proszę, usuń go pan na stronę; będziemy mo

gli rozmawiać w ten sposób. N'est ce pas,
Ladislase: nous allons nous amuser comme des folles!

I, jakby na potwierdzenie tych słów, wybuchnęła nową gamą śmiechu.

Panna Władysława nie odpowiedziała
wszakże hrabiance, nie spojrzała nawet na nią. Wzięła do ręki menu,
leżące przed każdym z gości, i czytała, je, uśmiechając się nieznacznie.
Była tak otoczona od dziecka błagą i bezustannym kłamstwem, że musiała
wiedzieć dokładnie, czym było w rzeczywistości to "su preme de volatile"
i „salade Haquetou royale"

Patrzyłem na nią z zajęciem. Brzydka jej twarz odbijała najdokładniej
każdą myśl, przesuwaną przez jej umysł. Był to fenomen, zjawisko
nadzwyczajne pomiędzy temi twarzyczkami z masy porcelanowej,
starającymi się właśnie ukryć to, co się przez ich ptasie mózgi przewijało.
Bukiet kwiatów wystarczył nam do zawiązania rozmowy. Przytem byłem
serdecznie ciekawy dowiedzieć się, w jaki sposób panna Władzia nabyła
tak wielkiej wprawy w robieniu sztucznych kwiatów. Na salonową
próżniaczkę i wychowanekę Sacrecoeur było to bardzo wiele—wiele
więcej, niż się spodziewać mogłem.

Zapytałem ją wprost, kto ją wyuczył sztuki robienia kwiatów.

Odpowiedziała mi dość oschle, gdyż widocznie nie mogła zapomnieć
niesmacznego komplimentu, którym ją obraziłem.

Historia nauki kwiatów była nader prosta. Panna Władysława, będąc
jeszcze młodą dziewczynką, miała przy sobie rodzaj towarzyski zabaw,
słowem wychowanekę pani hrabiny, biedną dziewczynkę, córkę jakiegoś
dzierzawcy. Otoż ta towarzyska uczyła się w magazynie sztuki robienia
kwiatów, aby móżdż z czasem pracować i stanąć o własnych siłach. Panna
Władzia znalazła rzecz tę odpowiednią dla swoich upodobań i z całym
zamiłowaniem wtajemniczyła się w zwijanie listków, wytłaczanie,

gumowanie, podklejanie, osypywanie pręcików, zwijanie szypulek, gumowanie spodów i tym podobne drobne czynności, które wykonane zręcznymi kobiecymi palcami dają czasem zadziwiająco ładzące podobieństwo natury.

— Uczyłam się malować — dodała nareszcie, ożywiając się stopniowo, — jestem nędzną akwarelistką, ale moje studia malarskie oddają mi ważną przysługę przy układaniu mych kwiatów. Zresztą pozwalają mi jeszcze wierniej kopiować naturę, to jest zbliżyć się do prawdy, która jest moim ideałem.

Fantazje i Drobnostki.

— Podobne zajęcie musi być dla pani przyjemną rozrywką? — zapytałem.

— Po twarzy Władzi przesunął się znów zaledwie dostrzegalny uśmiech.

— Rozrywką?.. — powtórzyła przeciągle, a wzrok jej błędził po ukwieconych gorsach obecnych dam i ślizgał się po kształtnych główkach, w których śmiały się róże i sztuczne konwalie, — tak! nie mylisz się pan... chwile, które spędzam pomiędzy stosami mych różowych i purpurowych listków, są dla mnie jedyną, rzecz moją, rozrywką. Wtedy czuje, że tworzę coś ładnego, pracuję! żyję!..

Twarz jej rozpromieniła się pod wpływem tych słów, ożywiła się, a kibić wyprostowała nawet.

Ładną, arystokratyczną ręką obracała szyb bo nożyk deserowy, jakby tworząc fikcyjne listki, zarysowując żyłki na ciemnym tle aksamitu.

Oczy jej spoczęły teraz na wspaniałym bukiecie, który tuż przed nami rozsiewał cudowną woń hyacentów i błyskał purpura kamelii.

— Ale zarazem ileż to sprawia przykrości czuć, jak nędzne, liche materiały ma się pod ręką do stworzenia podobieństwa kamelii lub dzwonka konwalii. Spójrz pan — mówiła, wskazując na piękną herbacianą ro

żę, zwieszającą się na drucianej łądydze,—jakiż atlas, jakiż batyst wyrówna doskonałej tej tkaninie, krócej delikatności i połyskowi nic dorównać nie jest w stanie!

Zamilkła na chwilę, poczem dodała:

— Ach! człowiek, z całym swym rozumem i bogactwem wynalazków, jakimże jest nędzarzem wobec natury!

Jedynie dla podtrzymywania rozmowy stanąłem po stronie „człowieka” i starałem się tworzyć jego apoteozę, ona zaś ciągle wskazywała mi wonne listki róży, mówiąc z uśmiechem;

— Wy najdźcie tkaninę równie doskonałą; stwórzcie listek róży, wonny, miękki, żywy... powiem, żeście... geniusze!

Powoli rozmowa nasza stała się bardziej ożywioną. Udało mi się zapomocą kilku zręcznych słów zatrzeć przykre wrażenie, jakie pozostawić mogłem w umyśle tej dziewczyny, i zawiązać z nią nader zręczną wymianę zdań, z której stawiałem rozmaite wnioski.

Panna Władzia przedstawiła się w tej rozmowie jako istota niepospolita, obdarzona umysłem niezmiernie wrażliwym na wszystko, co piękne, pojmująca postęp we właściwym tego słowa znaczeniu i rozumiejąca dobrze poniżającą rolę, na którą była skazaną w salonach.

Gorycz i wstręt do zabaw i głośnych zebrań przebijały się w jej słowach, jakkolwiek mówiła w tym względzie niewiele i z widoczną oględnością. Powracała kilkakrotnie do swego „ubóstwa,” wymawiając to słowo z naciskiem. Czytała wiele, jakkolwiek bez wyboru i przeważnie w języku francuzkim.

— Rozumiesz pan —mówiła,—jak mi trudno nieraz dostać książkę z cokolwiek śmielszą tendencją. Mama ma swoje zasady, od których nie odstępuję. Elle a raison, te pozostaje wierną swoim zasadom, wszczepianym od .dzieciństwa. Ja zaś jestem przezwana esprit de contradiction i wiecznie czegoś szukam... szukam... Duszę mam dziwnie niespokojną.

Dokoła nas gwar wzrastał z każdą chwilą, podniecenie zwiększało się z każdą świeżo odkorkowaną butelką, z każdym cukierkiem, znikającym w koralowych ustach...

Kobiety pochylały się w tył, podnosząc w górę głowy, wyciągając białe szyje, strojne w szerokie aksamitki lub rzędy pereł. Purpurowe fale krwi przebiegały pod delikatną, atlasową powierzchnią ciała, a piersi falowały szybko, podnosząc pajęczę koronki, któremi były pokryte.

Mężczyźni przysuwali się bliżej, ośmieleni tem ściśnieniem, w którym mimowoli łokcie ich dotykały co chwila obnażonych ramion, a oczy spotykały tuż tuż przed sobą różowy atlas nagiego ciała.

Zapach dobrej kuchni mieszał się z delikatnym aromatem wina, pyszną wonią i odurzającymi perfumami, wznoszącymi się ze strojów kobiet.

Panienki chichotały jeszcze bezmyślniej, mężatki flirtowały nie na żarty— a młodzi ludzie drwili z pierwszych, a emablowali drugie bez żadnych skrupułów, bez liczenia się z sumieniem.

Spojrzałem uważnie dokoła.

Wszędzie śmiech, próżność mężka, zalotność kobieca, wszędzie pustota, płochość, często wiodąca do zguby. Te kobiety piękne, młode, c palących, namiętnych oczach, miały podobieństwo do wspaniałych motyli, gwałtem lecących w ogień, w którym miały może spłonąć, lub opalić sobie skrzydła...

Te rumieńce sztuczne, rozchylone wilgotne usta, te nagie ramiona, z taką brutalną bezczelnością wystawione na spojrzenia całego tłumu mężczyzn, przejęły mnie wstrętem.

Jeden „znak zapytania” był blady, spokojny i, choć widocznie ożywiony, nie czerpał przecież tego ożywienia w sztucznym podnieceniu. Oczy hrabianki błyszczały, ale spo

kojnym, jednostajnym światłem. Nie śmiała się bezmyślnie, była poważną i słowa jej były prawdziwym przeciwstawieniem pustej paplaniny, jaka nas otaczała.

Pod stalowym pancerzem konwenansów czuć było w tej dziewczynie istotę szlachetną, pełną lepszych porywów, lecz zakutą w kajdany, które jej wrażliwą duszę boleśnie uciskały. Rozmowa nasza, na poważniejsze wprowadzona tory, mogłaby zdziwić każdego ze współbiesiadników, ale nikt tam nie miał zamiaru podsłuchiwać słów naszych. Wprawdzie nie zanedbano nas zupełnie... o, nie! to byłoby nadto rozsądne ze strony tego rozbawionego zbiorowiska ufryzowanych mężczyzn i dekolowanych kobiet—ale ograniczano się tylko na śledzeniu nas wzrokiem i na uśmiechach złośliwych, które przesyłano sobie wzajemnie z poza napełnionych kieliszków, lub łyżeczki ananasowych lodów.

Panna Władysława jednak zdawała się zapominać o tych oznakach złośliwej ciekawości swego otoczenia. Niezmiernie dowcipnie opowiadała mi, z jaką biedą wyuczono ją śpiewać kilku aryj dla udreczenia cierpliwych słuchaczy.

— Słuchu nie mam wcale, a głosu jeszcze mniej; ale że każda dobrze wychowana osóbką powinna śpiewać, a pani Artót raczyła

udzielić dwanaście zbiorowych lekcji czterdziestu ośmiu pannom podczas mego pobytu w klasztorze, musiałam dręczyć się po kilka godzin dziennie, jak ptaszek przy pozytywce, aby nie robić wstydu mamie i... pani Artót.

Gdy pomyślę o tylu zmarnowanych godzinach...

Nagle przerwał jej skrzeczący głosik Elzi, która od kilku chwil naradzała się pocichu z Leonem i kilkoma panienkami. Wynikiem tych narad były te słowa:

— Władziu! przypomnij sobie habanerę z „Carmen;” jutro przyjeżdża Stanio, będziesz mu mogła znów śpiewać!..

Oczy wszystkich bliżej nas siedzących osób zwróciły się na moją sąsiadkę.

Ona pod wpływem słów Elzi pobladła jeszcze więcej i cofnęła się nagle, jakby na widok jadowitej żmii.

Głos jej, tak wesoło dźwięczący przed chwilą, zamarł w połowie zdania, a powieki opadły na źrenice i przykryły je prawie zupełnie.

Na długich rzęsach zamigotało coś dziwnym blaskiem. Były to dwie łzy, duże, prawdziwe łzy...

Takie łzy w oczach młodej panny, na balu, podczas kolacyi, nie pojawiają się bez przyczyny.

Miałem wielki żal do Elzi za złośliwość, której używała z całą samowiedzą złego, bo tryumfująca minka, z jaką przypatrywała się przygnębionej Władzi, świadczyła o tym dostatecznie.

Uznałem za stosowne udawać, iż nic nie dostrzegłem z tego panińskiego dramaciku, jaki rozegrał się poza tym stołem, pokrytym szczątkami świeżo spożytej kolacyi.

Starąłem się naprowadzić rozmowę na dawne tory, lecz nie udawało się to już więcej.

Panna Władysława odpowiadała monosylabami, głosem cichym, lęklwym, nie odrywając oczów od talerzyka, na którym, widocznie dla „formy,” położyła jedne mandarynkę.

Widocznie, że słowa Elzi, przypominające „habanere” i jakiegoś Stania, sprawiły jej przykrość wielką i sprowadziły z nieba na ziemię.

Po kolacyi tańczono jeszcze walca. Poprosto par depot podszedłem znów do „znaku zapytania,” prosząc o przetańczenie jednego tour'a.. Posłuszna wzrokowi matki, która promieniała radością, wstała i podała mi sztywną rękę. Gdy byliśmy na przeciwległym końcu sali, zatrzymała się nagle i, spoglądając mi błagalnie w oczy, wyrzekła:

— Zrób mi pan jedne łaskę: Nie pros mnie więcej do tańca. Raptowna migrena dokucza mi bardzo, a... nie chcę martwić mamy wiadomością o mej chorobie. Musiałabym tańczyć, a to mi sprawia wielką... wielką przykrość!..

W odpowiedzi skłoniłem się nisko i chciałem odprowadzić ją na miejsce. Ale ona szybko położyła dłoń na mera ramieniu i dodała z przymuszonym uśmiechem:

— A! teraz trzeba kończyć zaczęte dzieło! inaczej ból głowy nie ukryłby się przed mamą.

Biedna dziewczyna!

Kłamała przede mną, sądząc, że nie domyśle się prawdy.

Matka jej nie zakłopotałaby się wcale jej cierpieniem. Gdybym ją raz jeszcze prosił do tańca, musiałaby powstać i kręcić się do upadłego, bo hrabina Skierka nadto czuła się uszczęśliwiona znalezieniem dla swój córki tancerza, aby dozwoliła jej odmówić i utracić w ten sposób tak rzadką a pożądaną sposobność.

Usunąłem się więc na bok i przypatrywałem niedorzecznym figurom kotyliowym i papierowym orderom, jakimi niektórzy rycerze lśniącej posadzki udekorowali sobie całe piersi, psując w ten sposób fraki i czy

niąc się podobnymi do czteroletnich bębnow, bawiących się w wojsko. Panienki i mężatki, a zarazem matki kilkorga dzieci, kręciły się jak szalone w bibulanych czapkach na główkach, machając w powietrzu papierowymi chorągiewkami.

Wszyscy razem robili na mnie wrażenie waryatów i wątpię, czy bal wydany w Salpetriere różni się o wiele ogólnym wyglądem od bali, na których tak zwani „zdrowi na umyśle” wyczerpują reszty sił i pieniędzy. Gdy kotylion doszedł do kulminacyjnego punktu, to jest gdy mężczyźni wzięli na swe własne głowy łby tekturowe zwierzęce i w ten sposób udekorowali a zarazem ukryli siedliska swych rozumów, postanowiłem uciec „po angielsku,” nie żegnając się z nikim.

W przedpokoju znalazłem w dziwnie prędki sposób własne futro i zarazem hrabinę Skierkę wraz z córką, okrywające się w wytarte aksamitne rotundy. Opuszczały także bal, a hrabina niezmiernie sprytnie dała mi do poznania, że Władzia, odmówiwszy kilku danserom dla „niewiadomych powodów,” rezerwowała widocznie kotyliona dla... kogoś. Tym „kimś” miałem być widocznie ja. Pragnąc więc dać do zrozumienia hrabinie, że pojąłem ją w zupełności, usiłowałem z nie

zmierną grzecznością wynagrodzić moje spóźnienie kotylionowe.

Podąłem im serbskie baszłyki, w którym hrabina wyglądała jak trupia główka i sprowadziłem ją ze schodów z oznakami szacunku, należnymi co najmniej jakiej księżnej Hohenschuhe. Za nami postępowała Władzia, której bladość odbijała rażąco od ciemnej granatowej barwy baszłyka, haftowanego srebrnymi palmami

Wynajęty hotelowy powóz oczekiwał na nie na dole.

Otworzyłem drzwiczki i, w braku lokaja, umieszczałem jedne po drugiej we wnętrzu brudnego i starego powozu.

Hrabina Skierka wyciągnęła ku mnie chudą rękę, na której marszczyła się skóra rękawiczki.

— Jesteśmy codzień o piątej w domu... Zdaje się, że pan jesteś amatorem muzyki; mówił mi o tym pan Leon. Władzia jest bardzo muzykalną... zaśpiewa panu habanerę z „Carmen.”

Spojrzałem na pannę Władysławę, siedzącą w cieniu. Tylko wielkie jej czarne oczy odznaczały się na bladej twarzy ciemnymi plamami. Musiała na mnie patrzeć w tej chwili.

Czułem to.

Odpowiedziawszy banalnym frazesem na zaprosiny hrabiny, zamknąłem drzwiczki powozu, który ruszył pośpiesznie w stronę nazwanego Piaskami przedmieścia.

Ja zaś podążyłem do mego hotelu. Przez drogę przypatrywałem się gwiazdkom, iskrzącym na niebie, i obdarzałem je imieniem mej dziewczynki...

Było to śmieszne zajęcie dla młodzieńca dwudziestokilkoletniego, obdarzonego sporą wiązką banknotów w kieszeni. Oświetlone okna kasyna rzucały żółtawe blaski, na tle firanek pojawiały się zmęczone postacie graczy, ale ja wołałem liczyć gwiazdki na niebie, niż przegrane banknoty, które zgarniałby bankier do swej kieszeni.

Ha! każdy ma swój gust, jak mówią Francuzi.

Na drugi dzień po południu wybrałem się na ślizgawkę. W dniu powszednie było to miejsce zebrania lwowskiego highlife'u. Byłem więc przekonany, że zastanę tam i Mizię, i Elzie i księżniczki Hohenschuhe z nieodstępłą świtą.

Dojeżdżając do Pełczyńskich stawów, słyszałem skoczną polkę, graną przez wojskową orkiestrę. Po śniegiem usłanej drodze migały szybko sanki, pozostawiając po sobie odgłos dzwonek i głębokie, w śniegu wyżłobione bruzdy.

Eleganckie prywatne ekwipaże wyprzedzały wolniej wlokące się dorożki; konie, zaprzężone do sań, ozdobionych monogramami lub herbami, wstrząsały dumnie głowami, strojnemi w pęki piór, a śnieg, odrzucany kopytami, odbijał się o kolorowe, zdobne szlakami siatki.

W sankach uśmiechały się ładne twarzyczki, uróżowane mrozem, a w dodatku upudrowane veloutiną do niemożliwości. Bezlistne, nagie wierzby, opasujące drogę jak straż honorowa, wznosiły w niebo swoje ciemne ramiona.

Miały pozór dewotek, wołających o pomstę na widok ustrojonych i umalowanych elegantek.

Wysiadłszy z dorożki i kupiwszy bilet, znalazłem się w okamgnieniu na lodzie. Nieliczna publiczność otaczała baryery.

W łóżach porzsiadały się ciemno ubrane damy, a wykwintna francuzczyzna przedzierała się przez tony polki, nie dając się wyprzedzić trombonom i innym instrumentom

dętym. Na lodzie zato roiło się od wesołych młodych kobiet i równie młodych choć mniej wesołych mężczyzn.

Obserwując cały ten tłum, dostrzegłem, że kobiety, tak napozór wątłe stworzenia, prześcigały mężczyzn w wytrwałości i sile.

Po zakreśleniu forsownego kółka, po skutecznieniu lotem błyskawicy tak zwanej „figury,” panny Elzia, Mizia, Minusia, Gabrusia wydawały się

zupełnie wypoczętymi, a na twarzach ich nie widać było żadnego śladu zmęczenia.

I pięknie im było w tych krótkich kostiumach, odsłaniających całą nóżkę, obutą w zgrabny, spięty na guziczki bucik. Granatowe „degedoff,” lub popielate sukno, spływało w prostych draperyach dokoła ich figurek.

Niektóre miały białe paltociki, mężatki zarzucały pluszowe dolmany lub strojne piórami zakietki. Każda z nich kręciła się, śmiała, błyskała stalowymi halifaxami i kokietowała w najlepsze.

Na lodzie czuły się w swoim żywiole. Ślizgały się po powierzchni lodu i rozmowy. Zręcznie, dowcipnie omijały przeszkody—upadały jednak dość często i to na najgładszej powierzchni.

Przechylały swe główki, strojne w zgrabne czapeczki; odrzucały w tył maluchne mufeczki, przewieszane na jedwabnych sznurach, przez ramiona, i krytycznym wzrokiem przyglądały się wzajemnie sobie i otaczającym je mężczyznom.

Przypadkiem kiedyś czytałem Hauffa „Moden und Trachten.” Między innymi autor wymienia słowa:—„Zadaniem, jakie każda kobieta osiągnąć swoim strojem pragnie, jest to, aby się w swoim kole i otoczeniu podobać.”—Dodaje wszakże: „z samowiedzą lub bez takowej.” Według mnie, ten dodatek jest zbyteczny. Kobieta jest zalotną własnowolnie i z całą samowiedzą ubiera się w... krótkie kostiumy.

Według niej—cel uświęca środki.

Stałem tuż obok łóż, zapatrzony w barwny obrazek, rozwijający się dokoła. Pary, trzymające się silnie za ręce, przesuwały się koło mnie, zda się pędzone jakąś nadnaturalną siłą. Był nieokreślony powab w tych pochyłonych na przód kobietach, sunących po białej, szklistej przestrzeni—czyste uplastycznienie całego życia tych bezmyślnych istot, które nie wiedziały poczęści o celu swego istnienia!

Dokoła stawu góry pokryte śniegiem, czerniące się kępami drzew — na prawo kil

ka budynków ciemnych, przyczepionych do śniegu.
Ponad nami niebo zimne, blade, jak twarz anemicznej kobiety, z żółtym punktem, otoczonym jaśniejszą obwódką.
To słońce, pokryte białą gazową zasłoną, jak elegantka, niechcąca wystawiać swój twarz na mroźny wicher zimowy.
Pod tym żółtym blaskiem uwijało się całe grono ludzi, bawiących się równie dobrze na szklistej powierzchni lodu, jak na wyfroterowanej posadzce salonu. Żółte, wyblakłe zimowe słońce zastępuje im płomienie kandelabrow lub światło gazowe.
Im to obojętne, co ich oświeca, byle tylko dość widno było do kadryla. Muzyka właśnie zagrała pobudkę. Wolno kołyszając się, szykują się pary we dwa szeregi. Księżniczki Hohenschuhe poznać zdaleka można po eleganckich białych sukiennych kostiumach i takichże czapeczkach.
Koło mnie mignął mój dawny znajomy, Stanisław R. — kolega szkolny. Prowadził pod rękę ładną kobietkę, strojną w bogaty dolman. Rozmawiał z nią z wielkiem ożywieniem i miał nawet pozory zajęcia się swoją towarzyszką. Siedzące w łóżach damy z uśmiechami pełnymi znaczenia witały młodą parę. W uśmiechu tym było pełno apro

baty i jakiegoś właściwego tylko matkom zadowolenia, matkom, które na ręku córki widzą pierścionek zaręczynowy.
Domyśliłem się, że Stanisław, a raczej Stanio, jak go ogólnie nazywali, prowadzi pod rękę swoją narzeczoną.

Stanio był ładnym, wysmukłym blondynkiem. Trochę zawysoki, zaszczupły w ramionach, miał jednak w swych ruchach, w sposobie zachowania się to „coś,” co zniewala spojrzenie nań przychylnym okiem. U kobiet miał szczęście wielkie, a figlarz z niego był niemały. Ufny w urodę i wdzięk wrodzony, zmierzał prosto do celu z wprawą wytrawnej kokietki. Każda kobieta mówiła o nim jak o skończonym typie bałamuta, a mimo to lgnęła doń, jak emma do świecy. Wreszcie motyl złapał się w siatkę; siatka jednak zdawała się grubo pozłacaną, tak jak dolman tej młodej osóbki, którą młody donżuan prowadził pod rękę.

Kadryl rozpoczął się w najlepsze i choć z wielkim trudem, jednak wszystkie chaines, tours i t. d. były zachowywane.

Mamy, siedzące w łóżach, wpadły na temat dość drastycznych anegdotek; usunąłem się więc, pragnąc zostawić im swobodne zupełnie pole.

Nagle, tuż obok siebie, posłyszałem głos kobiecy, którego dźwięk nie był mi obcy. Obejrzałem się.

Była to hrabina Skierka wraz z córką. Panna siedziała na ławce, owinięta aksamitną rotundą. Przed nią klęczał posługacz i przypinał jej łyżwy, zaciskając mocno rzemyki. Hrabina stała obok córki i widocznym było, że drżała pod dość lekkim pluszowym dolmanem, jaki miała na sobie.

Zanim zdążyłem do nich przystąpić, już matka wyciągnęła rękę z przesadzoną serdecznością.

— Jak szczęśliwe spotkanie!—zawołała po francuzku — cieszy mnie to, żeśmy dziś ślizgawki nie opuściły. Władzia była cokolwiek cierpiąca i miała ochotę zostać, ale ja ją namówiłam i dobrze się stało!

Podąłem jej rękę, potem z kolei uściśnięłem dłoń córki. Wydała mi się dziś bledszą, niż przy świetle wieczornem. Obejście jej było także o wiele chłodniejszóm i sztywniejszem niż wczorajsze. Skinęła mi głową, nie spojrzawszy nawet, a ręka, którą ująłem, zdała się być z drewna. Zdjęła ze siebie aksamitną rotundę i szczupłą, smutną swą chudością, uwydatniającą się pod szarem sukniem paltocika, pomknęła jak cień wzdłuż

brzegów, nie zamieniwszy nawet słowa z matką.
Zawołałem na posługacza i kazałem sobie przynieść z domku klubowego parę łyżew — postanowiłem pobiedz za hrabianką i zapytać o przyczynę tego chłodu, jakim mnie przywitała na wstępie.
Gdy doganiałem ją, co mi zresztą łatwo przyszło, ona zakreśliła nagle koło i zwróciła się w ten sposób ku mnie. Zobaczywszy mnie, miała przez chwilę wyraz twarzy niezdecydowany—powoli wszakże zwolniła bieg tak, że
i ja mogłem zrównać się z nią bez wysiłku.
Pragnąłem coś do niej przemówić, na razie nie znalazłem żadnego pytania, prócz banalnego:
— Więc pani cierpiąca? zapewne zmęczenie po wczorajszym balu?
Ona podniosła na mnie czerwone od bezsenności czy płaczu oczy i odpowiedziała z prostotą:
— Nie, panie! to nie zmęczenie balowe!
— Cóż więc?
— Prosty ból głowy, rodzaj migreny.
— Trzeba było pozostać w domu. Uśmiechnęła się boleśnie.
— Nie mogłam! —rzuciła krótko. Chwilę biegliśmy w milczeniu.
Wydostaliśmy się na tę część stawu, gdzie tylko amato

rzy prawdziwi robią swe ewolucję lub ćwiczenia.

W tej chwili byliśmy prawie sami, dolatywały do nas tylko dźwięki kadryla i powoli zabłyскиwały tu i owdzie lampiony i latarki, którymi zwykle z nastaniem zmroku staw oświetlano.

Ściemniało się bowiem szybko i tylko śnieg na górach białiał wielkimi płachtami, a na niebie znikła żółtawa słoneczna plama.

Postanowiłem otwarcie wypowiedzieć to, co myślę.

— Dlaczego pani, będąc cierpiącą, nie masz tyle silnej woli, aby pozostać u siebie i nie przyjeżdżać tutaj, gdy ci to szkodzi? — zapytałem, patrząc uważnie na Władzię.

Ona wzruszyła ramionami.

— Ach, Boże! gdyby ode mnie zależało, nie przychodziłabym tu ani dziś, ani jutro, ani nigdy... wtenczas, gdy jestem chora, czy nawet gdybym była najzdrowsza.

— Czy nie masz pani swej woli?

— Wolę mam, ale są warunki, w których wypełniać tej woli nie można.

Nienawidzę zgiełku i wrzawy. Kobiety brzydkie i ubogie powinny unikać hałaśliwych zebrań. Niejeden bowiem mężczyzna, zwabiony pozornym blichтром, łudzić będzie i ją i siebie na

dzieją zameżcia. Ułuda to okrutna, nie dla niego, lecz dla niej, gdy się marzenia w puch rozwieją... Serce potem boli, a z pamięci wydrzeć wspomnienia trudno...

Mówiła szybko, drżącym, przytłumionym głosem. Wielkie, ciemne jej oczy, wpatrzone w przestrzeń, załzawione były i mgłą pokryte.

Zatrzymaliśmy się koło baryery, odgradzającej resztę stawu od toru ślizgawkowego.

Władzia oparła się o tę baryerę, zwróciwszy się twarzą do tłumu, który szarzał w oddaleniu.

— Jeśli mężczyzna ma choć trochę honoru — zaczęła znowu urywanym głosem, — to skoro spostrzeże taką wydziedziczoną istotę, powinien uciekać od niej, jak od paryi salonowej!.. Parya to prawdziwa taka

dziewczyna bez przyszłości i bez jutra. Po cóż więc ludzi siebie wzajemnie i narażać ją na obmowę i pośmiewisko drugich? Tembardziej, że ona, ta parya, nie da się porwać ułudzie. Ona wie dobrze, za czym taki człowiek goni. Nie za nią, nie za jej wdziękami, boć inne koło niej są stokroć piękniejsze... ale za domniemanym posagiem!.. A ja panu mówię — zawołała z nagłą gwałtownością, — że ta dziewczyna nie ma nic, nic, prócz kilkunastu sukien i fałszywych brylantów; że jej własność

to tylko brzydota, którą ludzi odstrasza, i łzy, które codziennie połykać musi!

Drżała tak mocno od wewnętrznego wzruszenia, że obawiałem się, aby nie upadła; mimowoli więc wyciągnąłem ku niej rękę.

— Ależ, panno Władysławo! na Boga! co pani?.. Rozumiem dobrze, o czym i o kim pani mówi i...

— O! nie rozumiesz mnie pan wcale — przerwała; — gdybyś mnie pan zrozumiał, to przedewszystkiem nie powinieneś już tu być przy mnie...

— Ależ pozwól pani!.. wiem, iż słowa twoje o paryi i o mężczyźnie goniącym za nieistniejącym posagiem odnosiły się do mnie... wszak prawda?

— Tak! tak jest! nie myślę zaprzeczać. Możesz pan pomyśleć o mnie, co ci się podoba, ale woję odrazu przeciąć ten węzeł. Nie chcę, ażebyś pan ludził się niepotrzebnie, a przedewszystkiem nie chcę sama być ludzoną. Raz jeden przejść takie piekło... to wystarcza!.. nie chcę tego więcej!.. nie chcę!.. nie chcę!..

Konwulsyjnie ścisnęła drzewo balustrady i patrzyła mi teraz prosto w twarz.

Pomimo zmroku, dostrzegłem wyraźnie blask jej oczu i pobladłe od wzruszenia lice.

Wydała się bardzo rozdrażnioną i nieszczęśliwą.

— Nazwij pan mój postępek, jak chcesz... dziwactwem, ekscentrycznością, brakiem wychowania i taktu, ale odejdź pan ode mnie, pozostaw mnie samą! samą jedną!

Uczułem, że przychodzi chwila położenia tamy tej dziwnej sytuacji.

— Panno Władysławo — wyrzekłem poważnie. — Zbliżyłem się do ciebie wczoraj, bo wyczytałem odrazu w twych oczach jakąś tajoną boleść i cierpienie... Dwoma słowami uspokoję twe słuszne obawy, gdyż widzę, że sytuacja twoja, jako ubogiej panny na wydaniu, jest w tym hałaśliwym świecie nie do pozazdroszczenia... Jestem zaręczony!..

Szybko, jak błyskawica, zwróciła się Władzia w moją stronę.

— O! co za szczęście! — zawołała radośnie—więc pan nie myślisz zacząć się starać o moją rękę?

— Rączkę pani uwielbiam, jako arcydzieło natury—odparłem, —ale posiąść ją na wieki nie miałem nigdy zamiaru...

— Kamień mi pan z serca zdejmujesz! — wyrzekła, oddychając ciężko.

Obawiałam się, że znów... ale co tam! skoro tak nie jest, wracam panu mój szacunek i pierwsza podaję

rękę do zgody. Daruj pan moje szorstkie słowa i bądź mym przyjacielem! Ująłem podaną mi rękę i przytrzymałem ją w swych dłoniach.

— Otóż to posada, o którą starać się zamierzałem; zajmuję ją i tak prędko z niej nie ustąpię. Ale jest cokolwiek chłodno, w zapale rozmowy nie spostrzeżliśmy tego; powrócemy do towarzystwa, które, o ile widzę, poprzytwardzało sobie lampki na głowach.

— Oświecili się na zewnątrz, olej jednak z pewnością nie z ich głów pochodzi: zjasno lampki płoną — odpowiedziała Władzia, poruszając się z miejsca. — Proponuję jednak zakreślić elipsę dokoła tej połowy stawu i dopiero powrócić do towarzystwa.

— Czy przyjmujesz pani moją pomoc?

— Piękne pytanie! To pański obowiązek, jako przyjaciela.

— Co panią jednak naprowadziło na myśl, że stanę w rzędzie konkurentów do ręki pani? — zagadnąłem ją po chwilce milczenia.

— Ależ rzecz bardzo prosta — odpowiedziała: — przybyłeś pan świeżo do miasta i nagle z pośród całego grona pięknych i zgrabnych panien wybierasz... „znak zapytania!”

— Jakto?.. więc pani wiesz?..—przerwałem zdziwiony.

— Ach! ja wiem wszystko! nawet więcej, niż pan przypuszczasz. Wiem, że się nazywam „znakiem zapytania,” hrabianką Skierką i t. p. Nie gniewam się wcale, bo rzeczywiście w salonie jestem zupełnie deplacee. Mam jednak wielką zaletę; nie lubię kłamstwa i blagi. Chcę mówić prawdę. Jean Jacques w swoich „Reveries” powiedział, że człowiek pracy est aussi fidele a la verite, qui l'accuse qu a celle qui l'honore. W oczach świata ubóstwo i brzydota są wielkimi błędami; głośno więc mówię, że jestem biedną i ścieram puder z twarzy, skoro mnie mama nie widzi. Pomimo to zdarza się czasem człowiek, który, złudzony pozornym szychem, zaszczyca mnie swoją uprzejmością aż do chwili, w krócej się przekona, że kamienica mamy ma więcej długów, niż stopni schodów lub cegieł w swych murach. Widząc zajęcie się pana moją mizerną osóbką, zajęcie uparte, przeciągające się aż do dnia dzisiejszego, uczułam do pana żal wielki, że i pan stanąłeś w moich oczach na bardzo niskim poziomie. Masz pan coś szlachetnego w sobie i nie chciałabym źle myśleć o panu. Ztąd ten cały wybuch, który przy moim temperamentie cholerycznomelancholijnym jest zwykłym objawem.

W tej chwili jestem już spokojna, skoro wiem, że pan masz narzeczoną. Posunę nawet moją niedyskrecję do tego stopnia, że się zapytam: a quand la nóce?

— Nie mogę pani na to odpowiedzieć—odparłem,—narzeczoną moja chodzi jeszcze w krótkiej sukience, uczy się i kształci. Pragnę mieć żonę doskonałą, i tak, jak mówi Reich, ani zbyt głupią, ani zbyt mądrą; ale chcę, aby posiadała średni zasób siły i dostateczną siłę oporu moralnego przeciw wpływom światowym. Kształcę sam swoją żonę i sądzę, że czynię dobrze.

— Tak! bezwątpienia, masz pan zupełną rację. Czynisz dobrze, urabiając sobie według swych pojęć towarzyszkę życia. Ale powiedz mi pan, który jesteś tak rozsądny, czy koniecznym przeznaczeniem kobiety jest wyjść za mąż?

— Czytałem w jakiejś książce zdanie, że kobieta bez męża jest tylko odłamkiem kobiety... Według mnie, zdanie to przynosi ujmę człowiekowi, który je napisał. Kobieta każda, czy piękna, czy brzydka, powinna być przygotowana na staropanieństwo. Małżeństwo więc powinna uważać za przyjemną niespodziankę, a gdy ją ta niespodzianka minie, stworzyć sobie byt niezależny i nie roztkliwiać się nad sobą samą.

Władzia zwolniła bieg i zdawała się zastanawiać nad temi słowami.

— Więc, według pana, działalność kobiet na zewnątrz nie jest szkodliwą?

— O tyle, o ile zostawia kobietę w domu i nie wkracza w atrybucyę mężczyzn.

— W tym względzie masz pan słusność zupełną. Kobiety bretońskie i duńskie, których liczba, jako urzędników, marynarzy i przemysłowców, równoważy działalność mężką, są dla mnie czemś niezrozumiałem.

Pytam: kto w tych krajach wychowuje dzieci? Ale... nie o to chodzi.

Chciałam pana zapytać: czy praca ręczna, praca ściśle spojona z ręką kobiecą, krzywdzi, choćby zysk jawny z tej pracy ciągnąć przyszło?

— Nigdy!—zawołałem—skoro praca taka jest konieczną dla zaradzenia złemu, lub ma zapewnić byt tejże kobiecie lub jej najbliższym. Kobieta owa nie powinna się wahać ani na chwilkę, lecz oddać się tej gałęzi pracy ręcznej lub umysłowej, która się z jej przekonaniem i usposobieniem zgadza.

— Nie zważając, co ludzie na to powiedzą?— zabrzmiało koło mnie cichutkie zapytanie.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

W mroku wieczornym nie mogłem dostrzedz jej twarzy, czułem tylko, że ręce jej drżały nerwowo,

— O tych ludzi, co z uczciwych dążeń i usiłowań szydzą, lub okazują pogardę, niewiele dbać potrzeba. Zresztą, nie wiem, o jakich ludziach właściwie pani mówi?

Szybko uwolniła z mój dłoni lewą rękę i, nie ustając w biegu, wskazała mi tłum czerwonych i zielonych latarek, migających przy dźwiękach muzyki.

— Mówię o... tym świecie! — wyrzekła, przymuszając się do swobody i wesołości w głosie.

— Ach! ci! — odparłem—Więc to o nich pani chodzi, o nich... mój Boże! cóż pani odpowiem? Postawiłaś mnie pani w kłopotcie. ?le mówić nie mogę, bo wszakże i pani do nich należysz,..

— O, nie!—zawołała z pośpiechem tylko tytuł mej matki jest jakąś nicią, wiążącą mnie z nimi. Ale prócz tego nic niema wspólnego między mną i tymi ludźmi...

— Pani mnie zadziwiasz—rzekłem,— wyrażasz tak otwarcie zdanie, za które rzuconoby na panią co najmniej klątwę.

— Rzucono ją oddawna; wszak mówiłam panu, że nawet i w arystokratycznym świecie jest kasta paryasów.

— Zdaje mi się jednak, że mogłabyś się pani z niej wydostać — zauważyłem nieśmiało.

— O! gdyby to ode mnie zależało —zawołała z energią, — ani chwilibym się nie wahała; ale pozostaje mama... Ta jest tak przyzwyczajona do rodzaju życia, jakie prowadzimy, że dla niej zdawałoby się niepodobieństwem zmienić go choćby w części. Biedna mama! kołyszą ją wieczne ułudy świetnego mego zameżcia. Jakiś księżę krwi miał się dawniej zachwycić memi wdziękami i dobijać się o moją rękę. Dziś przestała mama marzyć o księciu krwi i radaby poprzestać choćby na .

— Choćby na mnie—dokończyłem, widząc, że urwała.

— Justement, na panu. Cały wczorajszy wieczór musiałam słuchać hymnów pochwalnych, na cześć pana wygłaszanych. Teraz, gdy opowiem mamie, jak rzeczy stoją, rozpocznie się cała gra na nowo...

Westchnęła, jakby w przewidywaniu przyszłej wędrówki po salonach. Po krótkiej chwili dodała:

— Wiecznie wędrować, Ahaswera syny! Żal mi się zrobiło tego dziewczęcia.

— Wie pani—wyrzekłem wesoło,—zróbmy pewną ugodę na korzyść pani. Nie mów pani nic mamie, że jestem zaręczony; pozostaw

my rzeczy tak, jak są. Pani w ten sposób zostaniesz na czas jakiś uwolnioną od nudnego bywania w salonach, gdyż ja, jeśli na to pozwolisz, spędzać będę z panią wieczory. W ten sposób wszyscy będziemy

zadowoleni. Pani na czas karnawału nie będzie potrzebowała tańczyć i nudzić się na balach, mama nie będzie miała powodu do żalu, a ja najwięcej skorzystam, bo kilka tygodni miłych tete a tete z inteligentną i serdecznie pocziwą kobietą!

Ona uścisnęła mi rękę na znak zgody i odparła wesoło:

— Chętnie przystaję na ten układ; znikniemy więc z przed oczu ludzkich, będziemy mieli czas zostać prawdziwymi przyjaciółmi, a ja odetchnę tem spokojnem domowem powietrzem, do którego wzdycham napróżno. Jakże panu serdecznie wdzięczną za to będę!..

Zbliżaliśmy się powoli do wesołego i hałaśliwego grona. Już można było rozróżnić twarze osób, oświecone kolorowemi latarkami, przytwierdzonemi na wierzchu głów.

Purpurowe lub zielonawe blaski latarek oblewały fantastycznym światłem twarze naprzeciw znajdujących się osób. Kobiety po raz pierwszy jedna drugiej pożyczają blasków i nie skąpiły ich sobie.

Nagle Władzia zatrzymała się tuż przy ławce i, przyklękawszy na niej, pociągnęła mnie koło siebie.

— Powiedz mi pan —zapytała, — co pan myślisz o mnie?.. Sądysz mnie istotą szaloną, pozbawioną taktu i zasad dobrego wychowania. Znamy się tak krótko, a tyle już pomiędzy nami zaszło!.. Prawdziwie lękam się nawet pomyśleć o tem, czem się być panu wydaję!..

— Najmilszą i najotwartzszą kobietą pod słońcem—odrzekłem z całym przeświadczeniem;—pragnąłbym, aby ta, która stać się ma żoną moją, była równie zajmującą w swej prostocie, równie ujmującą w swej szczerości, jak pani jesteś. Słowem pragnę, aby była do pani podobną!..

— Och! na miłość boską! tylko nie powierzchownie! —zawołała wesoło.

—Przykrą bowiem rzeczą byłoby dla pana mieć żonę, któraby nazywali „znakiem zapytania...”

Powstała z ławki i gotowała się do dalszego biegu, gdy wtem jakaś para czerwonych latarek oderwała się od tłumu i skierowała ku nam.

Jedna z latarek, znacznie wyżej osadzona, należała prawdopodobnie do mężczyzny, druga do kobiety.

Ująłem Władzię za ręce i zaczęliśmy posuwać się naprzód. Biegająca ku nam para w kilka minut była tuż przy nas—rozmawiali pochyleni ku sobie, bo purpurowe światło oblewało ich twarze. Poznałem natychmiast Stania i pannę w bogatym dolmanie. Przypatrywałem się im z zajęciem, gdy nagle, szarpnięty silnie, o mało nie straciłem równowagi.

Była to Władzia, która zachwiała się nagle i prawie bezwładna osunęła mi się na ręce.

Przerażony, podtrzymując osłabłą dziewczynę, z trudem przysunąłem się do ławki i posadziłem na niej hrabiankę. Ona siedziała chwilę nieruchoma, wspierając na poręczy pochyloną głowę.

Stałem obok niej, tłumacząc sobie różnie przyczynę tej nagłej niemocy.

Powoli Władzia podniosła głowę i obróciła ją w stronę, w której na pustej przestrzeni migotały dwie czerwone latarki. Chwilę patrzyła na nie, poczem zwróciła się ku mnie i głosem drżącym przeprosiła za mimowolną przykrość, jaką mi sprawiła.

— Przychodzi to czasem na mnie niespodziewanie — tłumaczyła się, jakby chcąc się usprawiedliwić — i to najczęściej bez powodu...

Nie umiała kłamać, czułem to w jej głosie—ale szanowałem powód, dla którego ta istota, tak brzydząca się fałszem, mijała się z prawdą w tej chwili.

Musiał to być powód ważny, sięgający aż do dna jej duszy i mający tam bolesną, może niezagojoną jeszcze bliznę.

Milczałem, nie chcąc powiększyć jej zakłopotania.

Ona ciągle odwracała głowę w stronę w którą pobiegnął Stanio ze swą narzeczoną, i dopiero po długiej chwili otrząsnęła się z tego zapatrzenia..

— Chodźmy już—wyrzekła,—zimno mi.

Drżała cała i była bardzo smutna i zgnębiona. Gdy przybyliśmy do miejsca, gdzie siedziała stara hrabina, skulona i drżąca w swem lekkim okryciu, Władzia owinęła się rotundą i spojrzała błagalnie na matkę.

— Wracajmy do domu!—wyrzekła — dziś mróz nadto wielki.

Ale hrabina Skierka była prawdziwie bohaterką. Zsiniała od zimna, oświadczyła, że „aura jest prześliczną” i jej poprostu gorąco, a więc córka pozostać powinna i tańczyć kadryla przy świetle elektrycznym, które lada chwila zabłysnąć miało.

Na błagalny jednak ruch Władzi postanowiłem przyjść z pomocą nieszczęśliwej dziewczynie.

— Jeśli panie pozwolą towarzyszyć sobie, to rzeczywiście powinniśmy już odjechać, tembardziej, że panna Władysława zdaje się być cierpiącą. Proszę więc posłuchać mej rady, a natychmiast pobiegnę i każę zajeżdżać.

Słowa moje odniosły magiczny skutek. Ja to widocznie byłem tem słońcem elektrycznym, dla którego hrabina pragnęła na stawie pozostać.

W jednej chwili zmieniła swą rolę: zaczęła ubolewać nad cierpieniem córki i zgodziła się na natychmiastowy odjazd do miasta.

Gdyśmy wsiadali do sanek, Władzia pochyliła się ku mnie i ścisnęła gorączkowo moją rękę.

— Dziękuję!—wyszeptała—dłużej nie mogłabym tu zostać... stokroć wolałabym być pod lodem, niż na lodzie!

Od tej chwili byłem codziennym gościem hrabiny. Władzia z prawdziwą radością witała mnie, a blada jej twarzyczka ożywiała

się na mój widok miłym uśmiechem. Hrabina była w siódmym niebie— przybrała mnie natychmiast w nazwę konkurenta i jako takiego przyjmowała w swym domu. Ja bywałem tam codziennie, starając się wszelako jaknajmniej pokazywać publicznie w towarzystwie tych pań. Nie chciałem, aby ogólnie sądzono, iż staram się o rękę Władzi. Dla jej spokoju zgodziłem się chętnie na odegranie tej czasowej komedii, ale pragnąłem, aby wieść o tem nie wyszła poza obręb saloniku hrabiny... Ach, ten salonik!

Do dziś mam go przed oczami.

Czysty magazyn bric a brac —skład obrazów, rupieci, mebli stylowych opatrzonych wspaniałymi herbami i gobelinów rzeczywiście cennych, ale pocerowanych w dziwaczny sposób. Do tego proszę dołączyć etażerki pełne nut, żardinierki zastawione doniczkami przekwitłych kwiatów i zżółkłych roślin, fortepian długi, wazki, wiecznie odstrojony, jeszcze z fabryki Mannlinga, masę ciężkich aksamitnych portyer o zczerniałych złotych frezłach, Chińczyków bez głów, ramek bez fotografii, albumów z oderwanymi kłamrami, kandelabrow bez świec—a będziemy mieli słabe wyobrażenie tego,.. co się nazywało salonem hrabiny Skierki.

Fałsz, szych, obłuda, chęć błyszczczenia, wyszczerzały swe zczerniałe zęby z każdego kącika tego mieszkania.

Atmosfera kłamstwa owiewała na progu— i tylko oczy Władzi błyszczały nieskalanym i niepożyczonego blaskiem wśród stosu tych rupieci i

świecideł. Ich więc szukałem, wchodząc na próg tego pokoju; patrząc w te ciemne, prawdziwie dziewicze źrenice, zapominałem o odstrojonym fortepianie i dziurawym dywanie.

Siadaliśmy najczęściej w kąciku, utworzonym z rodzaju oszklonego balkonu w kształcie małej rotundy. Stała tam kanapka, pokryta strzyżonym aksamitem, na którym naszyty był pas roboty gobelinowej. Pudrowani pasterze i pasterki tańczyli przy odgłosie fletu, podnosząc wysoko strojne w kokardy nóżki. Był to mebel rzeczywistej wartości i najmniej zniszczony z całej kolekcji. Przed nami stał mały stoliczek na jednej nóżce i kilka taburetków, pokrytych również aksamitem i gobelinowymi medalionami. W rotundzie tej panowało miłe światło, przyemione jasno niebieskimi firankami, zasłaniającymi okna. Wieczorem paliła się tu lampa mleczna, ładna kula alabastrowa, zawieszona na brązowych łańcuszkach. Atmosfera tandety nie

wdzierała się do tego kąciaka. Dobrze nam tu było we dwoje, spokojnie i do rozmowy wygodnie.

Rozmawialiśmy ciągle i nigdy nam nie zabrakło tematu. Kompletowałem wiadomości Władzi, starając się o ile możliwości zaprowadzić ład w tym niepospolitym umyśle. Była to istota niezmiernie inteligentna, trzeźwa, ciekawa i pełna zdrowych na świat poglądów. Zadziwiała mnie często trafnymi spostrzeżeniami i rozwinięciem strony duchowej. Mimowoli pytałem się samego siebie: kto kształcił tę młodą dziewczynę? kto wskazał jej, jak ma zapatrywać się na życie? Czy był to wrodzony instynkt, czy też najlepsza szkoła, bo szkoła niedoli?

To jednak pewna, że posiadała ona przede wszystkim rozsądek i bystrość dostrzeżenia drobnych życiowych szczegółów. Z wielką trafnością oceniała wartość moralną każdego ze swych znajomych, strzegąc się przy tem zbytnej złośliwości. Rozsądek jej był ruchliwym i sięgał głębiej, niż zwykłe kobiece rozsądki. Miała jeden szczególny przymiot— umiała z życia chwycić chwile prawdziwej poezji, ku czemu łatwo jej dopomagała

właściwie postawiona fantazyja i ta prawdziwa kobiecość, to ewig weibliche, które otaczało nawet jej schyloną i niekształtną postać.

Czytała wiele, i w umyśle jej nagromadzone były stosy dzieł, tak jak w salonie jej matki masy podejrzanej wartości przedmiotów. Pamięć miała wyćwiczoną nadzwyczajnie. Rozmawiając ze mną, cytowała nazwiska Marath, Foissac'a, LeroyBeaulieu, E. Schireff'a i tym podobnych. Chwilami imponował mi ten ogrom wiedzy, jaki z nadzwyczajną prostotą i dziecinną wesołością przede mną roztaczała. Nie był to pusty popis pochwytych naprędce wiadomości. Widziałem, że ta dziewczyna studyowała pilnie to, co się do kobiet odnosi. Nieśmiała do zbytku i małowólna wobec osób mało jej znanych i różniących się zapatrywaniami od niej, ze mną była rozmowną, szczerą i serdecznie wylaną. Hrabina przysłuchiwała się czasem naszej rozmowie—najczęściej jednak przechodziła do salonu i pozostawiała nas samych w rotundce. Spacerowała po salonie, przyglądając się starym i świeżym dziurom w portyerach i szeleszcząc trenem zrudziałej jedwabnej sukni. Chwilami stawała na progu i przyglądała się nam z najwyższym zadowoleniem. Wówczas Władzia i ja zamienialiśmy ze sobą znaczące spojrzenia, a mama oddalała się dyskretnie, zapewne w celu, aby się „dzieci” porozumiały.

W mieście obiegały wprawdzie głuche wieści, że konkuruję o hrabiankę, ale nie widząc mnie prawie nigdy z temi paniami, nie dawano wiary podobnym pogłoskom, których źródłem była sama hrabina.

Ja zaś, wymyśliwszy jako pretekst nagłą żałobę po dalekiej krewnej, zaprzestałem bywać w świecie i całe wieczory spędzałem w towarzystwie Władzi. Hrabina zaś odmawiała wszelkim zaproszeniom pod pozorem wątłego zdrowia córki i oczekiwała mego przybycia z wielką niecierpliwością.

Władzia więc używała „wakacyj” w całej pełni. Nawet zdrowie jej znacznie się polepszyło. Twarz nabrała koloru, a policzki wypełniać się zaczynały. Powtórnego napadu nagłego osłabnięcia, jak wówczas na lodzie, nie doświadczyła nigdy.

Wkrótce odgadłem tajemnicę jej serca. Z krótkich, urywanych słówek i kilku faktów, tudzież z ust znajomych, zebrałem sporą wiązkę, która dała mi pewność co do bolesnego zawodu, przez jaki to dziewczę przejść musiało.

Postanowiłem jednak dowiedzieć się całej prawdy od niej samej i nie wątpiłem, że mi się do wszystkiego przyzna.

Codziennie więc biegłem do domu hrabiny i po starych, trzeszczących, lecz wyfrote

rowanych schodach dostawałem się na pierwsze piętro. Drzwi mi otwierał chudy, młody chłopak, ubrany w granatową liberyę, którą nosił w najfatalniejszy sposób. Byłem przekonany, że zastanę hrabinę, oczekującą na mnie na środku salonu z najuprzejmiejszym uśmiechem, na jaki zdobyć się mogła jej pomarszczona twarz.

W kilka chwil potem zjawiała się Władzia i w ciemnych jej oczach łatwo mi było wyczytać radość z mego przybycia. Najczęściej przynosiłem jej najświeższe książki, za które dziękowała mi z ujmującym wdziękiem. Dostrzegłem bowiem, że z westchnieniem mówiła mi o dziełach, wyszłych z pod prasy. Ubóstwo nie pozwalało na zbyt kowny wydatek.

Wogóle pozycja tych pan była bardzo krytyczną. Dom, który zamieszkiwały, był ich własnością, ale cyfra długów przenosiła wartość tej nieruchomości.

Przytem liczba drobnych wierzycieli była widocznie znaczną, bo co chwila zjawiały się jakieś postacie, oczekujące na hrabinę w przedpokoju. Nieraz na twarzy matki dostrzegałem wysokie zakłopotanie, a w oczach Władzi znaki łez. Dom ten wydawał mi się jakimś rodzajem *chambres garnies*, w których mieszkające osoby nie mają prawa do mebli, ani sprzętów. Wieczny jakiś niepokój panował

pod tyra dachem, coś przelatującego, jakiś duch nędzy i blichtru. Na marmurowej paterze leżały stosy biletów wizytowych, rzuconych, jak jałmużna, w przejeździe pomiędzy jedną wizytą a drugą. Żadna z dam, odwiedzających hrabinę, nie zadawała sobie trudu z wstępowaniem na górę—zostawiano bilety u stróża przez wygalonowanego lokaja. Ztąd ta wielka ilość biletów, powiększająca się z dniem każdym. Traktowano je jak żebraczki salonowe, zapraszano z przyzwyczajenia, jako złe konieczne.

Odkąd wiedziałem, że Władzia znała swoje położenie w świecie i to, co o nich mówiono, dziwiłem się bardzo, że istota tak ze wszech miar rozsądna i pełna miłości własnej naraża się na podobne upokorzenia.

Wiedziałem, że bywała w towarzystwach niechętnie i niemal ze wstrętem, ale bywała przecież aż do tej chwili.

Dlaczego?

Matka miała wpływ wielki nad córką, ale nie wywierała znów przymusu fizycznego, jedynie tylko moralnie starała się, nękając i dręcząc, doprowadzić swe życzenie do skutku.

Władzia bezwzględnie kochała matkę i nie miała siły stawić dostatecznego oporu. Brakło jej stanowczości, co jest wogóle wadą wielu kobiet.

Zdenerwowana, zmęczona na ciele i duszy, włóczyła się z wieczoru na wieczór, strojąc w suknie, robione w magazynach na kredyt, lub podarowane jej matce przez bogatsze kuzynki.

Hrabina miała bowiem wiele krewnych, a panie te uznawały za stosowne przysyłać tej pauvre comtesse używane raz suknie, wraz z uprzejmym bilecikim, osładzający m gorzką dla Władzi pigułkę.

Było to więc życie straszne, męczarnia dziwna dla młodej i wrażliwej istoty, wiedzącej, czym jest w człowieku poczucie własnej godności.

Hrabina, zaślepiona pragnieniem wydania córki za męża, zgłuszyła w sobie dumę i miłość własną, z łapczywością zwierzęcia chwytła ofiarowywane jej przedmioty, ciesząc się z łatwego nabytku.

W każdym jednak razie nie pojmowałem, z czego właściwie żyły te panie.

Podarunki krewnych ograniczały się do sukien jedwabnych, podbijanych cripelisse'm, lub kilku piór rozfryzowanych i wyblakłych.

Rzeczy te były niewątpliwie piękne i kosztowne—ale niepożywne.

Zagadka ta rozjaśniła się niebawem.

Zauważyłem jednego wieczoru, że Władzia nie pokazywała się długą chwilę — hrabina tymczasem zabawiała mnie rozmową,

spoglądając niespokojnie ku drzwiom pokoju córki.

Po półgodzinnym oczekiwaniu ujrzałem wreszcie wychodzącą Władzię.

Wyciągnęła ku mnie rękę, którą ująłem z pośpiechem. Ze zdziwieniem największym dostrzegłem na palcach jej ślady zielonej i różowej farby.

Przytem ręka jej drżała jakby od jakiejś forsownej pracy. Postanowiłem nie pominąć tak dobrej sposobności.

— Czy pani zajmowałaś się w tej chwili malarstwem? — zapytałem żartobliwie, podnosząc jej rękę do światła i wskazując na zarumienione palce.

Nie odpowiedziała mi nic, cofnęła tylko szybko rękę i ukryła ją w fałdy sukni. Hrabina przyszła jej z pomocą.

— Córka moja — odpowiedziała nadzwyczaj szybko — robi śliczne bukiety dla Samie Vilrge katedralnej. Jest to rodzaj pobożnego votum... i w tej chwili kończyła wspaniałą girlandę dla tego autelu.

Czułem, że mówi nieprawdę, więc spojrzałem uważnie w twarz Władzi. Stała z pochyloną głową i brwiami ściągniętymi, jak zwykle, gdy matka mijala się z prawdą.

— Może przeszkadzam — zawołałem. — O! proszę, panno Władysławo, kończ swoją

pracę w mej obecności. Będę najszcześliwszym, mogąc przyjrzeć się tworzeniu tych ślicznych arcydzieł. Chętnie nawet dopomogę w układzie, bo znam się cokolwiek na malarstwie, a kwiaty studyowałem specjalnie... Władzia podniosła głowę i spójrzała na matkę. Ta ostatnia zdawała się wahać chwilę, ale widocznie jakieś względy przemogły, bo, śmiejąc się z przymusem, zawołała:

— Eh! bien!.. Skoro pan jest amatorem tego rodzaju pracy, przynieś, Władziu, twój mały warsztat. *Votis allez lui donner du gout*— dodała, zwracając się ku mnie.

Skłoniłem się na znak potwierdzenia.

Władzia wyszła szybko i po chwili wróciła, niosąc na kwadratowej desce niezliczoną ilość pączków różanych i mchu, nawiniętego na pręciki druciane.

Rozłożyła to wszystko na małym stolyczku w rotundzie i usiadła na kanapce. Z wielką zręcznością i wprawą zaczęła układać rozmaitej wielkości płaskie bukiety z pączków, cieniując je z wytwornym smakiem. Wychudłe jej białe ręce migają tylko, a wążka tasiemka brunatnej

wyksatyny, którą owijała korzenie, przesuwała się przed memi oczyma jak wąż skrzydlaty.

Hrabina przyniosła flakon esencji różanej i nakrapiała nią mech, a mdły zapach róż unosił się w powietrzu i przepelniał całą alkowę.

Ja milczałem, zapatrzony w tę pracującą dziewczynę, której kolana i suknię zasypywały różowe kwiaty. W tej atmosferze róż, pomiędzy pękami pączków i mchu, piękniała mi prawie, a oczy jej jaśniały zadowoleniem. Hrabina zato mówiła wiele — opowiadała o skuteczności podobnych ofiar, o piękności ołtarza i zadowoleniu księży, gdy bukiety wkładają w wazon.

— Ja sama kwiaty te zanoszę. Władzia ma pod tym względem pewne uprzedzenia...

i dziś, pomimo spóźnionej pory, bukiety odniosę... Jutro jest jakaś uroczystość, trzeba więc świeżej ozdoby do ołtarza...

Władzia poruszyła się niecierpliwie, pracowała z gorączkowym pośpiechem i dwie ceglaste plamy wybiegły jej na policzki. Zwijała teraz drobne, maluchne bukietki, takie, jakimi obecnie elegantki przystrajają dół balowych sukien.

Usiadłem przy niej i wziąłem jeden pączek w rękę. Kwiaty były doskonale wykonane, naturalne, niektóre trochę nadwiedłe jakby w atmosferze balowej. Na ciemnej

sobu zapatrywania się na stanowisko pracującej kobiety.

Gdy hrabina, już ubrana zupełnie, powróciła, a lokaj, zabrawszy pudełko, wyszedł z salonu, oświadczyłem chęć oczekiwania wraz z Władzią jej powrotu.

— Radbym pomówić z panną Władysławą o rzeczach poważnych, blisko ją obchodzących—rzekłem dla usprawiedliwienia niejako mego żądania. Hrabina patrzyła na mnie przez chwilę widocznie zdziwiona tym brakiem taktu z mej strony.

Wprędce przecież opamiętała się i, zapewne sądząc, że pragnę użyć tego tete a tete do finalnych oświadczeń, zgodziła się chętnie na moją propozycję.

— Wracam najdalej za pół godzinki—wyrzekła już we drzwiach;— katedra niedaleko, a zakrystyan, któremu mam oddać kwiaty, mieszka obok. Au revoir! au revoir!..

Zniknęła we drzwiach, pozostawiając nas samych.

Władzia przeszła z rotundy do salonu i stanęła przy stole, zarzuconym rycinami. Machinalnie przerzucała ozdobne wydanie Schillera—znać myśl jej była gdzieindziej.

Podszedłem do niej i stanąłem po drugiej stronie stołu.

Blask lampy padał na jśj twarz wybladłą i oświecał dokładnie szczupłą i nędzną jej postać.

— Panno Władysławo!—zacząłem — dlaczego wstydziałaś się do tej chwili swój pracy? Dlaczego pokątnie, i kryjąc się, zarabiasz na chleb dla siebie i dla matki? Czy nie chcesz przyznać się, że żyjecie z pracy rąk twoich?

Ona spojrzała na mnie i nagle zarumieniła się, jakby pod wpływem wielkiego zawstydzenia.

— Prawda, kryłam się z mą pracą... — odpowiedziała mi niepewnym głosem — ale w świecie, w którym bywam, nie pracuje nikt! Wszyscy się tylko bawią! Pracę pozostawiają motłochowi. Jakże pan chcesz, ażebym głośno i otwarcie przyznała się, że kleję po nocach listki i kwiaty, którymi

te panie później przystrajają swe suknie? Jestem już i tak parą salonów...
czemże wtedy się stanę? ileż przykrości i upokorzeń znieść będę
zmuszona!

— Czem się pani wtedy staniesz?—podchwyciłem — kobietą, godną czci
i szacunku, przed którą zamkną się może drzwi buduarów, ale otworzą
podwoje domów, zamieszkałych przez ludzi pracy, czynu i honoru! Ci
ludzie uwielbiać cię będą, a ręce twoje, zbru

dzione farbą i pokłute drutami, służyć będą za wzór wytrwałości i
dzielności niewieściej. Jestem twoim przyjacielem, więc daruj mi, że
mówię do ciebie w ten sposób. Chciałbym, zanim odjadę, widzieć cię
doskonałą, bez tego fałszu i blichtru, uwolnioną od szyderstw i pocisków
świata. Płaczesz, biedne dziecko!—dodałem, widząc łzy w jej oczach —
płacz! niech razem z temi łzami spłynie i ta reszta dumy, która
niepotrzebnie serce twe kala. Pozbądź się jej i wznieś czoło, ty, która
jesteś o tyle wyższą od tych bezmyślnych lalek, pozwalających sobie
szydzić i upokarzać ciebie. Zapomnij, że istnieją salony... po macoszemu
obchodzą się tam z tobą... wzamian za twoje serce i czyste spojrzenie dają
żart, często bolesny.

Władzia zakryła twarz rękami; stała tak długą chwilę, jakby zbierając
myśli, poczem wyrzekła:

— Masz pan słuszność! czuję to! ja sama nie pragnę i nie chcę bywać w
tak zwanym „świecie." Jakże często, po nocy spędzonej bezsennie, byłam
zmuszoną przyrządzać sobie stroje balowe i znów noc całą siedzieć,
wyczekując napróżno dansera. O! te długie godziny, jakie spędzałam,
siedząc na krzeselku obok matki, wydawały mi się piekielną męczarnią.
Gdy wreszcie ktoś zlitował się nad mem opu

szczeniem i wziął mnie do tańca, czułam dokoła siebie szydercze spojrzenia, słyszałam śmiechy, żarty, i konałam z bólu i wstydu, nie mogąc nakazać tym ludziom milczenia. „Znak zapytania!” „znak zapytania!”—mówiła z wzrastającą goryczą—rzeczywiście jestem „znakiem zapytania” w tem towarzystwie ludzi bogatych, strojnych, wesołych, ja, biedna, brzydka i z wiecznym smutkiem, wypiętnowanym na twarzy.

Zatrzymała się chwilę, jakby dla nabrania oddechu.

— Pan nie wieś jeszcze wszystkiego — ciągnęła dalej z gorączkowym niepokojem,— do jakiego stopnia okrucieństwa posunęli się ci ludzie... Jesteś pan mym przyjacielem, bratem prawie. Przed nikim tak otwarcie nie odsłaniałam tajników mej duszy... Zresztą, jeśli nie ja sama, to opowie ci moją przygodę każda z tych wesołych pańienek: Elzia, Mizia, Lili, a może i sama Nora Hohenschuhe. Moja przygoda była bardzo śmieszna, kursowała po wszystkich salonach, bawiono się nią wybornie... kto wie! bawią się może do tej chwili! Pan znasz Stania? o! naturalnie, znać go musisz. Wszyscy go znają, a on nawzajem wszystkich. Otoż ten piękny, złotowłosy Stanio udawał, że stara się o moją rękę przez cały długi miesiąc!

a udawał tak dobrze, że mnie nawet złudził!... mnie samą!.. Co pan chcesz! serce dziewczyny, choćby najrozumniejszej, jest podległe pewnej wrażliwości na to, co piękne. Nie byłam wtedy jeszcze tak do życia zrażona, wchodziłam zaledwie w świat i nie miałam pojęcia o mojej brzydocie, a ubóstwa nie uważałam za przeszkodę do szczęścia. Zdawało mi się, że ten człowiek zajął się mną naprawdę i poprowadzi mnie przed ołtarz! Ani na chwilę nie przypuszczałam, że była to tylko komedia dla

zabawienia całego towarzystwa i ułożona poprzednio przez całe grono młodzieży. Bawiono się ze mną jak z motylem wbitym na szpilkę i cieszą się z postępów uczucia, jakie mi serce mimowoli zajęło. Dziś, gdy przypomnę sobie to wszystko, pragnę wyrzucić te chwile z pamięci, jak sen niedobry; a przecież pan sam podziwiałeś moją pamięć, więc zapomnieć tych ciężkich chwil nie mogę!... nie mogę!

Upadła na krzesło, łkając boleśnie. Ja milczałem, szanując jej wzruszenie. Po chwili podniosła twarz zalaną łzami i, wpatrzywszy się w przestrzeń, ciągnęła urywanym głosem;

— Przez ten krótki miesiąc byłam bardzo szczęśliwa! Żyłam w krainie ułud i widziałam się już w snach moich żoną tego, które

go wszyscy głośno mým narzeczonym nazywali. Szalona! nie rozumiałam, iż wszyscy dokoła byli tylko w zмовie, aby wyszydzić... „znak zapytania!” Gdy wreszcie zrozumiałam prawdę, дума nakazała mi pokazać twarz spokojną i nie pozwolić cieszyć się tym ludziom widokiem mego znękania. Ale zato w domu, w nocy, oblewałam gorzkimi łzami kwiaty, które już wtedy robić musiałam, aby nazajutrz nie cierpieć wraz z matką głodu. I to była pierwsza prawdziwa boleść, pierwszy zawód serdeczny, jaki mnie na wstępie do świata przywitał. Co najstraszniejsze, to to, że nie mogę spokojnie spotkać się z tym człowiekiem. Byłeś pan świadkiem mego wzruszenia na ślizgawce, podczas gdy on przebiegł obok nas wraz ze swoją... narzeczoną. Nie mam wszakże żalu do niego. Jest on istotą, szukającą śmiechu i rozrywki gdziekolwiek, choćby na dnie serca ludzkiego. Mam tylko żal do siebie, że dałam się złudzić tak marnej i pustej bańce, która na chwilę zamigotała mi tęczową barwą. Otarła oczy i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Pytałeś mnie pan, w jakiej szkole nauczyłam się rozpoznawać tak dobrze wady i ułomności ludzkie. Doznawszy raz tak wielkiego zawodu, odrzuciłam różowe okulary

i patrzę na świat własnymi oczami.. a że są podobno czarne, więc i ten świat jakoś czarno mi się przedstawia.

— To źle—przerwałem,—jesteś pani za młoda, pesymizm zostaw ludziom starym, zgorzkniałym; ty chciej żyć i rozwinąć w sobie tę godność kobiecą, która nie jest ani duma, ani wyniosłością, ale jest wynikiem wzniosłego charakteru.

— Jak?—zawołała.—Pozy cy a moja jest bez wyjścia, bez ratunku!..

— Bo pani nie chcesz się ratować. Jesteście w krytycznym położeniu finansowym; pani pracujesz, aby siebie i matkę od głodu uchronić, to pięknie, to szlachetnie z pani strony; ale to handel drobiazgowy, który pani niewiele przynosi, a odbiera zdrowie i siły. Załóż pani magazyn, przyjmij kilka zdolnych pracowników i spożytkuj swój gust i smak estetyczny w szerszym zakresie.

Porwała się z miejsca i postąpiła kilka kroków ku mnie.

— Myślałam o tem nieraz—zawołała,—ale rzecz to niepodobna do skutecznienia. Najprzód mama...

— Mama da się przekonać, skoro w tem szczęście pani zobaczy.

— Nigdy!

— Silna wola mury łamie. Zastanów się pani nad tem, co powiedziałem. Gdy stworzysz sobie sama ognisko domowe i zapewnisz byt niezależny, uczujesz błogi spokój, wstępujący w całą twą istotę. Dziś pani się zdaje, że nie masz dachu nad głową. . mówiłaś mi to pani kiedyś. Dach ten stworzyć możesz sama swoją pracą silną, jawną i wytrwałą. Wierz mi,

mniej cię ukrzywdzi imię twoje, błyszczące na szyldzie magazynu, niż ten „znak zapytania,” który stał się twym drugim nazwiskiem.

Na dole dał się słyszeć turkot dorożki. Widocznie hrabina powracała do domu. Władzia przystąpiła do mnie szybko i ujęła mnie za rękę.

— Dziękuję!—wyrzekła —dodajesz mi pan siły i odwagi do walki, którą podjąć się może odważyć... Ale... jeśli mi w walce tej czegoś... zabraknie, czy mogę liczyć na pana?

— Jak na samą siebie! Dumny będę, pomagając przyłożyć rękę do twojego szczęścia. W sercu mem masz pani miejsce siostry i tem mi droższej, że nieszczęśliwej, a tak godnej szacunku.

Ucałowałem jej wychudłą rękę i usunąłem się w sam czas, gdyż właśnie hrabina weszła do salonu, zmęczona od szybkiego wejścia na schody.

— Cóż? porozumieliście się państwo? — zawołała, od progu — może zawczasie wróciłam?..

— Nie, mameczko —odrzekła Władzia, odbierając z rąk matki mufkę,— rozmowa nasza skończona.

— Czy co ważnego?—nalegała hrabina.

— O! tak—odparła córka,—od tej rozmowy przyszłość "moja, zdaje się, zawisła.

Nazajutrz otrzymałem list, wzywający mnie na wieś. Obecność moja okazała się nieodzowną. Szybko więc kazałem spakować rzeczy, a sam pobiegłem pożegnać się z hrabiną i jej córką.

Zastałem Władzię samą, gdyż matka zwykłego obiedzie udawała się z tak zwanymi „wizytami."

Władzia siedziała sama w saloniku i zdawała się pogrążoną w myślach. Za mojem wejściem podniosła się szybko i podbiegła ku mnie.

Wyraz twarzy miała stanowczy i energia tryskała z jej oczu.

— Całą noc nie spałam dzisiaj — zaczęła szybko, — rozmyślałam na słowami pana;

nie wiem jeszcze, co zrobię, ale to pewna, że do salonów na upokarzającą wędrownkę nie wrócę. Nie jestem zarozumiała, ale zbyt wiele jestem przecież warta, aby służyć za bawidełko dla posażnych panien.

Ucieszyłem się serdecznie tem postanowieniem.

— Szkoda, że tej szczęśliwej zmiany obserwować nie będę, gdyż dziś wyjeżdżam — odrzekłem.

Nagły smutek powlókł jej twarzyczkę.

— O! mój Boże!—zawołała—ledwo zyskałam przyjaciela i przewodnika, już go tracę. Ale myśl moja będzie zawsze z panem. Tyś pierwszy obudził we mnie drugą, lepszą, dumniejszą istotę. Przez pana pogodziłam się niejako ze światem, bo przekonałam się, że są ludzie, dla których praca nie jest rzeczą, budzącą wstręt i niesmak, lecz przeciwnie, szacunek i poważanie. Potrzebowałam kilku słów serdecznej zachęty. Pan mi jej nie szczędziłeś... i wierz mi, nie rzuciłeś ziarna na niewdzięczną glebę.

Postaram się pracą zapełnić moje staropanieństwo, na jakie jestem skazana. Dzięki tobie, nie czuję pustki w życiu i kto wie, może jeszcze będę szczęśliwą.

— A ja mam pewność, że szczęście razem ze spokojem i wewnętrznym zadowoleniem powróci — odparłem, ściskając jej rękę; —

w długich naszych rozmowach odsłoniłaś mi nieraz głębię swej duszy; czyniłaś to bezwiednie, a przecież jak dobrze postąpiłaś! Poznawszy twą rzeczywistą wartość, uczułem, że nie spocznę spokojnie, dopóki cię nie

wyrwę z tego otoczenia, w którym nęcano cię, dręczono i dumę twą rwano na strzępki...

— O! to się już stało! — zawołała — ci ludzie dla mnie nie istnieją. Szłam do nich z ufnością i przyjaźnią, a oni zatruli mi najpiękniejsze chwile życia. Wiem, że ciężką walkę stoczyć będę musiała z matką moją i nawet nie wiem, jak zacząć... Byłam zwykle uległą i zachowywałam się prawie biernie... Teraz potrzebuję wiele sił do oporu i lękam się, czy jestem dostatecznie do walki tej przysposobioną.

— Czerp pani siły w poczuciu własnej godności, którą bronić w tej chwili jest twoim obowiązkiem—odrzekłem;—pamiętaj, że jesteś odpowiedzialną za sposób życia, jakie prowadzisz, i za następstwa, wynikłe z niego. Jesteś bowiem istotą samoistną, należycie ukształtowaną, posiadającą wiele inteligencji i rzadki u kobiety stopień rozsądku. Dlatego świat od ciebie wymagać ma prawo wiele więcej, niż od zwyczajnej przeciętnej salonowej lalki. A teraz, bądź mi pani zdrowa! Pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela, brata.

W każdej trudnej chwili odnoś się do mnie; serce moje wesprze cię radą, dłoń chętnie pomoc poda!...

Dwie łzy zabłysły w oczach dziewczyny— ręka jej gorącym, długim uściskiem objęła dłoń moją.

— Bądź zdrow, najszlachetniejszy z ludzi— wyrzekła drżącym głosem, — ty, który zlitowałeś się nad brzydką i biedną dziewczyną, i rzuciłeś jej książeczką monetę przyjaźni... jedź i bądź szczęśliwy! Więcej „znak zapytania” życzyć ci nie umie...

Przybywszy do hotelu, kazałem sobie podać rozkład jazdy. Okazało się, że do właściwego pociągu miałem jeszcze pięć godzin czasu. Postanowiłem spożytkować je na korzyść mój przyjaciółki. W tym celu kazałem zawołać faktora hotelowego i w kilku słowach wyłuszczyłem mu moje żądanie. Pragnąłem przyjść z materyalną pomocą hrabiance, ale tak wszakże, aby nie dotknąć jej dumy. Chodziło mi więc o wynalezienie jakiego handlu

sztucznych kwiatów, którego właściciel chciałby zayrzeć korzystną
współkę dla rozszerzenia handlu i postawienia go

na większej stopie. Naturalnie, że cichym współnikiem miałem być ja—
hrabiance tylko miano uczynić propozycję wejścia do firmy, dania swej
pracy i, jeśli można—nazwiska.

Nadspodziewanie powiodło mi się załatwić tę całą sprawę. Przy ulicy
Halickiej istniał magazyn kwiatów sztucznych, piór i wyrobów
dżetowych. Właścicielka, niemłoda wdowa, chorowita i obarczona
trojgiem małoletnich dzieci, oddawna poszukiwała energicznej
wspólniczki,

Za pośrednictwem faktora porozumieliśmy się w niespełna dwie godziny.
Była to kobieta inteligentna, jakkolwiek i
życiem znękana. Z niewzruszonym spokojem na wybladłej twarzy
wysłuchiwała mej propozycji, przyjęła warunki i zaprzysięgła taje
mnicę wobec hrabianki.

Propozycja spółki miała wyjść od niej samej, a Władzia byłaby przyjęta
jako współniczka bez kapitału, lecz używająca prawa j połowy czystych
zysków. Kapitał w ilości dwóch tysięcy złr. miałem dostarczyć ja, skoro
tylko układy z Władzią przyjdą do skutku, do czego zobowiązałem się
piśmiennie.

Pozostawiwszy adres wdowie i zapłaciwszy faktora, zdążyłem w sam czas
na pociąg i za chwilę, siłą pary pędzony, powracałem

do domu, zadowolony ze spełnienia dobrego uczynku.

Postanowiłem opowiedzieć to wszystko mój żonie, ale dopiero wtedy, gdy serce kobiety jest najbardziej do serdecznych wzruszeń skłonne. Dziś dziewczynka moja była Jeszcze zamłoda i mało w życie wtajemniczona, aby odczuć całą niedolę podobnych istot jak Władzia i jej matka.

Wobec zajęć gospodarskich, odbioru rachunków dawnego rządcy i przyjmowania nowego, zapomniałem na razie o właścicielce magazynu przy ulicy Halickiej i uczynionem zobowiązaniu. Upłynęła wiosna i lato, a nie otrzymywałem żadnej w tym względzie wieści ze Lwowa.

Nagle nadszedł list większych rozmiarów, który zaintrygował mnie oryginalnym piśmem i wysztychowaniem mego nazwiska.

Otworzywszy, znalazłem w nim akt przystąpienia do spółki z Wł.

Bentkiewiczową JW. panny Władysławy hrabianki Zadolinieckiej, akt formalny, spisany przed notaryuszem i potwierdzony podpisami obydwóch wspólniczek. W długim, załączonym do aktu liście objaśniała mnie wdowa Bentkiewiczową o przebiegu sprawy. Według słów listu, hrabianka wahała się jeszcze czas jakiś, a główną przyczyną wahania była matka. Stara hra

bina, dowiedziawszy się o projekcie córki i chęci otwarcia magazynu, wpadła w wielką pasję i oświadczyła, że Władzię... wydziedzicza. Dodała przytem, iż woli widzieć córkę na marach, niż za kontuarem.

„Biedna panna (słowa listu) zbladła jak trup, słysząc te wyrazy, i łagodnym głosem zaczęła matce wyświecać istotny a opłakany stan ich majątku. Hrabina dostała spazmów i na tem skończyła się narada. Długi czas nie wznawiano tej kwestyi, tak, że wdowa uważała cały projekt za upadły, gdy nagle przybyła do niej Władzia spłakana i widocznie doprowadzona do ostateczności. Stanowczym głosem oświadczyła, że przystępuje do spółki, że, będąc pełnoletnią, podobną umowę sama zawierać może.”

Wczoraj więc podpisano ów akt, którego kopia leżała przede mną. Hrabina milczała, srodze zagniewana na córkę, ale ostateczna ruina, granicząca z nędzą, zamykała jej usta. Zdaje się, iż wyczerpała wszystkie źródła, którymi się dotąd posiłkowała. Straciła kredyt, a dłużnicy stawali się z każdą chwilą natarczywsi. W każdym razie ciężką przeprawę musiała mieć biedna Władzia i biedne jej serduszko poniosło niejedne bolesną ranę.

Posłałem natychmiast przyobiecana sumę na ręce mego notaryusza z poleceniem wy

płacenia natychmiastowego pani Bentkiewiczowej.

W kilka dni później otrzymałem pokwitowanie z odbioru pieniędzy i list wdowy, oznajmiający mi, że hrabianka od trzech dni pracuje w magazynie, wprowadzając ład i porządek i stwarzając prawdziwe arcydzieła z wielkiej ilości bezużytecznie leżących kwiatów.

„Mam nadzieję—pisała wdowa,—że magazyn nasz niedługo stanie się pierwszorzędnym, a gust i wytworna robota JW. hrabianki zasłyną daleko. Przykro mi tylko, że JW. hrabianka jest ciągle smutna i znękana. Sądzę wszakże, iż to pochodzi z rozterki, jaka panuje między nią a JW. hrabiną dobrodziejką.’

Odpisałem pani Bentkiewiczowej, prosząc, aby mi doniosła o każdej zmianie w usposobieniu mój przyjaciółki. Kilkakrotnie chciałem sam do Władzi napisać, ale oczekiwałem od niej listu, który wreszcie przybył. Był krótki—zawierał zaledwie jedną stronicę i znać było, że ręka, kreśląca te słowa, drżąca była i niepewna.

„Kochany przyjacielu—brzmiały słowa listu,—poszłam za twą radą. Dziś stoję za kontuarem. Przebyłam wiele i cierpię jeszcze ciągle. Jestem nadto wzburzona tym śmiałym krokiem, jaki uczyniłam, abym ci mogła

opisać dokładnie stan mej duszy. Potrzebuję się uspokoić, odzyskać równowagę. Sądzę, że to niedługo nastąpi. Do widzenia więc!... do przyszłego listu."

Ale listu tego tak prędko nie otrzymałem. Jeden z moich wujów zasłabł nagle i zażądał ode mnie, abym mu towarzyszył do południowych krajów. Wyjechałem więc na czas długi z kraju i, bezustannie zajęty dogorywającym człowiekiem, nie przenosiłem się myślą do Lwowa. Ta wędrówka trwała dość długo, bo półtora roku.

Gdy, pochowawszy wuja w Hyeres, powróciłem wreszcie do domu, zmuszony zostałem przyśpieszyć mój ślub z powodu złego stanu zdrowia babki mej narzeczonej.

Staruszka pragnęła pobłogosławić wnuczkę przed śmiercią i zażądała, aby ślub odbył się najdalej za tydzień. Inuit zastałem wyrobiony, dom urządziła mi matka z całym komfortem i zbytkiem. Nie miałem więc czasu ani potrzeby jechać do Lwowa.

Nadszedł wreszcie ten dzień uroczysty. Doznałem dziwnego uczucia trwogi przed tą chwilą, w której poprowadzę do ołtarza moją dziewczynkę i wezmę ją jako niepodzielną własność. Czy godnie odpowiem temu ciężkiemu zadaniu, jakie przyjmuję na siebie?

Czy potrafię temu dziecku zapewnić szczęście i spokój przez życie całe?... Pogrążony w takich myślach, stałem oparty o kominek i wpatrzony w dogasające główne. Tuż obok, bo przez ścianę, słyszałem szmer głosów kobiecych i przez uchylone drzwi wybiegały wciąż srebrzyste kaskady śmiechu. Ubierano tam pannę młodą i według tradycji funkcję tę

spełniały drużki. Wesoło więc było i gwarno, jak zwykle między młodemi.

Nagle głos służącego przebudził mnie z zadumy:

— Dla jaśnie pana przesyłka z poczty.

Spojrzałem—przede mną na stoliku stało pudło łubiane dość wielkich rozmiarów. Pasma szpagatu i czerwone pieczętki ochraniały jego wnętrze. Na wieku wielkimi literami skreślony był mój adres.

Z pewnego rodzaju ciekawością przeciąłem szpagat i uchyliłem wieko.

Wewnątrz na posłaniu z białego atłasu leżała przepyszna girlanda pomarańczowego kwiecica i także bukiety. Wszystkie te artystycznie zrobione kwiaty okryte były zwojami mglistej iluzji. Silna woń kwiatu pomarańczowego wydobywała się na zewnątrz i rozplątywała się w powietrzu.

Powoli, ostrożnie odchyliłem iluzję, a na dnie dostrzegłem dwa listy— pierwszy nie zawierał nic więcej prócz wielkiego drugiego był od mego notaryusza, który mnie zawiadamiał, że magazyn pod firmą „W. Zadoliniecka et Comp.” zapłacił w tych dniach drugą rate rs. na rachunek długu, zaciągniętego u mnie przed półtora rokiem.

Widocznie pani Bentkiewiczowa, mimo zapewnień, nie dotrzymała tajemnicy i w chwili zwierzeń opowiedziała rzecz całą hrabiance.

Z pewnem rozrzewnieniem spojrzałem na kwiaty, leżące przede mną. W wyobraźni mej stanęła schylona postać Władzi, jej wielkie, ciemne oczy, skarżące się tak smutnie na ciężką dolę. Ileż myśli musiało się przesunąć przez jej głowę, gdy zwijała te kwiaty, tak śnieżne i nieskażone jak jej dusza?..

Nagle jakaś mała rączka dotknęła się mego ramienia. To moja narzeczona stała przede mną cała biała i świeża jak poranek majowy.

Z zadziwieniem patrzyła na prześliczne kwiaty, leżące w pudełku. Szybko wyjąłem wieniec i, kładąc go na kształtną główkę mej narzeczonej, wyrzekłem:

— Weź! to dla ciebie!

Ona zarumieniona, spojrzała z poza przezroczyстых iluzyowych draperyj; a wyciągając rączkę po bukiet, spytała:

— Od kogo?

Wówczas postanowiłem opowiedzieć jej o hrabiance i całej jej doli.

Mieliśmy jeszcze pół godziny czasu do przybycia gości.

Czyż mogłem lepiej użyć tych chwil, jak mówiąc mej przyszłej żonie o kobiecie, pełnej szlachetności, siły i wielkiej wytrwałości w dobrem?

Ująłem więc rączkę mej kochanki, a prowadząc ją w zaciszny i ulubiony nasz kącik, zacząłem:

— Jest jeden „Znak zapytania,” który...

Warszawa, dnia września roku.

SZCZĘŚCIE.

Jak cień przemknęła twoja mgława postać! Jeszcze srebrna smuga rozjaśnia pomrokę nocną i czuć woń hyacyntów i jaśminu, któremi masz uwieńczone pogodne

czoło... Śmiech dźwięczy w powietrzu, piosenka dobiega, która do snu kołysze... Lecz ciebie tu niema, ty niepochwytna maro!.. i próżno wyciągam ramiona... próżnia dokoła mnie, próżnia, w krórej tylko majaczy twoje wspomnienie.

O szczęście, ty jasna, a przecież zamglona maro, z czego ci skuć kajdany, byś więcej w czarną otchłań nie ulatywała?

Odpowiedz!... odpowiedz!...

Lecz ty milczysz, wyniosła i pogardliwa istoto, bielejąc zdaleka, jak skrzydła marmu

rowych aniołów w cmentarnym półcieniu. Milczysz, jak sfinks lub srebrna tafla jeziora, w którego głębinach cały świat się mieści. Dokoła ciebie rozpacz, smutek, zwątpienie... jednym ruchem twego białego płaszcza wszystkie te żałobne kruki ulecą w bezdenne otchłanie, jeden uśmiech rozjaśni horyzonty, uspięne duchy z grobów egoizmu obudzi i samobójcy z ręki broń morderczą wytrąci! Jeden ton twój piosenki konającym życ nakaże, w bratni uścisk zwaśnionych połączy, piętno geniuszu na czole wybranych wycisnie!... Tyś wszechpotężne, wszechwładne, tyś mocarzem świata! Spojrzenie twe łaskawe to poczęcie wielkich czynów, odrodzenie z grzechów, zmartwychpowstanie z letargu!... Tyś z tchnienia litości bożej powstało i uśmiechem swym litość, jak brylanty, w pomrokę ludzką rzucasz!

O szczęście!.. tyś dowodem boskiego istnienia!...

Lecz gdzie twe stałe siedlisko, ty gwiazdo promienna, przy blasku krórej gaśnie nawet jutrzienka?.. Widziałam cię wszędzie! lecz wszędzie tak krótko!.. Jak złote słońca pro

mienie ślizgałaś się po strunach harfy eolskiej, lub dźwięczałaś w pieśni Anakreonta. I czarem swym opromieniałaś twarz chrześcijańskiej dziewczicy, gdy stała w kręgu cyrkowym, a u nóg jej leżała biała róża, z ostatniem rzucona pożegnaniem!.. W oczach Fornariny błyszcziałaś przezczystym ogniem i srebrzyłaś się w łzach Magdaleny, schylonej u nóg Chrystusa. Gdzieżeś ty nie miała przelotnego odbicia, ty gwiazdo promienna? Jaśniałaś w oczach paryasa, gdy znalazł pożywienie, i dźwięczałaś w pieśni Nerona, gdy Rzym gorzał jak wielka pochodnia!.. Wszędzie byłeś bezcielesny, a przecież widoczny, duchu, ty jeden może niebędący baśnią przeszłości. Z raju wyniosła cię Ewa w złotych swoich splotach, uśpionego w kielichu różowego kwiecia. A gdy strudzona usiadła nad rzeką, kwiat wypadł jej z włosów i ty popłynąłeś w dal, aby się błąkać i ludziom zostawiać... wspomnienia!.. Tylko... wspomnienia!.. Gdzież bo ty się nie błąkasz i z kąd ty nie uciekasz? Wszędzie cię spotkać można; lecz za ledwie ramiona wyciągnięte ku sobie zo

baczysz, uciekasz, jak bańka mydlana, i krążysz dokoła, przyczyniając tylko bólu i wielkiego smutku. Ja cię widziałam już nawet w oku nędzarza, gdy głód swój zaspokoił; spotkałam cię na progu balowej sali, uczepione u ramienia upudrowanej kokietki! Tylko w tej sali balowej zdawało mi się, że jesteś jak z musu... woń twych hyacyntów przytłumiała Veloutina, a dźwięk twego śmiechu zagłuszały tony banalnego walca. Gdy upudrowana dama zaczęła tańczyć z wymuskany młodzińcem, plątałaś się w fałdach jej morowej sukni jakoś sennie... niechętnie... aż wreszcie zniknęłaś!.. Dama po twym zniknięciu śmiała się jeszcze ciągle i zdawała się być bardzo wesoła. Tylko na karneciku balowym napisała w roztargnieniu: „smutno mi...” a kąciki jej ust drżały...

Wzrokiem szukała czegoś, czy kogoś, w sali.

Może ciebie? a może tego biednego chłopca, studenta, który pełnił tego dnia służbę honorową w sali balowej?..

Wyszliście przecież razem. Widziałam was, jakście powrócili do „jego” pokoiku, małego, zimnego schronienia, zarzuconego masą zeszytów i książek...

Siedliście razem do pracy.

On pisał rozprawę, a ty zaglądałaś mu ciągle w oczy, nasuwając wspomnienie drobnej główki kobiecej.

Ale nie była to główka z balowej sali, upudrowana i pękiem werweny ozdobiona,— to była główka spokojna, cicha, marząca.

On pisał rozprawę i do główki tej dziewczęcej się uśmiechał. Hyacenty twego wianka pachniały znów jak dawniej, piosenka dźwięczała w powietrzu...

Nagle świeca dopaliła się i zgasła — student pozostał w ciemności, zimnie i o głodzie. Marząca główka zniknęła, a ty, kapryśne szczęście, pierzchnęłaś, zabierając ze sobą uśmiech, piosenkę i jasność.

Lecz z wianka twego odczepił się jeden hyacynt.

Upadł tuż u nóg studenta. Biedny chłopiec podniósł go i do ust przycisnął. Ten kwiatek to była... nadzieja!

Nie widziałam cię długo, aż wreszcie dojrzałam cię ulatujące z celi zakonnika. Uciekłaś, zabierając spokój i abnegację zupełną. Wiem, gdzie się schroniłaś, ty biała maro —

w firanki, otaczające kołyskę śpiącej dziewczyny. Tam byłaś chwileczkę tylko, bo dziecko umarło, biały aksamit trumienki spłoszył cię... pobiegłaś płynąc falą oklasków, wynagradzających sławnego śpiewaka za górne c, wyrzucone z piersi. Lecz ozwało się nagle gwizdanie i zagłuszyło oklaski, a ty uleciałaś, zbierając fałdy swej szaty. Potem bieląłeś w pośmiertnej woli bogatej filantropki i różowiłaś się na policzkach biednych dzieci, bawiących się pod cieniem lip pachnących. Siostry miłosierdzia mają cię niekiedy w fałdach swych habitów, gdy wchodzą do celi waryatów, a czasem z brzękiem muszki wpadniesz do ciemnicy więziennej i budzisz przestępcę z uśpienia. Czasem błyskasz pod hełmem zwycięzcy, gdy przebiega piasa boju, zasłany trupami. Ale majestat śmierci i duma, bijąca z twarzy tych, którzy na wieki posnęli, każe ci prędko opuścić pole walki... Więc nigdzie stale nie przebywasz, ty przelotny ptaku? niema cię w purpurze królewskiej, ani w parcianej koszuli oracza! W fałdach firanek, otaczających łoże kobiety w sukni oblubienicy, w uśmiechu sławy, w brzęku pieniędzy gościsz tylko chwilowo! Jesteś w szmerze pocałunku, w szale zmysłowych porywów i siadasz u domowego ogniska... Lecz płoszysz się ciągle, ty cy

gańska ptaszyno, i łzami uśmiechy płacić każesz, a piosenkę jękiem zagłuszasz...

Czem cię przebłagać? czym cię zakuć na wieki? czym skrzydła ci związać?

Odpowiedz, szczęście! odpowiedz!...

Lecz nagle — we mgle mych wspomnień ty majaczysz jasnością najwyższą.

Z ponurych mroków występujesz uwiecznione, zakute na wieki, a mimo to jeszcze promienniejsze, jeszcze piękniejsze...

Uwięziła cię ręka ludzka, pochwycił cię geniusz malarza, a zrodziło cię tchnienie wszechpotężnej miłości...

Tak! tak!.. bez motyli skrzydeł błyszczało do mnie z szarego tła obrazu—i odrazu stanęłam jak przykuta przed tobą i przez łzy patrzyłam na twą wielką, nieskończoną piękność.

Nie miałaś wianka hyacyntów na twych skroniach, o bezcielesna maro! i twa piosenka nie brzmiała weselną nutą. Uwięziona w rysach zmarłej, tyś brzmiała wielkim hymnem oswobodzenia! Dokoła śnieg, lód, pustkowie... dokoła wieczna, straszna zima.

I tylko przy zmarłej zrozpaczony łka człowiek, dla którego ona, święta, wielka, nieustraszona, poszła w taką noc mroźną, krwią swych stóp poranionych znacząc ślady na zamarłej grudzie. Ty, szczęście, tyś przy j szło razem ze śmiercią i wstąpiło w to martwe ciało, ożywiając je uśmiechem, w którym część Boga świeci. Tyś z twarzy tej nieszczęsnej, której ciernie w ręce i w nogi po wrastały, a włos od modłów zbieleł i war i

gi skarg zapomniały — tyś w tym trupie zamarzłym w podziemnej jaskini zaświeciło najjaśniejszym blaskiem, bo blaskiem... łez!

A blask ten do serc naszych trafia—ogrzewa — oświeca — budzi!

A więc i ciebie oświecić można wielką potęgą przeczystej miłości!

Umiesz przyłgnąć do zastygłych ust trupa i całą tragedię cichego poświęcenia przed nami roztaczać! Nie w gwarze i wirze światowym, lecz tu, przy łóżu śmierci, szukać cię należy!

I modlić się do ciebie trzeba—tak wielki od ciebie bije majestat, i głowę chylić przed potęgą twoją i milczeć... a myślą w prze

sztość sięgać! Lecz nie w przeszłość śmiechu i zabawy, ale mogił,
cierpienia i bólu...

Ty tam jesteś, tam, pomiędzy grobami się błąkasz, kołysząc do snu
zniękane trupy— owijając je fałdami szat swoich, nucąc im hymn
przebaczenia...

O szczęście! ty łzawe, smutne szczęście!... ty, które na cmentarzach tak
chętnie przebywasz!...

MEZKA ŁZA.
DROBNOSTKA.

"Więc nic cię nie poruszy,

Nawet mężka łza?

Z Opowieści Hoffmana.

— ...ten czysty, jasny kryształ migoce

mi jak gwiazda na ciemnym niebie zwątpienia mego. Mężka łza!... toć to
uplastycznienie boleści bohatera, to jęk lwa zranionego, skarżącego się
słońcu. Mężka łza... to cała pieśń bez słów, drżąca w tej kropli, którą
nadmiar cierpienia do źrenic sprowadza. I wielką musi być boleść taka,
boleść, która łzę z oczów „panów stworzenia” wyciska. I wielki musi być
smutek taki, co im głowę ku ziemi chyli, a pierś łkaniem rozrywa! „On,”
ten dumny, nieugięty, zimny, egoista, samolub zaskorupiał w swych
uciechach, „on” płacze! Głowę chyłę przed potęgą takiego bólu, co sercem

tem wstrząsnąć zdolen, a gdy wynikiem jego łza, ta łza, która świeciła w oku Chrystusa, zwilżała oko Agamemnona, spływała w uśmiechu Heinego... milknę i wierzę!
Łza taka mnie rozbraja!

Jedynie jeszcze Jego" łza... Kuzynka Micia spokojnie wysłuchiwała słów moich.

Gdy skończyłam, spojrzała na mnie, a ironiczny uśmiech okrążył jej usta. Położyła robotę na stojącym obok stoliczku, a wstając powoli, pociągnęła mnie we framugę okna.

— Chodź—wyrzekła—i daruj mi, że ja to właśnie rozwieję twą ostatnią ułudę. Nauczę cię nie wierzyć... mężkiej łzie!

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Jakto? ona, ta poetyczna, egzaltowana istota, której nie widziałam od lat ośmiu, miałyby nawet nie mieć takiej ułudy?

Odkąd ją znałam, była niepoohamowanie egzaltowaną kobietą. Nieraz dziewczynkami młodemi sprzeczałyśmy się o świat i jego czyny. Ona—krańcowa optymistka, wierząca w cnotę, ideał, miłość, kwiatki, ptaszki i... owce; ja—widząca wszędzie czarno, czarno i czarno.

Dziś role nasze się zmieniły.

Micia, którą sądziłam optymistką nieuleczalną, po pięcioletnim pożyciu małżeńskim mówi o rozwianiu mojej ostatniej ułudy!

Zycie więc jest lepszą szkołą, aniżeli przypuszczałam.

Lecz przez cóż przeszła ta idealistka z błękitnem! oczyma? Jakież przeciwności i rozczarowania uderzały w nią jak gromy i rozdzierały tę tkanę iluzji, jaką się otoczyła?

Ona w nic nie wierzy, nawet... w mężką
łzę!

Od chwili opuszczenia pensji straciłam ją z oczów. Z listów, które pisywała do mnie, wiedziałam, że była zawsze jeszcze różowo i tkliwie usposobiona; listy jednak stawały się coraz rzadsze, choć egzaltacya potęgowała się w nich stopniowo. Nagle korespondencya nasza ustała. Kuzynka została żoną, potem matką—wiedziałam to, mieszkając poza granicami kraju, z ust obcych, ale ona sama nie odzywała się wcale. I dziś, po tylu latach, zeszyliśmy się znowu pod jej dachem, w domu jej męża, człowieka atletycznej postawy i właściciela czwórki najpiękniejszych tarantów na cały powiat... co mówię!.. na całą gubernię. Rozmawialiśmy długą chwilę — Micia milczała przeważnie, szyjąc powoli równemi ściegami jakąś błękitną sukieneczkę dla córki. Uważałam w niej wielką zmianę, ale zmiany tej dokładnie określić nie mogłam. Fizycznie kuzynka moja zaokrągliła się, wypełniła, rozrosła i... ogorzała od promieni słonecznych. Moralnie zaś... ale pozwólmy—niech mówi sama za

siebie, niech zdziera ze mnie ostatnią uludę. Jako uleczonej, pozwala się jej... leczyć nawzajem.

Stanęliśmy więc w oknie i nagle oblały nas potoki zachodzącego słońca. Dokoła nieprzebrana moc zieleni, tój zieleni wiejskiej, zdrowej, młodej, jak jagody mołodyc, stojących na progu chaty; w oddali migoce staw, porośły tatarakiem, pokryty zielenią i bielą kwiatów wodnych. Od pól i łąk wiał zapach skoszonej trawy i wysychającego siana. Ostra woń macierzanki i rumianku dominowała nad innymi. Natura z całym swym bogactwem roztaczała się przed nami.

Na kraju horyzontu czerwieniły się szmaty chmur, obramowanych złotem. Niebo zmieniło się w purpurę i fiolet. Słońce szło na spoczynek po pracy dnia całego.

Na progach chat stały kobiety, zasłaniając oczy i patrząc na drogę, którą szło całe stado krów, pędzonych przez bosych wyrostków i wpół nagie dzieci. Krowy szły wolno, klekocąc drewnianymi kołatkami, zawieszonemi u szyi; wyrostki śpiewali piosenkę, trzaskając z długich batów i podnosząc tumany kurzu.

Chwilkę patrzyłyśmy na tę wieś, idącą wraz z słońcem na spoczynek. Wszystko przycichało zwolna i wpadało w półsenne roz

marzenie. Kobiety zniknęły z progów, bydło wchodziło do swych zagród, dzieci wbiegały do chat, słońce zapadało coraz niżej.

Horyzont mienił się barwą ciemnego szafiru z purpurowym odbłaskiem, słońce stawało się ciemną plamą i powoli znikło za wzgórzem. Teraz całe niebo pokryła szara, jednostajna zasłona, błękit powoli przechodził w stalową barwę.

Niebo obumierało.

Micia zdawała się czekać tej chwili. Zdaje się, że chciała mi pozwolić, abym ze złudzeniem w sercu przyjrzała się raz ostatni zachodzącemu słońcu. Razem z ostatnim promieniem słonecznym zniknąć miało i z duszy mojej słoneczne, ostatnie złudzenie.

Micia oparła się o ramę okna i powoli, stłumionym prawie głosem, zaczęła:

— Wiesz, jak byłam egzaltowaną panienką. Tobie mówić nie mam potrzeby. Wychowanki murów klasztornych, cierpimy wszystkie na blednicę i egzaltację. Nie wiem, co nas tak upaja: czy niezdrowy dym kadzielnic, czy słodka pokora zakonnic, czy ich białe z błękitem habity. Nie wiem, nie badam, dochodzić nie chcę. Wiem, że córka moja chować się będzie pod okiem matki i zawczasu cere jej słońce opali; pacierz swój wieczorny odmawiać będzie pod sklepieniem

nieba, a nie w mistycznej ciszy kaplicy, pełnej tajemnic, cieni i rozmarzenia. Córce swej dam zdrowie wiejskiej dziewczyny i jej czystą, nieschorowaną, a mimo to pełną piękną duszę. Na to murów klasztornych nie trzeba. To rozmarza, roztkliwia i każe od życia wymagać woni fiołków i zapachu lilij.

Świat przecież niezawsze fiołki i lilie ma dla nas tylko w zapasie.

Wyszędłszy z klasztoru, powróciłam do domu, gdzie spotęgowała się egzaltacja moja. Wiesz, że jestem sierotą — podwójną sierotą.

Wychowaniem mojem zajmowała się ciotka, biedna istota, zrodzona w pierwszej połowie naszego stulecia, wtedy, gdy „Modlitwa dziewicy” rozbrzmiewała dokoła. I wspólnie we dwie dopomagałyśmy sobie w kroczeniu po krainie fantazyi; jej staropanieńskie serce roztkliwiało się bezustannie w daremnem oczekiwaniu na tego, który nie przybywał, — moja zaś dziewczęca wyobraźnia stroiła tego, który miał przybyć, w najpiękniejsze szaty, niby Kirkora w baśni.

Królewicz mój miał być piękny, kruczowłosy, bladolicy, błękitnooki, smukły, szlachetny, rycerski, śmiały, poetyczny, wzniosły, słowem miał to być ideał, przy którym wszyscy bohaterowie bledli i w pył się rozsypywali.

Ciotka Pelagia chętnie rozmawiała ze mną
tym bajecznym utworze mej wyobraźni.

i ona unosiła się wraz ze mną w krainę ułudy i fantazyi, stawiała coraz nowe wymagania—żądała, by mój przyszły pisał wiersze w „sztambuchu” i grywał na cytrze.

Ja byłam jeszcze zuchwalsza.

Marzyłam o przejażdżkach po jeziorze przy księżycu, o wypadku, przewróceniu łodzi, ratunku i... wdzięczności dla mego wybawcy.

Powoli egzaltacja przeszła w stan chorobliwy.

Podsycana imaginacja tworzyła coraz to wspanialsze obrazy—dniami i nocami całymi widziałam przed oczyma memi twarz pięknego bruneta o wielkich, błękitnych źrenicach, wpatzonego we mnie z wyrazem bezgranicznej miłości, ale i pełnym rycerskiego szacunku.

Wyobraźnia pracowała gorączkowo.

Wychudłam, pobladłam jeszcze bardziej — nie jadałam obiadu, żywiłam się galaretą i niedojrzałym agrestem, płakałam o szarej godzinie i ubierałam się biało, jak Ofelia cierpiąca na pomieszanie zmysłów.

Nieraz późną nocą snułam się po szpalerach ogrodu, a dziewczki w piekarni mówiły, że „do panienki musi złe przystąpiło.”

Ciocia, zamiast zaaplikować mi codziennie szklanekę gorzkich ziółek i ze sześć pigułek żelaznych, wzdychała wraz ze mną, marzyła, a o szarej godzinie brzdąkała „Modlitwę dziewicy.”

Było to śmieszne, chorobliwe istnienie dwóch niezdrowych, bezkrwistych kobiet, trawiących się w egzaltacji i nedorzecznym rozmarzeniu.

Wreszcie ideał mój miał znaleźć uplastycznienie.

Pewnej niedzieli, na sumie w parafialnym kościółku, dostrzegłam wysokiego, pięknego bruneta, wpatzonego we mnie z wyrazem upornej ciekawości. Teraz wiem, że nie było to nic więcej, jak tylko ciekawość, ale ja doznałam wstrząsającego wrażenia. Serce moje było, niby wosk rozgrzany, gotowe do przyjęcia wycisku pieczęci. Pieczęcią tą były w tej chwili oczy bruneta, w których wyobraźnia moja wyczytała cześć i uwielbienie. Zapomniałam wówczas, że byłam jedną z najbogatszych

panien w okolicy, że wieś moja czysta jak... mężka łąza, że gorzelnia daje doskonały dochód... O wszystkich tych drobnostkach zapomniałam. Chciałam być kochaną dla swej mizernej istoty. Wróciłam do domu z silnym bólem głowy i z gorączkowymi wypiekami na twarzy.

Znalazłam swój ideał!

Ciotka zaaprobowała mój gust i wydała wyrok, że rzeczywiście ów brunet może być moim ideałem.

Czyż potrzebuję ci mówić, że ideał w krótkim przeciągu czasu został mi najprozaiczniej zaprezentowany podczas jakiejś sąsiedzkiej majówki, pomiędzy stosem kurcząt i mizeryi ze śmietaną?

Serce mi biło bardzo mocno i ze zmieszania nałożyłam sobie cały talerzyk mizeryi, co wywołało olbrzymie zdziwienie ze strony mej sąsiadki.

Wiedziano bowiem, że żyję jedynie rosa kwiatów i galaretą z nóżek cielęcych. Ideał jednak mój nie odstraszył się tą ilością mizeryi — owszem, uśmiechnięty, zapatrzony w oczy moje, rozpoczął rozmowę, z początku banalną, powoli jednak wpadającą na niebezpieczne tory i manowce.

Byłam dnia tego w dziwnym nastroju, mówiłam same brednie, a on słuchał z pobłażliwym uśmiechem nauczyciela, któremu dziecko opowiada bajki w godzinie rekreacji.

Gdybym była mniej rozgorączkowana, powinnam zauważyć ten uśmiech, jako też uwagę, z jaką zdawał się mój ideał notować sobie w pamięci wszystkie moje zapatrywania i poglądy.

Mieszkał w sąsiedztwie wraz z matką i siostrą, panienką czerstwą, rumianą, żywą, nieposiadającą wielkiej mój sympatii. Że dawniej go nie widywałam, pochodziło to ztąd, że studia agronomiczne odbywał w jednym z zakładów zagranicznych i dopiero od tygodnia przybył w nasze strony. Mówił mi wiele o swem zamiłowaniu natury, o zachodzącem słońcu, o jego blaskach, o prozie codziennego życia, o potrzebie poezji, miłości i idealnych, niepochwytłych uczuć.

Pierwszy to był człowiek, który mnie zrozumiał, pierwszy — bo nawet ciocia Pelasia nie trafiała tak w mój ton i nie umiała poddać tak właściwej nuty mej chorobliwej fantazji. Wprawdzie uśmiechał się przytem i chwilami patrzył na mnie jakoś dziwnie, jak lekarz na chorego, ale ja nic nie widziałam, nic nie czułam, —wiedziałam tylko, że jestem szczęśliwą, odczuta, zrozumianą, wniebowziętą! *

Jak długo trwała nasza rozmowa, nie wiem, — odgłos muzyki hałaśliwej nam przerwał. Zaczynało się zmierzchać, służba rozwieszała na drzewach i zapalała kolorowe lampiony, pary stawały do kontredansa, dzieci zasypiały na stosach szali, pledów i poduszek powozowych.

Towarzysz mój wstał, podał mi rękę i poszliśmy tańczyć wraz z innymi. Chodziłam jak senna; panienki śmiały się wesoło dokoła mnie, ja rozmarzona ledwo dotykałam ziemi.

Znalazłam swej ideał!

Po skończonym kontredansie zbliżyła się do mnie Mazią, siostrzyczka mego tancerza. Uśmiechnięta, zarumieniona, wydała mi się pospolitą w swej kretonowej różowej sukience.

Porwała mnie pod rękę i pociągnęła pod drzewa.

— Bój się Boga, Miciu! —zawołała ze śmiechem—o czem ty rozmawiałaś z moim bratem? Wszak on tylko o swoich cetrach, taksach,

flintach, koniach i yorkshirach mówić umie. My, panny, nigdy z nim nie rozmawiamy! Chyba, że i ty znasz się na yorkshirach?

Spojrzałam na nią z politowaniem. Wydała mi się pierwiej pospolitą, teraz jednak była małoduszną i śmieszną.

— Tak, Maziu, mówiliśmy o yorkshirach — odrzekłam z odcieniem wyższości.

Zdziwiona, spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. Po chwili widziałam, jak w grupie swych rówieśniczek opowiadała coś z wielkim zajęciem. Zapewne mówiła o mnie

i o swoim bracie. Wszystkie panienki śmiały się serdecznie. Ale mnie śmiech ten nie dotykał. Czułam się wyższą nad nie wszystkie.

Znalazłam swej ideał i nie dbałam o świat cały...

Kuzynka moja umilkła na chwilę, jakby oddając się wspomnieniom. Ja, patrząc na nią, tak zdrową, tak świeżą, pełną życia i energii, dziwiłam się w duchu przewrotowi, jaki nastąpić musiał w tej kobiecie, która, według słów własnych, była lat temu kilka „pianką z mgły i galarety.” j

— Pomijam szczegóły kroków przedwstę I

nych — ciągnęła dalej kuzynka. — Znasz te nudne wiejskie wizyty dwóch rodzin, pragnących zawiazać małżeństwo; wszystko od I było się po formie: wizyty, rewizyty, sążniste bukiety, oświadczyny w altanie na klęczkach, z pyzatyms księżycem na świadka, potem oświadczyny w pokoju, potem w salonie przed cicią Pelasią, potem prośba jego matki, potom zaręczyny, aż wreszcie oznaczono dzień ślubu.

Ja pływałam w błękitach.

On nie zmienił się ani na chwilę. Czuły, tkliwy, rycerski, kochał, przysięgał, marzył i śpiewał wraz ze mną. Żyliśmy w krainie fantazyi, budowali kryształowe zamki i nabijali je ćwieczkami poezyi.

On sam mi te świeczki znosił, czasem w takiej ilości, że czułam się niemi utrudzoną.

Ludzie dokoła dziwili się tej zmianie, jaka w nim zaszła. On, gospodarz wzorowy, myśliwy zawołany, on, miłujący do tej chwili tylko gospodarstwo, inwentarz, pola swe i pługi, on, rozmawiający z pannami o płodozmianie, yorkshirach i baranach Negretti, on stał się czułym Celadonem i wzorem trubadura średniowiecznego.

Według mych ówczesnych pojęć, nie była to zmiana. On był tylko niezrozumianym przez świat i krył w sobie skarby uczucia i poezji,— bo po cóż rozrzucić kosztowności pod stopy istot, nieznających się na ich cenie?

Ze mną odrzucał przybraną maskę i stawał się sobą.

Byłam dumna z tego i szczęśliwa. Zdrowie jednak moje coraz bardziej słabło; były chwile, w których lękano się o mnie: anemia dochodziła do możliwych granic.

Zadecydowano więc wyjazd do kąpiel morskich i to w jaknajprędszym czasie. Po powrocie odbyć się miał ślub. Narzeczony mój nie mógł nam towarzyszyć. Zajęcia gospodarskie, a przytem przygotowywania naszego gniazdka, wymagały koniecznie jego

bytności. Złorzeczyliśmy prozie życia, ale uledez było trzeba.

Już kilka tygodni bawiłam w kąpielach, patrząc na morze, wzdychając i mocząc się w słonej, zielonawej wodzie. Tęskniłam za wybranym mego serca i zanudzałam ciocię Pelasię opowiadaniem o jego przymiotach, co jednak nie przeszkadzało mi jeść dużo i sypiać jeszcze lepiej. Jedyną rozrywką moją były jego listy. Przynajmniej tak w siebie wmówić usiłowałam, bo razem ze zdrowiem powracała mi ciekawość nieznanego, a bezmiar morza zajmował mnie bardzo.

On tęsknił także. Pisywał dużo i pięknie. Wiele tam było o spójności dusz, o gwiazdach i obłokach, o myśli, która stoi zawsze przy mnie na warcie,

o... no — słowem ten cały arsenał podręcznika listów miłosnych, który chyba jeszcze w pomroką okrytych czasach dyktowała Amorowi Wenera. Amor słowa swej mamy kreślił na płatkach róży i rozrzucał po świecie. Zakochani listki te chwyтали, przynosili na papier, transponując wedle skali swego głosu. Amor figlarz musiał śmiać się serdecznie, a Wenera ziewała. Powróćmy jednak do mego narzeczonego. Otoż listy jego były piękne bezwątpienia, ale mnie zdawało się, że w nich zamało tęsknoty! I wyraziłam swoje zdanie w nastę

pującym liście, pisany wprawdzie po spożycia obfitego śniadania, ale zato bardzo wzniosłym i przepelnionym wielkim smutkiem.

Wkrótce otrzymałam odpowiedź. Byłam z niej zupełnie zadowolona. Pomiędzy literami, gorejącymi jak płomienie, rozpościerała się cudowna plama!

Plama ta ileż uroku mieściła w swej zamazanej atramentem powierzchni! Wszakże to była... łza!

Łza, spadła na papier podczas kreślenia do mnie listu,—łza, która, paląc źrenice, spływała, jak brylant czysty, ze smutkiem i tęsknotą trawionej piersi.

Prawdziwa męzka łza!

Ogarnęło mnie szalone uniesienie. On płacze! płacze wśród ciemnej nocy, gdy wszystko ułoży się do snu, a gwiazd brylanty zaścielą niebo!

On płacze! płacze wtedy, gdy różowe słońko wstaje, jak śpiąca królewna, i do radości i życia świat budzi!

On płacze! płacze, choć dokoła śmiech i pustota rozbrzmiewa.

On płacze! bo mnie niema przy nim, bo cierpi, bo kocha, bo tęskni... bo ujrzeć mnie pragnie.

I w nadmiarze uczucia całowałam tę łzę rozlaną na papierze; klękałam przed nią, dziękowałam Bogu za skarb tak drogi. Opisałam swoje wrażenie memu najdroższemu i oczekiwałam odpowiedzi. Przestałam się kapać, jadałam bardzo mało i próbowałam płakać, ale mi się to nie udawało. Czyniłam sobie z tego powodu gorzkie wyrzuty... ale trudno! Trzeba tak kochać, jak „on,” aby płakać z tęsknoty.

Niebawem nadszedł list tak oczekiwany; drżąc, otworzyłam go. Zachwycenie moje przeszło wszelkie granice — nie jedna łza rozlewała się na papierze, było ich aż... trzy!

I tak crescendo wzmagała się ilość łez—po upływie dwóch tygodni listy mego narzeczonego robiły wrażenie rzeki, nakreślonej na papierze.

To przebrało miarę.

Jakto? więc ja mam mu pozwolić cierpieć tak bardzo? O, nie! nigdy!— on może to życiem przyplacić.

Pomimo oporu ciotki, wybrałyśmy się w drogę do domu. Nie uprzedziłam o tem swego narzeczonego — chciałam mu sprawić rozkoszną niespodziankę. Przybyłyśmy do domu wczesnym rankiem. Natychmiast kazałam osiodłać karą klaczkę, na której odby

wałam często ekskursye poranne. Ciocia Pelagia łamała ręce, prosząc mnie, abym została i posłała kogokolwiek z zawiadomieniem o naszym przybyciu; ale w mej upartej główce dojrzał planik, który chciałam koniecznie w czyn wprowadzić,

Majątek matki mego narzeczonego graniczył z nami, jak to mówią, o miedzę. Wiedziałam, że „on” mieszka jeszcze w domu matki, i chciałam nagłem przybyciem otrząść łzy, tak bardzo często z ocz ukochanych płynące.

Szybko przebyłam przestrzeń, dzielącą mnie od niego; klaczka moja zebrała się na wielką energię i galopowała, jakby szło o śmierć lub życie.

Gdy przybyłam przed ganek, zadziwiony służący tym przyśpieszonym tętentem konia wybiegł aż na drogę, a ujrzawszy mnie zarumienioną, z rozwianemi włosami, z kapeluszem na bakier, przeraził się tak stanem moim, że chciał wezwać pomocy.

Nakazałam mu milczenie i zupełną tajemnicę—zapytałam o panie.

— O! jaśnie pani z panienką wyjechały przedwczoraj do Dąbrowy; dziś rano mają wrócić.

— A... pan?

— A! panicz? "Panicz pojechał na folwark, ale zaraz wróci, bo bułanek zachorzał, a on

niego dba więcej, niż o oko w głowie.

Zsiadłam z konia i weszłam wewnątrz do domu.

Nic się nie składało tak, jak wymarzyłam.

On był na folwarku, a bułanek zachorzał...

Postanowiłam jednak czekać na niego

na matkę. Raz jeszcze poprosiłam starego Jana o tajemnicę i, otrzymawszy solenne przyrzeczenie, kazałam mu odejść i ukryć konia za stajniami.

— O, tu jaśnie pani będzie najwygodniej; tu gabinet panicza, dużo książek i gazet! Proszę, niech pani wejdzie... prędzej czas przeminie...

Wiedziona ciekawością, wsunęłam się do gabinetu.

Jan zamknął drzwi, zapadła portyera i... pozostałam sama.

Obejrzałam się dokoła. Gabinet ten był to niewielki, czworoboczny pokój, tapetowany zielono, obwieszony trofeami myśliwskimi, szpicrutami, harapami i jakimiś innymi a mnie nieznanymi narzędziami. Strzelby, dubeltówki, noże myśliwskie, siekierki, pouczepiane na ścianach, tworzyły gwiazdy, w któ

rych odbijały się promienie wschodzącego słońca.

Model wodnego młynka, garść nasienia koniczyzny, przetak pełen owsa i pełno innych tego rodzaju przedmiotów zalegało biurko.

Cała proza! poezyi ani śladu!...

Zapach skóry rozlegał się w pokoju, pomieszany z wonią terpentyny, której otwarta buteleczka stała na stoliku.

Więc to tu, w tym ekonomicznym chaosie, „on” płacze za mną? Wśród skór i harapów spływa ta lśniąca jak kryształ, czysta, nieskalana... mężka ła? Zbliżyłam się do biurka. Pomiędzy owsem i motkiem lnu leżał arkusik papieru ze świeżem prawie jeszcze pismem. Był to zaczęty list do mnie, zaczęty i przerwany wyjazdem na folwark lub wizytą u chorego bułanka. Uczułam jakieś dziwne ściśnienie serca— życie ze swemi nieugiętymi prawami otaczało mnie tu dokoła. Poezja ustępowała miejsca prozie dnia powszedniego. Owies zasypywał blado liliowy arkusik, na którym widniało:— „O mój aniele!”

Anioł i owies! Nie, stanowczo tak być nie powinno.

Nagle drgnęłam przerażona—„on” nadchodził, głos jego dochodził wyraźnie uszu moich.

— Cóż, u stu dyabłów! Dlaczego weterynarz jeszcze nie przyjechał? Chcecie, żeby mi cała stajnia wyzdychała? Niech Likowski sam idzie zawłokę zrobić... Ja tam za kwadrans przyjdę.

Zaledwie miałam tyle czasu, aby się ukryć za portyera, zasłaniającą niewielką framugę, gdzie znalazłam się w sąsiedztwie starych siodeł i połamanych cybuchów.

Drzwi otworzyły się z impetem i on wpadł raczej niż wszedł do pokoju. Zaledwie poznałam mego wykwintnego bruneta o bladym czole i kruczonych kędziarach. Nieogolony, opalony, w długich butach, w kolorowej wymiętej kurtce, był raczej podobny do naszego ekonoma, aniżeli do mego ideału. Wielkimi krokami przebiegł gabinet, klął i tarł czuprynę. Ja widziałam i słyszałam to wszystko z mej kryjówki i dusza zamierała we mnie. Jakże tu urządzać teraz romantyczne niespodzianki człowiekowi, który ma tak bardzo zabłocone buty i zamiast krawatu rodzaj postronka na szyi?.. Przytuliłam się do ściany i przykucnęłam na jakimś starym siodle. Nogi drżały pode mną.

On, nakławszy się dowoli, zbliżył się wreszcie do biurka, usiadł i wziął pióro do ręki.

Serce zabiło mi gwałtownie.

Pisze list! list do mnie...

Ale on wstał nagle i zbliżył się do wielkiej fajczarni, stojącej w pobliżu biurka. Wybrał trzyłokciowy cybuch, z szufladki wy dostał kapciuch z tytuniem, nałożył fajkę, ugniół tytuń, zapalił, pociągnął, splunął, znów pociągnął i dopiero zabrał się do pisania listu.

Z najwyższą ciekawością i jakąś nieokreśloną przykrością przyglądałam się tej robocie.

Bo też było czemu się przyglądać! On chwilami znikał z przed oczu moich poza kłębam dymu; gdy jednak się wynurzył, widziałam, jak kręcił głową, stawiając wolno litery, wzruszał niedwuznacznie ramionami i zaglądał do jakiejś czarno oprawnej książeczki, którą wyjął z szuflady. Łatwo można było zrozumieć, że pisanie listu sprawia mu wiele trudności i jest ciężką dla niego pracą.

Chwilami przestawał pisać i wachał terpentynę, klnąc przytem zarządzającego smolarnia wcale nieestetycznymi słowy.

Nagle, jakby sobie coś przypomniał, wyciągnął rękę do szklanki, w której moczyły się włókienka konopi, i powoli strząsnął kroplę wody na zapisany arkusik papieru!

We mnie serce bić na chwilę przestało.

Ta kropla wody to... jego łza!

Za oknem dał się słyszyć głos rządcy, wołający go do chorego konia.

Porwał się szybko i bez czapki wybiegł z pokoju.

Ja wysunęłam się cicho z za portyery i zbliżyłam się do biurka.

Tak!—woda powoli przysychała do papieru, tworząc plamę szarawą, okrągłą... prawdziwą męzką łzę!

Czułam śmierć w sercu, spadłam z nieba na ziemię.

Zamiast łzy, płynącej z serca, on mi posyłał krople wody, w której się moczyły konopie!

Jakież rozczarowanie!

Książeczka czarno oprawna leżała obok listu. Spojrzałam na tytuł:

„Podręcznik dla zakochanych, czyli listów dla narzeczonych.”

Spuściłam głowę i zapłakałam na grobie mych marzeń...

Chwilę milczałyśmy obie — ja smutna, ona uśmiechnięta, ale także nie wesoła. Ja pierwsza przerwałam milczenie.

— I cóż dalej?—zapytałam. —Jakże postąpiłaś?

Drzwi się otworzyły. Do pokoju wpadł raczej niż wszedł wysoki, ogorzały, barczysty brunet w burce na plecach.

Micia porwała się od okna i rzuciła mu się na szyję.

— Masz odpowiedź! — zawołała, śmiejąc się i tuląc głowę do piersi męża.

SERCE.

DROBNOSTKA.

Na pensyi mówiono nam, że serce to worek mięsny, z którego krew rozchodzi się po całym ciele.

Tak mówiono na pensyi —pamiętasz zapewne; lecz co ci życie powiedziało o sercu, ty niebieskooka, która łzawy wzrok o zachodzie za promieniem słońca posyłasz?..

Co lata całe cierpień i udręczeń wyrzekły? Czy potwierdziły zdanie anatoma, czy coś jeszcze ze siebie dodały?

Czy prócz krwi i komórek niema tam nic więcej w tym smutnym naszym towarzyszu, który się często raną krwawi i cicho w nocy skarży... a skarży?...

Odwracasz głowę, kryjesz oczy, nie chcesz, bym w nich czytała!.. Nie lękaj się, biedne dziecko, nic we łzach twych niema dla mnie nowego. Jest jedno morze cierpień, jest jedno miejsce w nas, które te cierpienia jakby przepaść chłonie...

To morze, ta głębia... to serce!..

Dla anatomów rozprawdza ono krew; dla nas to żałobna urna, w której popiołów cała moc wielka, a brylantów szczęścia między niemi nie dojrzeć prawie...

Dla doktora narzędzie krwionośne; dla nas siedlisko miłości wielkiej, poświęceń bez granic... i bezdennej rozpacz.

Patrz, jakie ono drobne; połóż twą rękę maluchną, a zakryjesz je zupełnie, —a przecież jakież w niem bogactwo miłości, jakaż kopalnia uśmiechów, które ludziom opromieniają życie, do szlachetnych czynów wiodą!

Drobny to skarbiec, a w nim tyle promieni słonecznych, przywiązania kobiecego, szeptów miłosnych, szlachetnych uniesień... i wszystko to mieści się tam, tam, tuż pod ręką twoją.

Bogactwo twoje wielkie; rozdawać je pełną dłonią możesz, jak dobra wróżka, za którą szmer dziękczynny płynie, jak srebrna smuga za łódką. Tylko, na Boga! strzeż, aby razem i skarbca ci nie zabrano... Będziesz wtedy bardzo, bardzo nieszczęśliwa!

Serce twe zachowaj dla siebie; gdy raz ci z piersi wydarte zostanie,
pójdiesz, płacząc, szukać go wszędzie; poranisz się cała o ciernie
przydrożne i znękana, zmęczona

upadniesz wreszcie na rozstajnej drodze, wpatrzona w dal ciemną...
Lecz serca swego nie znajdziesz! nie znajdziesz!.. Lub, jeśli gdzie na
rozdrożu znajdziesz jakiś przedmiot zniszczony, stłuczony, poszarpany,
zraniony—przyjrzyj mu się dobrze... to będzie serce twoje! to biedne
serce, które ludziom oddałaś z ufnością bezmierną, a które zdeptano, jako
rzecz zbyteczną. Nie bierz go napowrót!.. porzuć wśród chwastów,
uciekaj, nie patrząc za siebie... po co ci nosić w piersi taką wielką,
oplwaną ranę. Nie miej lepiej wcale serca.

Śmiej się śmiechem szalonej!..

Sercem się kocha, nie głową! Sercem się cierpi i serce w człowieku
zamiera. Czyś ty była kiedykolwiek przy łożu konającego? Czy wiesz, jak
życie zastyga? Serce bić przestaje, krew się ścina i człowiek w dal
odchodzi, tam, z kąd przyszedł, w dal ciemną, niezgłębioną...

Drżysz cała! nie lubisz zgonu, cmentarzy... a ileż tam serc śpi spokojnie, a
kamienne anioły snu tego strzegą! Słuchaj!.. brzoza szumi tylko, a
promienie słońca szczyty krzyżów całują. Te serca, śpiące pod masą
narcyzów i tuberozy, nie cierpią, nie płaczą, nie jęczą wśród bezsennych
nocy. Jeśli cierpisz bardzo, idź i ty na spoczynek wieczny. Taki

anioł o marmurowych skrzydłach do snu cię ukołysze, a słońce złotym całunem otuli. I brzoza zaszumi ci kołysanką, a biała tuberoza wonią swą otoczy... Odpoczynek wieczny!..

Czyż. nie lepiej zasnąć pod mogiłą i być jak ten, któremu

Serce ustało, pierś już lodowata,

Ścięły się usta i oczy zawarły —

Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata.

Coż to za człowiek? Umarły!

Łzy masz teraz w oczach; mówisz, że umrzeć tak młodo nie pragniesz!..

Lecz jak chcesz żyć z sercem w piersiach i z pragnieniem oddania go

komuś na wieki? Co za śmieszne żądanie! Czy słyszysz tę melodię? czy

cię nie wstrząsa do głębi urok tych tonów tęsknych, smutnych, rozpaczą

drgających? Wśród ciszy nocnej płyną one jak jeden jęk prośby, skargi,

błagania... To potok łez, szemrzący wśród serdecznej boleści,— to skarga

serca, które krwawi się cierpieniem bezdennem...

Słuchaj!.. słuchaj jeszcze... to nokturn przedziera się przez gęste gałęzie

drzew uroczej wyspy... W oddali widać sylwetkę ciemno

okiej kobiety... Ona nie słucha melodyi serdecznej, odwraca głowę, lecz ty słuchaj.

Czy chcesz tak cierpieć i w noc bezseną wołać tym rozpaczonym

głosem?.. Czy nie wiesz, że Bóg, dając ludziom serce, chciał im czyścić

w piersi włożyć? Czyż nie wiesz, że najszczęśliwsi są ci, którzy idą przez

świat bez serca, z kamieniem w piersiach, weseli i uśmiechnięci?

Ci mają uśmiechnięte usta, pogodne spojrzenie, jedwabne chustki do nosa

i często binokle w złotej oprawie. Śmieją się chętnie ze wszystkiego i

wołają trufle, czasem fałszowane, ale jedzą je zawsze z doskonałym

apetytem. Ci ludzie przejdą po sercu drugiej istoty, jak po chodniku

kokosowym. Gdy spotkasz takie na drodze istoty, skłoń głowę z

szacunkiem wielkim.

Ci ludzie nie mają serca.

Lecz ty, uparta entuzyastko, ciągle swemi zażawionemi oczyma na mnie spoglądasz! Mówisz, że nie lubisz trufl i że nędza ci serce porusza; szepczesz, że kochać można tylko sercem, a miłość—toć Bogu uczucie skradzione i w duszę człowieka przelane. I twierdzisz, o jasnowłosa, że bez tej miłości serdecznej świat zamarłby cały, kwiatyby nie miały woni, a słońceby zgasło! I mówisz że gdy dwoje serc połączy się na wie

ki, to z radości wielkiej łzy płyną, a uśmiech usta rozchyła. Pocałunek miłosny w sercu echo znajduje i dźwięczy tam, jak piosenka miłosna. Teraz ty mi słuchać każesz...

„A ślubuję ci wierność, miłość i posłuszeństwo małżeńskie...” Błyszczą obrączka i biały welon oblubienicy! O uparta entuzyastko, więc tu mi iść każesz i wsłuchać się w szeptaną przez ludzi przysięgę...

„A iż cię nie opuszczę aż do śmierci!...”

Teraz ty na mnie patrzysz z tryumfem. Widzisz łzy w moich oczach... To głos tej biało ubranej dziewczyny wzruszył mnie do głębi, a może woń bzu, który rozpościera się po obu stronach ołtarza. Wyjdźmy z kościoła, zapach kadzidła odurza, po głowie płaczą się słowa:

Stara to, stara historia

O nowej niezmiernie treści;

A gdy się komu przytrafi,

Serce mu pęka z boleści...

Widzisz, teraz tobie zasnuwa znów oczy jakaś mgła niepoczciwa. Pochyl głowę, to jęczy serce... Heinego...

Zamilkłaś, biedna istoto!... Na palcu twym błyszczą pierścionek zaręczynowy z turkusem

w kształcie serca. Dokoła błękitnego kamienia biela się perły...
Perły—to łzy! Czyż moja wina, że ja wszystko przez łzy widzę? i że
wszyscy ci, którzy serce w piersiach mieli, płakali przez życie całe? Lecz
ty, szalona, pozbyć się go nie chcesz; mówisz, że wolisz mieć w piersiach
ranę nawet, niż nie mieć nic... pustkę ohydną Wybierasz więc łzy, perły...
nie chcesz dyamentów uśmiechu?.. Kryjesz w sobie tę mogiłę wspomnień,
ku której się zwracasz wśród bezsennych nocy, i w cierpieniu ulgę
znajdujesz? Jesteś więc kobietą... kobietą w każdym calu! Pozbyć się nie
chcesz serca i pozwalasz mu dręczyć się bezustannie.
Ty mówisz, że serce tak mocno wrosło w piersi kobiety, iż wyrwać go nie
sposób — i nic chyba nie zdoła go uspić: ani przejścia, ni burze życiowe.
Ono wiecznie chce kochać i poświęcać się dla czegoś! Krew cała wytoczy
dla szczęścia drugiego, odda mu się bez podziału, aż znów odepchnięte,
rozdarte, smutne, zajęczy w piersi twojej!..
Idź więc, biedna ćmo, w ogień, gdy takie przeznaczenie twoje! Nie
zdołam cię powstrzymać, bo ty słuchasz tylko serca twego bicia. I cierpieć
tak będziesz ciągle, tułając się, jak mara, z wiecznie rozranioną blizną

serdeczną, aż wreszcie padniesz na rozdrożu, wydając jęk głuchy,
przeciągły...
Ścichniesz wtedy sama... bo serce twe skona na wieki!..

JEJ UŚMIECHY

Fantazya.

„Żądze uciechy kwitną chwilę, Znowu więdną — i znów kwitną; I tą drogą nędzną, szczytną, Wszystko dąży ku mogile!..”

(Heine—„Księga Pieśni.”)

...Dogorywam!

Wy nieopatrzni bogacze, posiadający w swoich stalowych piersiach całe skarby siły i młodości; wy rówieśnicy moi, którzy zdroj życia przelewacie w niedopitą czarę szampana lub w usta bladej wietrznicy; wy których szary świt wita czuwających przy stole zarzuconym kartami i złotem; wreszcie wy ludzie biedni, ze schyloną ponad pracą głową... słuchajcie mnie—ja dogorywam!

Słowo drobne, małe, czterozgłoskowe; lecz wypowiedzieć je spokojnie, głośno, z całą wiarą—na to potrzeba siły Tytana i odwagi Herkulesa; na to potrzeba wejść w siebie i policzyć, ile tam w zbolełej piersi pozostało jeszcze zasobów oddechu, ile jeszcze razy uderzyć może smutne, zbolełe serce.

I wśród nocnej ciszy potrzeba nagle wyciągnąć ręce do tej ułudnej mary, nazwanej „życiem,” które chce uciec z twego schorzałego ciała, jak ptak długo więziony—i zawołać wargami gorączką spieczonemu
— Ja dogorywam!

Minęły te czasy, kiedy suchotnicy nie znali stanu swojego zdrowia i łudzili się, snując dalej czarowną marzeń tkanę.
Śmierć przychodziła do nich znienacka i zostawiała ich martwych, z szeroko otwartymi źrenicami, zdziwionych tym niespodziewanym zgonem, który, według nich, był jeszcze daleko. Ja znam dokładnie stan mój — znam lepiej, aniżeli lekar, który codziennie kiwa głową nad moim łóżem... Ja wiem, że dokoła mnie śmierć, we mnie śmierć, że stara matka moja, gdy przybędzie z dalekich stron, wyczyta w mojej twarzy wyrok, jaki anioł żałoby w noc na czole mojem wypisuje!...
Lecz czy zdąży ta święta moja zamknąć mi powieki?.. Nie chcę na nią patrzeć oczyma trupa... Ja serca matki pragnę! u brzegu mogiły o błogosławieństwo jej proszę! Umrzeć

na jej piersi, ukołysany harmonią jej głosu, oblany jej łzami—dziecinne to, a jednak wielkie we mnie pragnienie! Matko moja! przybywaj!
Biedna ona, ta siwa, ta święta, ta ukochana—w chwili mojego zgonu i z jej piersi życie uleci.

Wszakże ja byłem tem słońcem, w którego promieniach zakwitał kwiat jej starości; ja byłem jedynem jej ziemskim ukochaniem; we mnie żyła, we mnie cierpiała, ze mną się uśmiechała.

Łza moja w oku jej bratnią siostrę miała, uśmiech mój był jej uśmiechu odbiciem, wszystko nam było wspólne—troski codzienne i marzenia przyszłości.

Kiedy przybywałem do niej, aby spędzić wakacyjne chwile, i cały ośnieżony rzucałem się do jej rąk ubóstwianych, ona tuliła mnie do swej piersi i wśród płaczu i śmiechu mówiła tylko:

— „Chłopiec mój ukochany, chłopiec!

I duma, tkliwość, bezgraniczne jej dla mnie poświęcenie, widniały w błękitnych tych oczach, rozjaśnionych najświętszą z miłości,

która w niebie początek swej wzięła i przez anioła Bogu wykradziona w
piersi kobiet przelaną została!

Potom siadaliśmy oboje przy płonącym ognisku i, patrząc w złote
płomienie, rozpoczynaliśmy swoją spowiedź: ona krótką opowieść
wdowy, żyjącej jedynie w swym dziecku,—ja długą, bezładną spowiedź
chłopaka, przed którym świat cały otworem... a przyszłość—toć
najpiękniejsza rusałka, w liście i kwiaty strojna...

I przy tem ognisku, u nóg tej czarno odzianej kobiety, której rękę czułem
na swojej głowie, gasły kolejno niepoczciwe bunty; ręką złą wzniecone
zuchwałe wątpliwości, jak buntownicze anioły, pierzchały w nieładzie, a
nieugięta pycha kornie chyliła głowę...

Cóż zdoła się ostać przed tkliwym sercem matki?

Ach! jest jedna potęga, której głos ten słodki nie zgniecicie; jest jedna moc,
która stawia czoło hardej tej wszechpotężnej miłości; jest jedna mara, której
łza matki nie wzruszy...

To śmierć, to zgon!

Gdzież „ona” jest teraz, ta, która mi śmierć w duszę wniosła?

Gdzież krąży teraz z twarzą demona, w słońcu południa skapaną? Ja
dogorywam, a tej, przez którą umieram, gasnącym wzrokiem spostrzedz
nie mogę... W sam czas odeszła— wszakże teraz zajmującym nie jestem...
Gdzież ona, ten ogień błędny, wiodący ludzi na manowce? gdzie poszła,
unosząc ócz swoich brylanty? Czy, jak wodna „zwodnica,” tańczy po
zielonawej fali i srebrną kaskadą śmiechu ciągnie ludzi w toń zimną?
Niema jej! pusto!.. a jednak ona jest tuż przy mnie, słyszę szelest jej szaty,

widzę marmurowe ramiona, czuję woń kwiatów, całujących jej piersi... O ty, przez którą konam, nie dręcz mnie już więcej!

Lecz ona prośby mej nie słucha.

Patrzcie! Na szarej mgle poranku wpływa przez okna mojego pokoju, biała, przejrzysta, a doskonale piękna—jak różowa jutrzienka, poprzedzająca słońce. A ja wyciągam ku niej moje wychudłe ręce i pragnę uchwycić rąbek mgły, którą jest owinięta... Ona pochyla się w moją stronę, kaskada czarnych włosów spływa po jej szyi, po śnieżnych ramionach, od których odbija ciemna barwa twarzy—i stoi tak chwilę nieruchoma, złocąc się w promieniach wschodzącego słońca.

Nagle na ustach jej zakwita uśmiech czarownicy —całe morze ironii, rozkoszy, pogardy i zmysłowej podniety,..

Nie patrz na te rozchylone usta, bo w tej chwili trucizna jest na tych wargach purpurowych! Trucizna podobna do tej, jaką mają w kielichu swoim podzwrotnikowe kwiaty, śmiejące się do ciebie pomiędzy ciemnymi liśćmi... Nie wciągaj ich woni—woń ta cię zabije... padniesz, jak kłos kosą podcięty, pod czarem tego uśmiechu!..

A ona uśmiecha się ciągle, ciągle, patrząc na mnie z poza mgły, w którą owija się cała... Kontury jej ciała błyskają połyskiem atłasu... Włosy czernią się jak lśniące zmije, a uśmiech drga, drga ciągle, bezustannie, na wilgotnych, purpurowych wargach! Jej uśmiech! Boże! Jej uśmiech!.. Śmieli się ze mnie koledzy moi, iż tak szalenie pokochałem kobietę, spotkaną wśród tłumu, i potem śledziłem każdy jej krok, wpatrzony w nią, jak w tęczowe zjawisko!

Czułem, że mają słuszość... Ale co chcecie! Miłość istnieje... Błąka się ona po świecie i puka do serc ludzkich, nie zważając na

okrzyki tłumu, który chce wygnankę niebios skalać w błocie sprzedajnych miłostek, lub zaprzadz do pług zwierzęcych instynktów. Ona, świetlana, czysta, promienna, ucieka im z rąk i rozrywa kajdany, jakimi skrępować ją pragną, i idzie dalej i dalej w swoim tryumfalnym pochodzie, niosąc więcej łez niż uśmiechu, smutku niż radości, cierpienia niż wesela. Z popiołów gmachy zwalone odtwarza i daje życie umarłemu kwiatu,—ale częściej trumnę gotuje, całun grobowy na swoich wybranych zarzuca. I do mnie przysłała ona w piękny poranek letni i zastąpiła drogę mojego życia, błyszcząc oczu czarnych promieniem. Młode serce—to motyl biegnący do światła. Więc i ja pobiegłem za ócz tych promieniem—i biegłem tak długo, długo, aż padłem bez życia; i teraz, ledwie w dni moich poranku, liczę minuty mojego istnienia.

Bo miłość jest mściwa i tym, którzy jej bluźnią, ciężko płacić każe. Jam bluźnił miłości, hołdując instynktom tylko... dlatego też ona wydziera mi życie i szarym popiołem oczy posypać mi zamierza...

Od chwili, kiedym ją ujrzał, byłem szaleńcem.

Noce całe wystawiałem pod jej oknami, rozgorączkowany, patrząc w mdłe światełko, płonące w jej sypialni. Czuwałem nad jej snem, stojąc na deszczu lub mrozie, i składałem ręce w niemem upojeniu, wpatrzony w mdławę, blade światło. Byłem śmieszny, wiedziałem o tem —mówił mi to zdziwiony wzrok stróża nocnego, który brał mnie za nocnego włóczęgę. I byłem nim, ja, biedny rozbitek, bez woli, bez duszy, bez serca—bo wszystko mi zabrała ta czarnowłosa, śpiąca spokojnie pod fałdami jedwabiu.

Nie jej to była wina, iż miała tę piękność doskonałą i czarne ócz brylanty, jak otchłań głębokie, a zda się niezmierzone. Jam to był winien, biedny

marzyciel, który w otchłani szukałem zdroju życia i zaprzepaściłem w niej swe istnienie. I kupowałem wonne, purpurowe róże, zda się z ust jej zbiegłe, i tuliłem do swej twarzy, całując je namiętnie. Kwiaty wędły od żaru moich warg, ale nic mnie ochłodzić nie mogło. Rzucałem kwiaty na ziemię i łkałem głośno, jak dziecko, a róże poszarpane wydawały mdłą woń, tę samą, jaką jej suknie były napojone...

Ona była kwiatem, kwiatem purpurowym, królewskim, wspaniałym!
Cała była wonią, rozkoszą, upojeniem!...

Czy ona wiedziała o mojej miłości — ja sam nie wiem i podobno nie dowiem się nigdy.

Kobieta — powiadają — ma cudowny instynkt. Wśród tłumu odczuje wzrok biednego robotnika, spoczywający na niej z uwielbieniem. Wzruszy ramionami i odwróci oczy po to, aby za chwilę spojrzeć znów w tę samą stronę. Jam stał przy niej w niezliczonym tłumie, wpatrzony w jej postać królewską, a ona odwracała wolno swoją kształtną główkę i patrzyła na mnie, jak... na biednego robotnika! Lecz w oczach jej nie czytałem nic, żaden wyrok nie spływał do mnie z tych ciemnych źrenic—i ta obojętność przyprowadzała mnie do szału. Chciałem ją bodaj czemś obrazić, aby zamącić pogodę jej spojrzenia, by choć gniew wzbudzić w jej piersi. Biały piesek, biegający za nią, zbierał stokroć więcej pieśczośliwych spojrzeń, niżeli ja, który kobiecie tej oddałem na własność duszę moją—i czułem, że mi jej nie ode

brać więcej! chyba w godzinę śmierci—po to, aby ją stracić znowu!
Mówili mi ludzie, iż miłość moja to miłość dziecinna, „studencka”—i śmieli się z mój wybladłej twarzy i smutnych oczu.

Ja chciałem śmiać się z nimi w kącie jakiejś piwiarni, siedząc przy brudnym stole, pomiędzy brudnymi kuflami. Próbowałem śmiać się, ale serce moje chore uczuwało jakby pchnięcie sztyletu, a dech się w piersiach tamował. Rzucałem pieniądze w fartuch usługującej dziewczynie, odpychałem jej zalotne ramiona i wybiegałem jak szalony na ulicę, szukając mojej ukochanej. Jeśli ją znalazłem na koncercie, lub w którymkolwiek z teatrów, stawałem cichy i drżący, pochłaniając jej piękność, jak kwiat chłonie promienie słoneczne, jak motyl pije rosę. A serce moje stawało się jedną wielką raną, która krwawiła się za każdym jej uśmiechem, zwróconym do mężczyzn ją otaczających. Pragnęłem wtedy za cenę mego życia zyskać taki uśmiech, zebrać go z jej ust, z jej ust purpurowych i unieść ten skarb daleko, kryjąc przed ludzkim okiem. Jej uśmiech! Boże! Jej uśmiech!

I zakwitł dla mnie ten kwiat mistyczny wśród mroźnej nocy.
Przyszedł po to, aby mnie zabić — zabrać resztę życia, jaką miałem w piersi...

Zima już zeszła na ziemię, wlokąc swej płaszcz biały, brylantami bogaczów i łzami nędzarzy utkany. Bawili się wszyscy, a płakało wielu...
Walc mieszał się z jękiem marznących ludzi, a ten sam mróz warzył kamelie, bielące się nad czołem tanecznic, i ścinał w kryształę łzy na policzkach matki, szukającej pożywienia dla zeszywniałej od mrozu dzieciny...

Ja szedłem w ślad za moją ukochaną i szukałem jej na wszystkich balach publicznych, gdzie często spotykałem ją świetną, promienną, lśniącą od dżetów, z łonem obnażonym, z ramionami nagiemi, jak u greckiej niewolnicy, z głową strojną w pęki piór, błyszczących brylantową rosa. Kilkakrotnie miałem sposobność zbliżyć się do niej, być jej przedstawionym, ale na tę samą myśl doznawałem tak silnego wzruszenia, iż pozostawałem w moim kąciku, śledząc jej ruchy, licząc jej uśmiechy!
O! bo śmiała się ciągle w tej balowej

sali, śmiała się jak nieopatrny bogacz, siejący po swej drodze perły i brylanty. Gdy tancerz wprowadzał ją w wirujące koło, ona, słuchając jego szeptu, przechylała główkę, przymykała oczy i uśmiechała się, jak rusałka nad brzegiem wodnej toni... A uśmiechów tych rozrzuciła tyle, ile kwiatków konwalii śnieżyło się na jej piersi, ile pereł otaczało jej szyję, ile blasków rzucały brylanty jej oczu.

Jam stał zgorączkowany, patrząc na ten posąg grecki, owiany białą gaza,—na ten posąg, uśmiechający się w odblaskach gazu, i prosiłem cichym szeptem: „spójrz, spójrz raz tylko! za uśmiech twej ja życiem zapłacę!..”

Bo cały poemat był w tym uśmiechu!

Zalotność, radość i świadomość swojej piękności, jakaś rzewność i przekora dziecięca, namiętność zmysłowa kobiety z przeczystą niewinnością anioła... wszystko miała w sobie ta pieśń bez słów, płynąca z jej warg purpurowych. Tak uśmiecha się demon, gdy wiedzie dusze na zagładę... Tak śmieje się anioł, otulający białymi skrzydły kolebkę śpiącój dziecińcy.

Za takim uśmiechem idzie się w przepaść, z której niema wyjścia...

Skarb taki pragnęłam posiąść dla siebie i posiadałam go na wieczność całą. Podczas jednego z balów tłum niezliczony przepełniał salony... Gorąco dusiło wszystkie piersi, twarze oblekały się purpura... Wśród tego piekielnego żaru szaleńcy tańczyli z jakąś dziwną namiętnością złączeni we wspólnym uścisku, jak potępieńcy Danta... I ona była pomiędzy nimi, ta moja królowa, zawsze marmurowo chłodna, uśmiechająca się jak zwykle. Skronie mi płonęły, puls bił szalone tempo, gdym patrzył na jej łabędzią szyję, od której dziwnie odbijała śniada barwa twarzy.

Gdy wychodziła, rzuciłem się za nią jak szalony i już stałem pod perystylem, gdy ona, otulona w wielkie białe opony, schodziła otoczona gronem tancerzy. Jam stał zmieszany z tłumem, otaczającym wejście do gmachu i liczącym głośno karety i wsiadające do nich kobiety. Lodowate zimno panowało dokoła. Noc ta była szczególnie mroźna, a świetlane punkciki unosiły się w powietrzu. Wszystko było pokryte tym brylantowym szronem, a oddechy ludzkie zamarzały na ustach.

Ja stałem z twarzą płonąca, czując w sobie żar straszny, wyniesiony z sali balowej; otulałem się futerkiem, które najlepsza matka moja kazała mi przerobić z ojcowskiego futra i przysłała z błogosławieństwem i pocałunkami...

We drzwiach pokazała się ona... Tłum zaszemrał głośno na widok białego zjawiska, otulonego futrem i koronkami. Kareta jej zajechała, ale od drzwi wchodowych do pojazdu została jeszcze przedsień o kamiennej podłodze. Podłoga ta była zmoczona i wilgotna, kamienie przerażały ją swoim chłodem i wilgocią... Stała wahająca, niepewna, spoglądając dokoła, oczekując na coś... I w mgnieniu oka ja, nieszczęsny szaleniec, zerwałem futro z swoich ramion i rzuciłem jej pod stopy, jak Leicester płaszcz pod stopy królowej. Ona bez wahania wstąpiła na ten puszysty kobierzec i, przechodząc koło mnie, spojrzała mi prosto w oczy. Chwilkę spojrzenia nasze się zmieszały: moje gorące, rozpaczliwe, namiętne, — jej zalotne, smutne i jak otchłań bezdenne. Nagle usta jej rozchyliły się i purpurowy kwiat uśmiechu zakwitł, zakwitł dla mnie jedynie!... Fala krwi uderzyła mi do głowy; to, czego wśród nocy bezsennych pożądałem tak gorąco, posiadałem wreszcie, posiadałem wyłącznie. I trwał

ten uśmiech chwilę jedne, mgnienie błyskawicy... ale na sercu mojem wyrzył się, jakby na marmurowej płycie, kryjącej grobowce. Jej uśmiech! Boże! Jej uśmiech!

Kiedy przyszedłem do przytomności, ona już była daleko.

Odjechała, nie bacząc, iż rwało się za nią młode życie miłosnego żebraka, który bez wahania, zamiast płaszcza, duszę swoją rzuciłby pod jej stopy!

Tłum patrzył na mnie, jak na wary ata, zrzucającego ze siebie ciepłą odzież w tę noc mroźną, styczniową, gdy oddechy marzły na ustach, a słowa w lód się ścinały. Inna kobieta pojawiła się we drzwiach, inne futro i koronki zajęły uwagę ludzi... Karetą zaturkotała, zaczęto mnie popychac, ktoś roześmiał się głośno, drugi schwycił moje futro i odrzucił daleko na kupę śniegu. Ja stałem jeszcze chwilę i czułem, że krople potu na moich skroniach zamieniały się w lód, jak łzy skamieniałe. Po krzyżu przebiegały mnie dreszcze i nagle zabrakło mi oddechu...

Instykt zwierzęcy wziął górę nad rozpaloną wyobraźnią— mimowoli zacisnąłem frak

koło piersi i zaczęłem szukać futra. Trwało to długą chwilę, bo tłum się tłoczył, ciekawy, chciwy i bezmyślny... Wreszcie znalazłem mój płaszcz, cały mokry od śniegu i zimny jak całun grobowy. Zarzuciłem go na ramiona i doznałem dziwnego wrażenia. Zdawało mi się, że wpadłem w toń lodową i kostnieję cały, zamierając powoli.

Lecz pomimo to cisnąłem całą siłą zmoczone futro do piersi. Wszakże to jej stopy, obute w białą irchę, deptały po czarnym, lśniącym włosie i tonęły w nim, jak w puszystej kąpieli! Zdawało mi się, iż odnajduję ślady jej drobnych, dziecięcych nóżek i tulę je do piersi w namiętnej pieszczocie. Dzieckiem jeszcze będąc, tuliłem tak samo drobną swą główkę do ciepłego ojcowskiego płaszcza, w którego fałdach niknąłem, jak drobna gwiazdeczka wśród ciemnej nocy;—teraz całowałem to samo futro, nie szukając wszakże wspomnień zmarłego... Lekkie stopy kobiece przesunęły się po niem, czarowny jej uśmiech stanął przed memi oczami.

I błąkałem się po ulicach, złączony w szalonym uścisku z tym grobowym całunem, który mroził mi krew w żyłach i oddechu pozbawiał!

I oto od pięciu tygodni nie wstaję więcej z łóżka.

Od tej pamiętnej dla mnie nocy zamarzył oddech w moich piersiach, a krwi ściętej nic rozgrzać nie może. Zimno mi, choć ogień blisko mnie płonie; zimno mi, choć w usta wlewają ożywcze płyny; zimno mi nawet, gdy o niej wspomnę... Mróz, mróz dokoła mnie! mróz spłynął ku mnie z jej warg wpółotwartych, z jej ramion alabastrowych, z jej oczu we mnie wpatrzonych... Sztywnieję, ziębnę, drzę cały — zda mi się, że mieszkam w lodowym pałacu i śnieg mam za posłanie.

I ona zjawia się chłodna, blada,—a gazę, okrywającą jej ciało, szron posypuje. Kwiaty konwalii, bielejące w jej włosach, iskrzą się jak śniegowe brylanty. Bryła lodu służy jej za podnózek, a puchy śniegowe otaczają ją dokoła! I stoi tak przede mną w zimowym świetle szarego poranku i uśmiecha się ciągle, patrząc na mnie... pół trupa, drżącego pod wpływem tego uśmiechu.

O matko! ty jedna odegnąć możesz tę lodową mare, twej gorący oddech zdoła rozgrzać me czoło!.. o matko!.. przybywaj!

Napróżno wołam...

Pustka i cisza dokoła... Widmo lodowe nie znika... Studencka miłośćka wkrótce się skończy...

Śmieszna to była farsa... jedno młode serce pękło... jedno życie zastygło!..

Dnieje—szara smuga staje się coraz bielszą... a mnie coraz zimniej... Oczy mi się kleją... chcę spać... zasnąć na wieki!.. A przede mną ciągle ta biała kobieta... jak anioł śmierci niewzruszona... i z ust jej spływa ku mnie... grobowym chłodem... uśmiech!.. O Boże!... jej uśmiech!..

GDYBYŚ TY OŻYŁ!,"

Fantazya

(do obrazu „Potop" Pawła Merwarta).

Znów jesteś przede mną, wspaniały pięknością swoją, do posągu raczej podobny!

Twarz twoja, napiętnowana rozpaczą, wznosi się w górę, a oczy, z których tryska. prośba sercu wydarta, patrzą w niebo, zasnute szarą mgłą, dżdżystą, straszną i jak przepaść beznadziejną.

Pod stopami twemi woda!.. Dokoła ciebie... woda. Wszędzie rozszalała fala, a ty, wsparty na odłamku skały, w swoich potężnych ramionach wznosisz wysoko pod niebiosą białą kochankę swoją, białą dziewczynę, spowitą w mgłę gazy i. czarnych włosów promienie!

Śmierć dokoła ciebie, o synu Noego! śmierć łechce stopy twoje i w ryku fal obecność swą zwiastuje... ale ty, ufny w potęgę miłości, do niebios podnosisz ukochanie swoje, sądząc, że przebłagasz gniew Stwórcy i białą

piersią zemdlonej kochanki przebijesz czarną oponę chmur, niosących zagładę i zniszczenie.

Ty kochasz czarnowłosą Sarę, ty kochasz całą potęgą uczucia, jakie pierś ludzka pomieścić jest zdolna! Ty dobrowolnie oddajesz swoje młode życie, nie chcąc się ocalić w arce twego ojca... ty zginiesz wraz ze swą jedyną w zimnym odmiecie fal... wiesz o tem, a jednak opuścić nie chcesz istoty, która ci się osunęła do stóp, w poranek wiosenny, i jedwabiem włosów woje twą, jak łańcuchem, związała. Ona ze swą duszą oddała ci życie swoje. Ty dajesz jej teraz istnienie swe w zamian. Zginiecie razem, złączeni w uścisku, zginiecie oboje, piękni, w lat swoich zaraniu...

Woda ziębi już wasze stopy, za chwilę pokryje was, jakby całunem śmiertelnym... Jeszcze czas przecież... porzuć białe ciało twej kochanki, Jehowa dla ciebie gotuje ocalenie... Patrz! tam w oddali płynie arka, tam ojciec twej płacze i ręce ku tobie wyciąga... Porzuć Sarę w zimne fale, które jak zwierz rozżarty krążą dokoła ciebie—ocal się! ocal! wszakże młodości twej szkoda!...

Ale on nie słucha. Wspaniały swą wielką rozpaczą, wznosi ciągle ramiona ku górze, a w ciemnych marach rąk jego bieleje Sa

ra... ta ukochana! ta jedyna! ta... do śmierci!...

Więc była miłość na świecie?... Było uczucie takie, które człowieka na śmierć wiodło i, ogarnawszy istotę całą, duszę z piersi wyrwało? I śmierć była lekka we dwoje... i życie było jasne we dwoje... i łza była mniej gorzka, a uśmiech weselszy! I śmiało się do słońca dwoje młodych istot, odpoczywając w cieniu liści ciemnych... i umiało skonać razem w noc taką śmiertelną, skonać, jedno ratując drugie...

Razem." wiecznie razem!...

O gdybyś ty ożył, ty piękny, ciemnowłoso, uczuciem wszechpotężny i spojrział w tę noc jesienną na ziemię, po której, zamiast fal spienionych, płyną całe rzeki srebrnego światła księżyca...

O gdybyś ty ożył i stopą twą z brązu wykutą dotknął: miejskiego bruku, który drży pod kołami karet, wiozących w koronki otulone kobiety!

O gdybyś ty ożył i jedno z takich kobiet porwał w swe ramiona, jak niegdyś Sarę przed laty, i podniósł do niebios, do gwiazd,

płonących jak brylanty, i chciał ją ocalić ze świata odmętu, z fal występku i kału, które dokoła jak zwierz dziki krążą, wyciągają swe paszcze po młodość, piękność i niedoświadczenie —a w zamian za tę kochankę serdeczną gdyby ci danem było zginać w nędzy i opuszczeniu,—gdybyś, zaślubiając biedną kobietę, stracić miał pozycję, majątek, sukcesję, utonąć w potopie ruiny—co zrobiłbyś, wnuku Lamela?

Gdybyś ty ożył i pierś twa zadrzała życiem, siłą, miłością,— przedewszystkióm nie byłbyś synem Noego, ani prawnukiem Matuzala, ale synem bankiera, wysokiego urzędnika, właściciela domu, może jakiego hrabiego, barona galicyjskiego... ba! może nawet księcia.

Ojciec twej nie budowałby korabia lat tyle, znosząc kawałki drzewa i wiążąc je w pocie czoła, pod palącemi promieniami słońca; budowniczy postawiłby mu korab czteropiętrowy z oficyną i asfaltowym dziedzińcem, lub rodzic twej zamieszkałby pałac przodków swoich, gdzie gobeliny okrywają ściany, a chińskie pancerze czernią się po kątach

I ty sam, czarnowłoso, ciemnooki, nie igrałbyś, będąc dzieckiem, pod cieniem palm niebotycznych, kąpiąc swe nagie ciało w pia

sku i blaskach słonecznych,—ty byś chodził z tornistrem na plecach i kantówką za pasem kupować obsadki i radirki po sklepach— a wątle twoje, drobne ciało wędłoby w ciasnej atmosferze dusznych, natłoczonych izb...

Później pierś twą szeroką, pierś do walki przeznaczoną, którą wicher pustyni całował w noc ciemną, okryliby sztywną bielizną, lśniącą, glansowaną. Całe twoje ciało—ten harmonijny akord, szczyt doskonałości, ideał wcielony, który ciemniał o zachodzie słońca na szczytach skał, skąpany w purpurowych blaskach—okryliby „garniturem frakowrym,” z Wiednia sprowadzonym, garniturem na jedwabnej podszewce, z wyłożoną firmą krawca, i kamizelką modnie wyciętą. Oczy twoje te dwie przepaście czarne, obramowane rzęsami, te oczy, które jak gońceposyłałeś w głąb' pustyni, lub topiłeś nieustraszenie w żółtych lwa źrenicach, skrzywiłyby się w brzydkiem, nerwowem skurczeniu, w celu utrzymania monokla, krającego ci skórę twarzy drobnymi, ostremi ząbkami. I przez taką szybkę szklaną, kaleko jednooki, patrzyłbyś na słońce, na Sarę twoją czarnowłosą,—i słońceby wydało ci się mniejsze, a piękność Sary mniej doskonałą.

Gdybyś ty ożył, zamiast siekierki, z odłamu skały zrobionej, zamiast łuku o ol

brzymich, świszających strzałach, przez Tubalkaina ukutych, ręka twoja dźwigałaby chapeau claque z monogramem i koroną na czarnej atłasowej podszewce. Czasem, dla odmiany, lekka laseczka podpierałaby twoje niepewne kroki; usta twoje, te usta, których korale chłód nocy pieścił i żar namiętności z nich zbierał, ssałyby nadzwyczajne cygara lub papierosy; a stopy nagie, migające wśród mchu, porastającego w rozpadlinach skał, kryłyby buty o wążkach, spiczastych nosach.

I tak przekształcony zacząłbyś włóczyć swoją po świecie, pełen
znudzenia i przesytu od kołyski niemal, ciągle szukający wrażeń, zamiast
lwów pustynnych, i polujący na dziewczęta, wychodzące z magazynu,
zamiast na ciemnookie gazy, pasące się na szczytach skał,..
I noce swoje trawiłbyś nie pod gołym niebem, zapatrzony w gwiazdy,
kołysany szumem wodnej trzciny i ukochanej twej piosenką, — lecz za
stołem modnej restauracji, w hulaszczym gronie, w atmosferze topionego
masła i dwuznacznych perfum, jakimi starsi kelnerzy fraki swe zlewają.
I gdybyś ty ożył, spotkałbyś Sarę twoją nie na brzegu strumienia, wśród
lilij i szerokich zielonych płatów hermongery, —nie jasne poranne słońko
oblałoby jej kształtne ciało,

schylone nad wody kryształem,—nie płaszcz czarnych włosów za szatęby
jej służył, — ale Sara twoja złożyłaby ci może ukłon w sali balowej,
ściśnięta w gorsecie, upudrowana, przefasonowana, do „kobiety” tak mało
podobna!

I, miły Boże! nie tak, jak w zamierzchłych, dawnych wiekach—
namiętność nagle zbudzona, uczucie szczere, niekłamane dwojga młodych
istot pchnęłoby was ku sobie w ten poranek majowy, w którym ptaki,
zbudzone ze snu, przyglądały się wam z pobłażaniem wielkim,—ale
sztuczny konwenans, rachuba, dobre maniere kazałyby wam zatłumić
mimowolne wzruszenie, które sercem waszym wstrząsnęłoby chwilowo—
i ty, o czarnowłoso, pytałbyś: „jaki jest jej posag?” — ona zaś, ta
ciemnooka: „kim on jest właściwie?”

I gdybyś ty ożył, może nawet na dzień twego serca zatliłaby się iskra
miłości, potrafiłbyś w drobne uszko szeptać zaklęte słowa, wziąłbyś serce
i woję kobiety,—ale... poświęcić się dla niej, oddać coś ze siebie samego,
ocalić z potopu—ty już tego nie zrobisz, piękny, z brązu odlany
młodzieńcze! Wieki całe składały się na to, wieki negacyi, sceptycyzmu,
zdrady i kłamstw występnych; ty zapomniałeś kochać, a z nieba już
wykraść tajemnicę miłosnej nie możesz i...

nie chcesz! Przestałeś widzieć w kobiecie skarb swej jedyny, ideał szczęścia, poza którym wszystko jest nicością. Sara dla ciebie teraz byłaby dodatkiem do posagu, karyery i... szampana. Kochanka Iwa stałaby się jego niewolnicą, wlokąca za sobą worki pieniędzy lub chwile fikcyjnej rozkoszy, a łza jej serdeczna uśmiechby w tobie budziła.

O! gdybyś ty ożył, jakże niskim i nędznym stałbyś się teraz!...

Ty pierwszy wbiegłbyś do arki ojca swego, potrącając innych, nie bacząc na to, co się stanie z istotą przez ciebie ukochaną... A gdyby na górze Ararat było zamało miejsca na dwoje, nie podniósłbyś białego ciała do ciemnego płaszcza chmur rozgniewanych, lecz straciłbyś je w przepaść fal spienionych, aby... siebie ocalić.

Więc lepiej nie żyj, ty synu Noego, co z białej piany fal wynurzasz się jak posąg pięknnością doskonałą i stoisz jak ciemny grobowiec wielkiej, bezbrzeżnej miłości.

Razem ze śmiercią twoją znikło to serdeczne uczucie, dla którego tyś oddał swe życie—i odtąd nikt dobrowolnie w ślady twe

nie wstąpił. Tęcza zaświeciła nad twoją mogiłą, lecz w tęczy tej nie było odbłasku miłości—tyś zabrał w zimny grób ciało twej kochanki i tajemnicę swego serca, i odtąd ludzie udają miłość, z której ty uśmiechać się musisz... To słaba, sztucznie wyhodowana roślinka wobec wspaniałego, o gorących barwach i czarownej woni kwiatu! Wieki minęły, tyś jest jedenjedy—i stoisz ciągle przed memi oczyma doskonałą duchowo i doskonałą pięknnością swoją. Nie żyj! nie budź się! nie kłam! nie zwodzi nie bądź samolubem!... pozostań na tej wyżynie ciemnej skały,

unosząc Sarę w rozpaczliwym wysileniu. Krzyk, który zda się piersią twą wstrząsać, nie przebłaga niebios zagniewanych, nie wzruszy Jehowy, ale brzmieć będzie przez wieki całe, budząc tęsknotę za taką miłością, jaka z tobą zginęła!

Nie żyj, synu Noego! pozostań martwym, milczącym, a przecież tak wymownym!.. bo gdybyś ty ożył w jaką noc jesienną i chciał razem z Sara zginąć w odmęcie ruiny, świat cały z uśmiechem nazwałby cię, o ciemnołowsy... przedpotopowym bohaterem!...

PORTYERKA. STUDYUM Z NATURY,

Cała loża lśniła się od porządku i czystości.

Na kominku w cynowych kandelabrach różowe sterczały świece; wielkie biurko, założone stosem listów, papierów i gazet, błyszczało od drobiazgów, poustawianych dokoła wielkiego kałamarza z brązową pokrywką.

Pani Croizelle, założywszy ręce po napoleońskie stanęła obok stołu, na którym leżała wielka, długa, czarna książka, odbijająca jak plama na tle jasnożółtej jutowej serwety.

Rachunki ukończone, wszystko spisane pięknie, podsumowane, a pieniądze złożone do szufladki.

Pani Croizelle może chwilę odpocząć i oczekiwać z czystym sumieniem nadejścia właściciela domu.

A rzecz to przecież niełatwa być portyerką tej wielkiej kamienicy, dzielącej się na dwie równe części i należącej aż do dwóch wrogo dla siebie usposobionych osób.

Bezustannie wynikają niesnaski, choćby z tego powodu, że właściciel prawej strony domu pozwala lokatorom swoim trzymać ptactwo, a zabrania mieć dzieci, psy i świnki morskie,—właściciel zaś strony lewej, poważny, siwowłosy sędzia pokoju, godzi się na dzieci i świnki morskie, a nawet toleruje psy, lecz nie pozwala trzymać ptaków i trzepać ściereczek przez okna.

Jedynie tylko pani Croizelle, lawirując pomiędzy temi trudnościami, jak łódź na falach morza, z niezwykłym taktem i uprzejmością proteguje płaczące się po dziedzińcu świnki morskie, koguty i dzieci w białych perkalowych czepkach. Poza spódnicą portyerki kryją się wszystkie kontrabandy obu połówek kamienicy, a właściciele, przybywszy po odbiór kwartalnych należności, znajdują zawsze dom pogrążony niemal w klasztornej ciszy, okna szczelnie pozamykane i schody wywoskowane, z dobrze wyciągniętymi dywanikami, po których zda się nigdy nogi ludzkie nie stępują.

Tylko w tylnych częściach kamienicy, w dziedzińcu kuchennym, który jak smrodli

wa studnia zapada się wzdłuż sześciopiętrowych murów, słycać kwik zwierząt, ujadanie psa lub płacz dziecka.

Wówczas pani Croizelle wyciera nos z gwałtownością niezwykłą, dla pokrycia owych kompromitujących ją głosów, lub narzeka na cienkość murów, oddzielających dziedziniec kuchenny od sąsiedniej kamienicy. Lecz dziś pani Croizelle jest spokojną. Od rana biegając do lokatorów i odbierając komorne, zapowiedziała solennie rozkaz jaknajwiększej ciszy i otrzymała odpowiednie przyrzeczenie.

— Musiałabym wymówić mieszkanie—dodawła z żalnym odcieniem w głosie, — a jedynym mem pragnieniem jest być państwu dogodną! Pięciofrankówka wpada do tłustej dłoni portyerki.

— Tak! tak! już wiem, jak mam postąpić.. o! państwo są tak dobrzy dla mnie!.. tylko proszę psa zamknąć na całe przedpołudnie; później biedny Bibi niech biega, ile się podoba!

I z dyskretnym półuśmieszkiem pani Croizelle wysuwa się do przedpokoju.

Dzień odbierania komornego jest dla pani Croizelle dniem żniwa i tryumfu. Wszędzie jej dogadzają, tu i owdzie proszą siedzieć,

śmieją się, żartują, pytają o zdrowie pana Croizelle lub Henrysia.

Koniak, wiśnie w wódce, abricotina, ba' nawet char tr ense pojawia się na stole.

Pani Croizelle, czerwona, uśmiechnięta, zajmuje miejsce w salce jadalnej i sączy kieliszek po kieliszku.

A mówi, mówi bezustannie, sznurując usta, spuszczać oczy, dumna z odgrywanej roli i udająca z chłopską przebiegłością zupełną bezinteresowność.

Ależ tak, mój Boże, ona pragnie tylko wygody lokatorów. Właściciele? — o! ci ze zbytku nie wiedzą sami, co mają wymyśleć. Lecz cóż to dziwnego wobec teraźniejszych rządów, panujących we Francji ii...

I sącząc powoli koniak, zagłębia się w politykę z zaciekłością mieszkanki Montmartru, którą plakaty wyborcze drażnią i podniecają jak kieliszek anerpiconu.

Czasem wpada w ton melancholijny, tęsknota za słoneczną Prowancją odzywa się w jej piersi. Podciąga wtedy nosem i narzeka na Paryż, drogość ryb, stęchliznę krewetek i błoto, zalegające dziedziniec.
— Żeby Paryż był w Prowancyi — mówi śpiewającym głosem,—nie byłoby ani błota, ani deszczu, a przez to samo miałabym mniej roboty z czyszczeniem schodów.

O każde piętro wyżej pani Croizelle staje się czerwiejszą i czarne jej oczy świecą się, jak iskry w popiele. Ale też stopniowo i kieliszki koniaku i chartreusy stają się rzadsze, a ich miejsce zabiera czarna kawa lub tanie czerwone wino. W miarę gatunku traktamentu pani Croizelle staje się mniej wymowną, nie zagłębia się w politykę, półgębkiem odpowiada na czynione jej pytania i, zgarnąwszy pieniądze do kieszeni, znika z miną osoby bardzo zaaferowanej i niemającej ani chwili czasu do stracenia. Czasem pani Croizelle wychodzi z jakiego mieszkania na poddaszu z brwiami zmarszczonymi i twarzą nachmurzoną. Przekręca wówczas rurkowany czepek na lewe ucho i pociąga fartuch tak silnie, że aż szelki pękają. Troska nielada!

Robotnik z szóstego nie zapłacił należności; mówi, że zona właśnie leży w ciężkiej gorączce pokarmowej, a dziecko dogorywa. Pani Croizelle rzeczywiście przez uchylone drzwi dostrzegła zgorączkowaną twarz chorej... lecz kto wie!.. ci ludzie często kłamią, a właściciel z nimi nie żartuje.

Czasem znów ktoś z zamożniejszych nie zapłaci, prosząc uprzejmie o zwłokę kilkudniową. Pani Croizelle robi minę zakłopotaną, kilka franków spada do kieszeni jej fartucha.

Portyerka wychodzi z miną dyskretną, jak osoba godna zaufania, i później stara się wytłumaczyć właścicielom, dlaczego ta tłusta pani z drugiego zaległa, lub to... młode małżeństwo nie wypłaciło należnej sumy.

Lecz dziś pani Croizelle z czystym sumieniem oczekuje właścicieli.

Wszyscy lokatorowie co do grosza wypłacili komorne, koniak u tych z pierwszego był prawdziwy Martel, benedyktyńka u dziennikarki ma smak wyborny, wiśnie żony oficera doskonale przyrządzone i rozpływają się w ustach — cały dom, od strychu do suterenu, podziela polityczne przekonania portyerki, a, co najważniejsza, spora ilość franków dzwoni w kieszeni jej fartucha.

Dwie tylko plamy zaciemniają horyzont myśli pani Croizelle.

Przedewszystkiem blada robotnica z facyatek, nad szóstym piętrem położonych, nie zapłaciła osiemnastu franków za swej pokoi.

Dziewczyna rano jeszcze zeszła do loży pani Croizelle, uprzedzając, że niepodobieństwem, jej będzie uiścić się z należności kwartalnej

Przytaczała powody—mówiła, że w atelier nie wypłacono jej przypadającej na ten miesiąc sumy, skarżyła się na ból w piersiach i ogólne osłabienie. Mówiąc, opierała się o ścianę i kaszłała co chwila.

Miała policzki

zapadłe i ręce wychudłe nerwowo skubały brzegi dość lekkiej okrywki. Była młodą i przystojną blondynką, uroda jej jednak zwiędła, niknęła powoli, jak korona zerwanego kwiatu.

Pani Croizelle, popijając kawę z płaskiej salaterki, niechętnym mrużeniem przyjmowała słowa robotnicy.

Co chwila zwracała się do męża, który w szafirowej bluzie i w szaliku, okręconym dokoła szyi, łamał chleb czterołokciowy i uśmiechał się wesoło.

Był to człowiek „rigolo” w całym znaczeniu tego słowa; jako nalepiacz plakatów wyborczych, dnie całe spędzał na bulwarach i w fałdach swej bluzy przynosił śmiech tłumu, piosenkę katarynki, zapachy róż i fiołków, zaścielających chodniki.

I teraz śmieje się, przymrużając oczy i spoglądając na bladą dziewczynę, stojącą obok stołu.

— Nie trzeba chodzić do MoulinRouge— mówi wesoło.

Lecz ona broni się żarliwie. Jakto? do MoulinRouge? ach! kto ją tam widział?—niech jej to powie w oczy, a pozna, jak jej ślina smakuje! Ona całe dnie i wieczory spędza w pracowni, szyje, szyje bez końca. Jeśli

wraca późno, to wtedy, gdy ją dłużej nad jakąś pilną robotą zatrzymają...

— Psie życie!—kończy prawie ze łzami.

Pani Croizelle potrząsa głową i wyraz litości przesuwa się po jej tłustej i rumianej twarzy.

— To wszystko wskutek teraźniejszego rządu—odzywa się, wzdychając, a potem dodaje, odwracając się do dziewczyny: — Kiedyż panna myślisz zapłacić?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

O mój Boże!... czyż ona wie dokładnie?... może za tydzień, za dwa... może za miesiąc.

Pani Croizelle z niepokojem zwraca się do męża:

— Słyszysz? za miesiąc!

Lecz Croizelle już zjadł cztery łokcie chleba i teraz koło komody szuka swego cebrzyka z klejem i potwornego pędzla. Znalazłszy, bierze pod pachę całą plikę plakatów i krokiem kankanowym posuwa się ku drzwiom.

— Niech żyje Francya! —woła już na progu i, okrążywszy wkoło bladą dziewczynę, wyrzuca ją poprostu do bramy.

— Dzień dobry pani Croizelle!

Poczem, zatraskując drzwi, wybiega na ulicę.

Pani Croizelle więc ma tę jedne zgryzotę na sumieniu; druga, innego rodzaju, ale chyba niemniejszym ją napełnia niepokojem.

Od pół roku w kącie domu z lewej strony mieszka młode małżeństwo, dość ciche i spokojne. Niedobrana to para, bo on barczysty, wysoki, rumiany, przedstawia typ zdrowego, pięknego mężczyzny; ona blada, mizerna, wątła, ma wygląd wiecznie chorej kobiety. Pomimo to kochają się podobno, a zwłaszcza ona, która do swego Roberta jest bałwochwalczo przywiązana. Dnie całe spędza w domu, krzątając się po maluchnem mieszkanku, z miną zaaferowaną daje polecenia zasmolonej bonie i oczekuje na męża, który dość regularnie powraca do domu. Zwykle o piątej mała kobietka schodzi sama na dół, okrywając peniuar szerokim płaszczem, i powraca za chwilę, niosąc pęki fiołków i białych hyacyntów dla przystrojenia stołu podczas obiadu.

Pani Croizelle ze swej łoży dostrzega lokatorkę, niosącą kwiaty, lecz na widok tych wonnych wiązanek zachmurza się zwykle pogodne oblicze portyerki.

Pani Robert jest osobą nietylko małomówną i dość wyniosłą, ale przytem, jak istota z prowincyi przybyła, nie rozumie, że sto su to haracz miesięczny, bez którego nie można

ani na chwilę być pewnym dobrych względów portyerki.

Od pół roku pani Robert nie weszła nigdy do łoży, nie przemówiła uprzejmego słówka, nie włożyła franka do kieszeni fartucha pani Croizelle!

Dziś, na przykład, przyjęto portyerkę w przedpokoju, wypłacono jej należną sumę dla właściciela i pożegnano milczącym skinieniem głowy. Pani Croizelle wyszła na schody, tłumiąc w sobie gniew z powodu obrażonej miłości własnej.

Co najwięcej sprawiało jej przykrości, to że pan Robert znajdował się właśnie w salce jadalnej i przygotowywał sobie mazagrań, nie myśląc wcale o poczęstowaniu portyerki. A przecież chyba żaden z lokatorów nie powinien sobie zaskarbiać więcej łask pani Croizelle, jak pan Robert. Wszakże to na jej ręce, do jej łoży... przychodzą od dwóch tygodni małe liściki, ozdobione na kopercie niebieską jaskółką...

Liściki te pan Robert, wszedłszy pewnego dnia do łoży, kazał pani Croizelle zatrzymywać u siebie i doręczać mu osobiście.

Mówił, siląc się na obojętność; ale pani Croizelle w głosie jego dosłyszała całą tajemnicę pokątej miłości żonatego człowieka

i z przebiegłością starej duenny zyski z tego ciągnąć zapragnęła.

Od piętnastu dni więc przechowuje w szufladce drobne liściki z jaskółkami i oddaje je tajemniczo panu Robertowi, gdy ten powraca w południe na śniadanie. Napróżno jednak od dni kilku wyczekuje jakiegokolwiek za swą usłużność wynagrodzenia. Pan Robert chwytając bilecik, nie spojrzawszy nawet na Croizellowę, i usuwa się do bramy, aby przeczytać małą ćwiarteczkę, zakreśloną drobnym kobiecym pismem. Poczem, gwizdząc „Tour Eiffel? biegnie na górę, zdając się nie dostrzegać, ile złości i nienawiści wzbiera w sercu stojącej na progu łoży portyerki.

Kobiecie tej zdaje się poprostu, że ją okradają z jej własnych pieniędzy, — że, nie dając jej datku, krzywdzą ciężko i ją, i pana Croizelle i Henryczka,

który przecież ciężko pracuje w GagnePetit i potrzebuje, doszedłszy do lat dwudziestu, mieć poważną sumkę w kasie oszczędności.

— Brudas!—mówi pani Croizelle, spluwając w ślad za panem Robertem
— brudas!... Gdzie się to wychował niedźwiedź taki! ale... źle robi! oj, źle! źle!

Coś się niedobrego knuje w głowie pani Croizelle, jakaś chęć zemsty przewija się przez jej myśl bezustannie.

Hm! ona jest dobrą kobietą, ale każdy ma swoją ambicję i słuszne wymagania... Jeszcze gdyby ją byli choć mazaganem przyjęli i siedzieć prosili, może byłaby się na czas jakiś udobruchała... ale tak!..

I uderzywszy pięścią w stół, energiczna portyerka woła jedno, lecz wiele znaczące słowo:

— Zut!...

Uspakaja się jednak szybko, bo oto na progu łoży pojawia się sam właściciel domu Wysoki, suchy, zawiędły, z równo przyciętymi bakami, wchodzi do pokoju, nie zdejmując kapelusza.

— Pieniądze? — pyta, siadając na podsuwanem przez Croizellowę krześle.

Portyerka otwiera szufladkę i wysypuje stos złota i srebra na stół.

— Rachunki?

I roztworzywszy książkę, sędzia pokoju suchym indagacyjnym głosem zaczyna sprawdzać kolumny cyfr i spisywać je na osobnym kawałku papieru.

Przez ten czas pani Croizelle stoi napozór spokojnie — wewnątrz jednak szczerze zakłopotana brakiem osiemnastu franków biednej robotnicy.

Właściciel wprędce brak ten dostrzega.

— Któs z facyatki nie zapłacił...

— Tak!—bąka portyerka —numer czterdziesty trzeci, Eliza Launay...

— Proszę ją wyrzucić, i to natychmiast. Niech nie płaci, lecz... niech idzie do dyabła!..

— Chora jest... obiecała, że za tydzień...

— La! la! znam tego rodzaju osoby. Za tydzień, za dwa, za trzy... mija kwartał, a rzecz zostaje jak jest. Proszę mi numer czterdziesty trzeci oczyścić...

— Ależ...

— Niema ależ... Gdybyś mi pani nie wynajęła facyatek temu motłochowi robotniczemu, miałbym dziś moje osiemnaście franków...

Nagle pani Croizelle prostuje się, jakby ukąszona żądłem pszczoły.

Motłoch robotniczy!

— Kanalia!—dodaje właściciel, podpisując pokwitowanie—kanalia!

Wrzeszczą po bulwarach i wtrącają się do polityki. Motłoch! ulica!

Pani Croizelle czerwienieje jak piwonia; pomimo całego szacunku dla właściciela domu, czuje, że cała fala słów wybiega jej na usta.

Cofa się więc ku drzwiom i wychodzi do bramy.

Potrzebuje odetchnąć powietrzem chłodniejszym i nabrać trochę spokoju.

Cała gorąca krew proletaryatu, wyrosłego wśród walki o chleb powszedni, burzy się w jej żyłach. Stoi tak chwilę, sapiąc ciężko. Chłodny wiatr jesienny nie może ostudzić jej skroni.

Wreszcie jakieś postanowienie błyska na jej twarzy. Tak! tak będzie najlepiej. Woli zaryzykować osiemnaście franków, lecz upokorzy tego spanoszonego mieszcza, który „ulicą” jej w oczy ciska.

I drząc cała ze wzruszenia, powraca do łoży, a wyjmując z kieszeni fartucha cztery sztuki pięciofrankowe, kładzie je na stole tuż obok księgi rachunkowej.

— Oto są pieniądze, panie właścicielu — mówi zdławionym głosem; — robotnica przechodziła właśnie z pracowni i dała mi je, prosząc o

pokwitowanie. Pozwól pan jednak sobie powiedzieć, że gdyby p. Tirard nie chciał zamienić prezydentury izby na prezydenturę wydziału rachunkowego, a p. Constans nie myślał o zamienieniu się na miejsce z p. Tirmanem, a pan Rouvier i p. Spuller nie myśleli o uciekaniu z ministerjum i wreszcie gdyby rząd teraźniejszy nie miał określonego programu postępowania i nie dozwolił takiemu oszustowi, jak klery kał Delahage, oczerniać Jouberta, wszystko byłoby inaczej...

Wyrzuciwszy z siebie ten cały potok słów, przeczytanych wczoraj w Latarni, pani Croizelle tryumfująco spójrzała na sędziego pokoju, który zdawał się być przybity potęgą jej wymowy.

— A teraz pan właściciel odda obywatelce Elizie Launay czterdzieści sous reszty i zechce wydać pokwitowanie.

Właściciel wzruszył ramionami i, położywszy na stole monetę dwufrankową, podpisał podawany przez portyerkę kawałek papieru. Odpowiadać jej... hm! na cóżby się to przydało? On znał dokładnie tę lawę, minującą niespokojne umysły tej warstwy społeczeństwa. Wiedział, że ludzie ci czyhają tylko na sposobność wyrzucenia ze siebie całej powodzi słów, która ich poprostu dławi. Jako trzeźwy i inteligentny człowiek, przyjął za zasadę niewdawanie się nigdy w dyskusję.

Pomówiwszy więc jeszcze o popsutych kranach i czyszczeniu zimowem kominków, wyszedł, uśmiechając się ironicznie i potrząsając głową.

W loży została sama pani Croizelle.

Usiadła przy stole i, podparłszy się łokciami, zaczęła od plucia i mrużenia do samej siebie. Żal jej było osiemnastu franków, wy

rzuconych tak nieopatrznie, i dławiała ją wściekłość przeciw właścicielowi. — Ulica!—rarifczwała—ulica! Nie miała nawet tej ulgi, aby się przed kimś wygadać. Zwykle łoża jej wrzała życiem. W dzień zwyczajne w tych czterech ścianach, oblepionych jasnym papierem, kuły się plotki całego domu, smażyły i przetrawiały wszystkie wiadomości.

Pani Croizelle jaśniała wtedy pogodą i wymową, częstowała przybyłe fusami lub absyntem, czytała głośno całe ustępy z Lanterne, lub słuchała dobrotliwie, jak sługi obmawiały swych chlebobawców, wyciągając na jaw najsubtelniejsze tajemnice domowe. Lecz dziś dzień był wyjątkowy, dzień przybycia właścicieli, z których jeden zjawiał się rano, drugi wieczorem. Bony przemykały się przez bramę, szeleszcząc spódnicami, i ginęły w zakrętach schodów z minami sług, przywiązanych istotnie do swych państwa.

Nawet listonosze bez zwykłego hałasu otwierali drzwi łoży i cicho na brzegu biurka składali paczki dzienników i listów.

Pani Croizelle uczuła się bardzo nieszczęśliwą.

Dwukrotnie została dziś znieważona, dwukrotnie dotknięta w swej miłości własnej. Na tak tkliwe serce było to zawiele.

Jakaś chęć odwetu zaczęła wzbierać teraz w piersi portyerki i rosła coraz silniej. Na właścicielu zemścić się nie mogła, ale zato na tych Robertach przyszłoby jej z łatwością.

Powstała od stołu i podeszła do szafki, ukrytej w murze. Na płaskim półmisku leżały ostrygi pootwierane już i z dwóch stron obłożone połówkami cytryny. Ostrygi były wielkie jak kopyta końskie i biła od nich woń wody morskiej.

Pani Croizelle postawiła półmisek na stole, nalała sobie szklanek białego wina i ułamała trzy łokcie chleba. Poczem zasiadła do śniadania, lecz ostrygi nie prześlizgiwały jej się przez gardło.

Stanowczo była zanadto wzruszoną. Nagle ktoś szarpnął drzwiami i w progu łoży stanął pan Robert.

— Niema nic dla mnie?—przemówił, mrużąc oczy.

Chwilę pani Croizelle zawahała się.

Chciała powstać i w paczce pozostawionej na biurku poszukać listu z jaskółką. Lecz widok Roberta, jego zmrużone oczy, impertynencki głos, wstrząsnęły nią całą.

— Niema nic! — mruknęła, naciskając cytrynę na pławiacą się w sosie ostrygę.

Pan Robert trzasnął drzwiami i z zawiedzioną cokolwiek miną wbiegł na schody.

Powoli ściemniało się.

Pani Croizelle, sprzątnąwszy skorupy ostryg i talerze, wzięła, się do sortowania listów. Było ich kilkanaście, z Paryża i zagranicy. Zwykle pani Croizelle oglądała marki, przypatrywała się kopertom, macała dzienniki; czasem, wyjmując z opaski, czytała półgłosem.

Dziś była jednak zanadto zirytowana, aby mogła się bezkarnie oddać temu zajęciu.

— Zut! — mówiła, przerzucając listy z furją, tak, że niektóre spadały na ziemię — „zut!”

List z błękitną jaskółką dopełnił miary.

Cały potok powstrzymywanego gniewu wypłynął na widok tej miłosnej karteczki, zamkniętej w delikatnej kopercie.

— Ja ci ten list oddam, brudasie, ale tak, że popamiętasz mnie trzy kwartały—szeptała, drząc zezłości;—a kto moje osiemnaście franków mi wróci? może ty? albo twoja miła żonka ze swemi fiołkami, na które wyrzuca pieniądze...

Właśnie delikatny profil młodej kobiety zarysowuje się na szybach łoży. Owinięta ciemnym burnusem, przesuwa się jak cień przez bramę, niosąc ulubione przez męża kwiaty.

Portyerka z niedobrem spojrzeniem śledzi tę drobną postać, znikającą w cieniu bramy. Wstaje, otwiera drzwi i woła;

— Pani Robert! Kobieta odwraca głowę.

— Czego?—pyta wyniośle.

Ton jej głosu przyśpiesza katastrofę,

— Jest tu coś dla pani!

Pani Robert wchodzi do łoży zdziwiona, tuż za nią wysuwa się wybladła robotnica, która z niepokojem pyta:

— Był właściciel? cóż powiedział? Lecz pani Croizelle jej nie odpowiada.

Z paczki listów dobywa kopertę z jaskółką i, podnosząc dumnie głowę, wręcza ją pani Robert, która jedną ręką przerzuca hyacyny, fiołki i pęki białego bzu w połę płaszcza, a drugą ujmuje podawany list.

— To dla pani—mówi pani Croizelle, spoglądając wyniośle na bledniejącą, bo przecuciem targaną kobietę.

— A to dla panny—dodaje, podając robotnicy pokwitowanie; — zapłaciłam, ale panna mi należność zwrócisz za miesiąc, za dwa... zresztą gdy będziesz mogła...

Głos jej nabiera łagodniejszych tonów, gdy przemawia do tej dziewczyny z ludu, która drżąca z radości zaledwie oczom swym uwierzyć może.

— O! pani Croizelle!... jakże jesteś dobrą!— mówi ze łzami, ściskając rękę portyerki.

— No! no! nic tak wielkiego — odpowiada pani Croizelle—wiem, że jesteś panną uczciwą i bynajmniej niedumną, znasz się na grzeczności... nie tak, jak inne osoby.

Chce jeszcze coś dodać, lecz bladość, pokrywająca nagle lica pani Robert, mimowoli głos jej tamuje. Pani Robert, ulegając instynktowi kobiecemu, otworzyła list i teraz stała blada, z oczyma szeroko rozwartymi, wpatrując się w małą karteczkę, nakreśloną drobnym kobiecym pismem.

Kilkakrotnie potarła ręką po skroniach i stała tak oparta o ścianę, zapominając, zda się, że jest w loży portyerki i nie dostrzegając badawczego wzroku Croizellowej.

Z opuszczonych fałdów płaszcza wypadły na ziemię wiązanki fiołków i hyacyntów, i leżały u stóp kobiety, jak wieniec żałobny, na grobie jej szczęścia złożony.

W sercu pani Croizelle, na widok tej bezmiernej boleści kobiecej, zaczęła się budzić litość i jakby chęć niesienia pociechy.

Zbliżyła się do pani Robert i ze współczującym wyrazem twarzy, zapominając niemal, że ona była pośrednią sprawczynią tej ciężkiej krzywdy, zaczęła słodkim głosem:

— Pani ma jakieś zmartwienie?.. Pani tak pobladła!...

Lecz stojąca przy ścianie kobieta oderwała się z cienia, i pod wrażeniem głosu portyerki zdawała się powracać do przytomności i odzyskiwać panowanie nad sobą.

Wrodzona jej duma budziła się. nie chciała poddawać pod wzrok ciekawy trywialnej istoty rozpaczy, która jej duszę szarpała.

— Nic mi nie jest — odrzekła z wysiłkiem;— dziękuję pani za jej troskliwość.

I zebrawszy dokoła siebie fałdy ciemnego płaszcza, znikła we drzwiach schodowych, jak cień dumny i nieugięty.

Pani Croizelle zmarszczyła brwi, patrząc z nienawiścią na oddalającą się kobietę.

— Brudna Prusaczka! —mruknęła, nie mogąc w duszy swej znaleźć większej obelgi dla ulżenia swej złości.
Tymczasem robotnica, ukląkszy na ziemi, zbierała fiołki i hyacyny, rozsiane na podłodze.

PIERWSZY ŚNIEG. PŁATKI CHWYTANE W POWIETRZU.

Skrzy się to po nocy, a po dniu bieli jak suknia oblubienicy. Zdaleka miękkie i zda się ciepłe jak puch, zblizka mroźne jak... serce mężczyzny. A pełno tego w powietrzu, kręci się jak miliardy białych motylków, niezdecydowanych, czy do ziemi przypaść, czy w niebo ulecieć... kręci się w zawrotnym tańcu, podbiega, już już zda się, że osiadzie... Nie! patrz, dalej ucieka, jak kokietka dziewczyna w kotylionowej figurze. Gdy byłam mała, mówiono mi, że śnieg to pióra aniołów, które ze skrzydeł swych strząsają—wyciągnęłam rękę, kilka tych białych płatków spadło mi na dłoń, lecz zamiast piór anielskich ujrzałam po chwili kroplę wody... kroplę, bardzo do łzy podobną. I w brylantach śniegu dojrzałam wiele smutku i niedoli ludzkiej obok promiennych

blasków dyamentów, białości angorowej rotundy i tonów walca, płynących zdaleka.

Pierwszy śnieg! Ten pierwszy, który niesie ze sobą zapowiedź groźnej zimy, szalu karnawałowego, całunów grobowych i tych wspomnień serdecznych, co to ich z serca nie wyrwać, nie wypalić żadnym kamieniem piekielnym... I zieleń wiosenna, i wieczór letni, i szum liści jesiennych i... pierwszy śnieg niosą nam całe mory przeżytych smutków i radości. A głowa wiecznie się za przeszłością obraca i coś tam w tej ciemnicy szuka a szuka, aż łzę gorzką wynajdzie — łzę, co uśmiech zetrze.

Aniołowie srebrnymi skrzydłami szeleszczą, pióra na ziemię lecą i lecą, a ludziom niosą ze sobą trochę uśmiechu, lecz zato dużo łez!, łez!... łez! Sypialnia małej hrabianki.

Półcień dyskretny. Nad łóżkiem kotary różowe, pokryte kremową koronką; dywan er eme w wielkie różowe róże; gotowalnia lśniąca od kryształów i srebrnych przyborów, meble miękkie, kryte różowym pluszem, narzucone kremowemi koronkowemi kwadra

tami. Potworny mops z wykrzywioną mordką przewraca się po dywanie. Hrabina (kładąc szlafrok, podbity białym atłasem, i przewracając gwałtownie na tualecie całą seryę pilniczków). Nie wiem prawdziwie, dlaczego wstałam tak wcześnie; jedenasta godzina — mieć będę oczy czerwone i płeć straci swą przejrzystość. . . I tak dziś nigdzie nie wyjdę, bo nawet wyjechać niepodobna podczas tak brzydkiej pory. Nie pojmuję, po co Bóg urządził te „pory roku...” To dobre dla astronomów i dla tych, co wydają kalendarze; ale co mnie naprzykład po jesieni? Co mnie jesień obchodzić może?

Wchodzi panna służąca i powoli odsuwa zasłony u okien.

Hrabina. Co robisz? Wiesz, że blasku znieść nie mogę.

Panna służąca (do siebie). Spodziewam się... pierwsze zmarszczki!

Hrabina. Co mówisz?

Panna służąca (układnie). Nic, pani hrabino... mówię tylko... o! ten pierwszy śnieg!

Hrabina (biegnąc do okna). Śnieg? mówisz śnieg?... ależ to niepodobna!

Panna służąca (do siebie). Paf! pojechała!. (Głośno). Tak, pani hrabino! padał całą noc. O! jakie wszystko białe...

Hrabina (przerazona). Prawda!... lecz, wielkie nieba! co teraz ze mną będzie?...

Panna ślniąca. Co pani hrabinie się stało?

Hrabina (padając na fotel zupełnie zgnębiona). Nie mam w co się ubrać!!!

Panna służąca. Jaki? a kostyum pluszowy? a dolman wytłaczany? a żakietka angielska? a okrycie z chinchilli? a rotunda z brokartu? a kostyum olwe? a...

Hrabina. To wszystko jest niemożliwe... Teraz noszą szewioty!... potrzebuję szewiotu!... na miłość boską, szewiotu!...

Panna służąca. Może pani hrabina każe zaprzędz i pojedzie do Toiron wybrać sobie jaki paryzki model...

Hrabina. Tak — ale w czymże pojedę? w czym? Nie przypuszczałam nigdy, że ten pierwszy śnieg tak prędko spadnie... Odkładałam z dnia na dzień; ach! jestem biedna! tak biedna, jak ostatnia nędzarka!

Panna służąca (dusząc się ze śmiechu). Pani hrabina ma rację—położenie jest bez wyjścia.

Hrabina (płacząc). Prawda?... ty mnie przynajmniej rozumiesz!

Panna służąca! Wreszcie na coś zdecydować się trzeba. Pani hrabina owinie się w rotundę i pojedzie w karecie. Nikt pani nie dostrzeże.

Hrabina (zrywając się gorączkowo). Masz rację... każe jechać szybko... Przygotuj mi także gęstą ciemną wualkę. Spaliłabym się ze wstydu, gdyby mnie kto tak ubraną zobaczył.

(Panna służąca wychodzi, kopnąwszy ukradkiem mopsa).

Hrabina (sama, ubierając się pośpiesznie). Jestem cała w gorączce. Byleby tylko Toinon miała "demidoff" lub "vieux singe" W innych kolorach trudno się pokazać. Ale ten śnieg! ten śnieg!... Tak niespodzianie... O! mój Boże! ależ to adwent się zbliża! Ksiądz Ewaryst kazał mi odwiedzać moich biednych co tydzień, a ja już pięć tygodni nie byłam u tej biednej wdowy. Ale też jak można mieszkać na takiej ulicy! i w dodatku tak wysoko!... A co za schody!... ostatnim razem zgubiłam obcas!... najwyraźniej obcas!... Trzeba zajechać do nich... Ksiądz Ewaryst gniewać się będzie... No—tak! ależ w rotundzie jechać tam nie mogę. Szewiot! tylko szewiot można nosić podczas pierwszego śniegu... wszystko inne jest „deplace” Ha! trudno — moja biedna wdowa musi poczekać. Nie mogę się kompromitować.

Ciemno było zupełnie, a mała Julka nie myślała wejść do oświetlonej sali; siedzi tuż przy oknie z twarzą przylepioną do szyby i patrzy, patrzy na jasną oponę, co się tak po całym dziedzińcu bieli.

To śnieg, pierwszy śnieg, który pada od wczoraj wieczora i nie rozplywa się w błocie, jeno ziemię niby puchem owija. Koleżanki Julci cieszą się serdecznie z tego białego gościa. Przełożona pozwala im od czasu do czasu wybiedz na dziedziniec i nabrać w ręce tego dobrego śniegu, który, zimny będąc, aż parzy drobne paluszki. I teraz, zebrane wkoło wielkiego stołu, aż śmieją się z uciechy i marzą o dostaniu miążskiego cukru, aby go

pomieszać z czystym śniegiem i zjeść na deser po nędznym pensyjnym obiedzie.

Tylko ta biedna sierotka Julcia nie dzieli ich radości... Siedzi w ciemnym pokoju i myśli Bóg wie o czym... Szkoda, że taka smutna! bo miła to i ładna dziewczynka z oczyma czarnymi, tak czarnymi jak jej żałobna sukienka...

O czym ona jednak może tak myśleć, siedząc przy tem oknie?... Może myśli także, z kąd dostać cukru i pomieszać go ze śniegiem?...

Tymczasem z czarnych oczu Julki płyną wielkie, gorące łzy... Latarnia, płonąca tuż pod oknem, rzuca blask na cały dziedziniec i migoce żółtawym światłem w załzawionych

żrenicach dziecka. Drobna, mała twarzyczka ściera się pod wpływem wielkiej wewnętrznej troski... Myśl dziecka krąży daleko, daleko... koło świeżej mogiły, gdzie spoczywa jej ukochana mateczka. Mogiła ta, nieosłonięta drzewami, naga, czeka na kamień, który krewni położyć przyrzekli. Julcia przymyka oczy i widzi ten grób biedny, a tak dla niej drogi, owiany całą masą śniegu, pokryty tym zimnym całunem...

I usta dziewczynki szepczą cicho, bardzo cicho:

— Mateńko! tobie zimno pod tym śniegiem!... mateńko!...

Widzieliście kiedy dwoje zakochanych?

Widzieć ich musieliście nieraz—ale czyście ich widzieli idących po śniegu, w noc jasną i pogodną, kiedy to anielskie piórka w kobierzec się uścielą i po powietrzu kręcić się przestaną...

Idzie więc dwoje tych młodych... Idą tak cicho, że można przysiądz, iż to duchów para zbiegła na ziemię i, skrzydła zgubiwszy, po ziemi w noc zimową się snuje. Ona tuli się do niego, tuli tak blisko, że prawie stanowią jedno,— a on kroki swe stara się zastosować

do jej drobnych nóg, które szybko migają, okryte wysokimi, ciepłymi bucikami.

Śnieg tylko chrupie pod ich nogami, drzewa wyciągają bezlistne ramiona, snując delikatną koronkę ciemnych, nagich gałązek.

Oni idą ciągle, pochyleni ku sobie, chroniąc się wspólnie od płatków śniegowych, które z podmuchem wiatru kręcą się chwilami w powietrzu...

Delikatnie, z miłosną pieśczęcią on zdejmuje te srebrnawe gwiazdki, czepiające się jej jedwabnych włosów, wijących się nad ciemnymi brwiami. Patrzy przytem na nią z całą potęgą uczucia, tego uczucia, co dwoje ludzi do Boga zbliża i serca im w piersiach zamienia, — a cała biel, otaczająca ich dokoła, zda się być bielą ślubnej komnaty, pełnej uroku i rzewności dziewczęcej.

Brylanty ścielą się im pod stopy, a oni, zapatrzeni w siebie, zdejmują pocałunkami wilgotny śnieg z rzęs i powiek, mówiąc cichym, stłumionym głosem:

— To pierwszy śnieg!... pierwszy śnieg!...

— Nie jestem pomściwa, ale żeby ją... dyabli wzieni...

Zimno nie na żarty, dziedziniec cały białą płachtą pokryty. Nawet studnia ma białą

czapkę, a kareta, której niedbały stangret nie wtoczył do wozowni, wygląda jak w czepcu olbrzymim. Ciasne to podwórko z czterech stron okolone murami, to też śnieg napadał tu chyba na pół łokcia, bo nigdzie to przewiewu nie miał i co kruszynę podleciał, to się

mur znów odbił. I tak Hanka będzie miała dość śniegu do zbierania, ino że to z tem zbieraniem trudno, bo pani każe czyściuchny śnieg przynosić.

A jakże to czyściuchny śnieg ma być, kiedy się to psy i różne bestye po podwórku włóczą? Już się o koniach nie mówi, co ich ciągle do powozów zaprzęgają. A przecież wiadomo, że zwierzę rozumu nie ma, ani względności nijakiej.

Czy bo te psy, koty, konie, wiedzieć mogą że ta pani z pierwszego piętra to co rano w zimie się w śniegu cała myje? Nie, zwierzęta o tem nie wiedzą, bo one o płeć nie dbają... Gdyby wiedziały, toby może zostawiły Hance choć kawałek dziedzińca z czystym, niezabłoconym śniegiem. Hanka musi co wieczór iść zbierać śnieg, aby, przez noc stojąc w pokoju, rozpuścił się i był dla pani dobry do mycia; pani już ma czterdzieści lat, ale jest wdową i chce być długo młodą i świeżą...

Dlatego to Hanka dziś musiała zbiedz w nocy i, włócząc się po wilgotnej ziemi, zbierać rękami śnieg i układać go w wielki, nowiutki szaflik. Hanka kaszle i piersi ją bolą. Dzień cały prała, a ręce ma do krwi pokłute szpilkami, które pani często w spódnicach zostawia, —ale służba przedewszystkiem, a pierwszy śnieg podobno nadaje cerze rumieńce i pozór młodości.

Pies jakiś błąka się po dziedzińcu i szczeka na pochyloną dziewczynę. Od czasu do czasu wskakuje na kupę śniegu i łapami rozrzuca dokoła zebrany przez Piankę śnieg... Ona odpędza go kułakami, a obcierając oczy rękami, unurzaniem w tym pierwszym śniegu, mówi:

— A niechby ją dyabli wzieni tę... Kaszel przerywa jej — i słowa niedokończone zamierają na zsiniałych ustach...

Jest ich sześcioro w dwóch maluchnych pokoikach, z których jeden jest kuchenką. Jeszcze szarawo na dworze, a oni już wstają, wstają cicho, spokojnie, smutno, jak ci, do których dola się nie śmieje. Oj! nie śmieje się ona w tem ciasnem i biednem mieszkanku! Dola to szara, jak pajęczka przedza, a rwie się co chwila i z trudnością namotać się daje.

On jest urzędnikiem, mającym bardzo skromną pensyjke,—ona łąta, gotuje, pierze, szyje i w wolnych chwilach czytać uczy młodszą dziatwę. Starszych dwóch chłopców chodzi do szkoły, ot! krwią im poprostu kupują książki i kajeta. A mimo to jakże ciężko jeszcze dzień do dnia podobnym uczynić! Ot i teraz— w szarawej mgłę poranka stoją wszyscy zasmuceni, zgnębieni. I jest czego! Buty najstarszego chłopca, buty biedne, wykoszlawione, pełne przyszczypek, łąt, zelówek, rozlazły się zupełnie, do szczętu.

Stefcio do szkoły iść musi, musi koniecznie—w czymże pójdzie? tembardziej, że dziś pierwszy śnieg upadł i biało na ziemi—więc o podeszwach z tektury myśleć nawet nie można; cała rodzina tedy stoi, milcząc, koło chłopca, który, połykając łzy, trzyma w ręku swoje nędzne obuwie, tak nędzne jak jego dola, jak przyszłość, która przed nim się ściele.

Nawet najmłodsza dziewczynka, dwuletnia Manusia, stoi zgnębiona, z piąstkami przy oczach, nie pojmując, a przecież nerwowo odczuwając smutek całej rodziny.

Nagle matka porywa się z miejsca.

— Trzeba moją szubę zastawić.

— Twoją szubę?... nigdy! — odpowiada ojciec. — W czym pójdiesz do miasta?

— Mam jeszcze szal, ciepły, o! bardzo ciepły! — woła matka i drżącymi rękami wydobywa z szafy szubę watowaną, okładaną imitacją skunksów, szubę biednej kobiety, która chce mieć rzecz ciepłą i praktyczną zarazem.—Maglarka mówiła mi wczoraj, że da na nią rs. . Pójdę do niej... wolę jak do żyda.

Febrycznie, gorączkowo odpina białe prześcieradło, w które szuba jest zawinięta, i nie patrząc prawie na nią, przerzuca ją przez plecy.

Mąż ze smutkiem spogląda na gotującą się do wyjścia kobietę.
Ta szuba to jedyna pozostałość z całej wyprawy, wyprawy ręką matki
sporządzonej przed laty, gdy wstępowali w życie z wiarą i ufnością
bezmierną...

Dziś i ten ostatni szczątek pójdzie tam, gdzie jest wszystko co cenniejsze,
co więcej wartościowe.

— Przeziębisz się!... — wtrąca nieśmiało, jakby wstydząc się swego
ubóstwa przed tą kobietą, która nigdy nie skarżyła się, pomimo braku i
cierpień wielkich.

Ona odwraca się ode drzwi.

Coś anielskiego bije z jej oczu zapadłych, smutnych, okrążonych siną
obwódka.

— Ja zaziębic się moge — odpowiada z uśmiechem, — ale dziecko iść
bosą nogą po pierwszym śniegu nie może. nie powinno!

I znika za drzwiami, zostawiając męża znekanego pomiędzy gromadką
milczących i smutnych dzieci.

...Ubrali ją ciepło, włożyli nowe buciki, długie, ciepłe, flanelą wysłane i
wyprowadzili na spacer.

Buzia się śmiała tej małej dziewczynce, oczki iskrzyły. Nóżki, spowite w
białe kamaszki, śnieg mocno deptały. Po każdym stąpieniu zostawał na
śniegu ślad maluchnej stopki, zbrojnej w obcasik, maluchnej, a przecież
rasowej, waziuchnej—i tak te ślady ciągnęły się wzdłuż alei" zamiecionej
śniegiem pokrytej jakby pianą cukrową.

Niepodobna było oprzeć się prośbom dzieciny: pierwszy śnieg, spadły na
ziemię, obudził w niej pragnienie wielkie wyjścia do ogrodu, biegania po
tym puchu, który wabił ją, jak świeża, miękka pościółka.

I długo, długo biegało białe ubrane dziecko wśród śniegowej bieli,
błyszcząc tylko puklami złotych włosów i migocąc gwiazdami oczów,
wielkich, błękitnych...

Z okna przyglądała się uśmiechnięta matka i przesyłała całusy swej jedynaczce, kręcącej się jak wielka śniegowa kula wśród zaśnieżonych trawników, jak kwiat mistyczny, wśród śniegu wyrosły.

A przecież ten pierwszy śnieg nie biel weselną, lecz kir żałobny przyniósł ze sobą uśmiechniętej matce. Dziecko umarło, umarło nazajutrz, przyniósłszy z ogrodu tchnienie śmierci w zziębniętych usteczkach!

Rzeczyboby można, że ci aniołowie, którzy tam z góry strząsali ze skrzydeł swe śniegowe pióra, dojrżeli dziecinę i pozazdrościli ziemi tej przeczystej duszyczki. Zabrali jak swoją, zabrali na zawsze... uśpiwszy wprzód na wieczny sen!

I z okna spłakana matka, konając prawie z bólu, patrzy, jak płatki śniegu padają na małą trumienkę, którą z domu wynoszą. Trumienka to biała jak czoło jej martwej dziewczynki!... Śnieg iskrzy się tylko na aksamicie jak srebrna łza...

Jęk bólu rozrywa pierś matki, a śnieg pada wciąż, pada nielitościwy, mroźny, wilgotny, zabójczy...

O! ten śnieg!" ten pierwszy śnieg!...

Gdy byłam mała, mówiono mi, że śnieg to pióra anielskie.

Wyciągnęłam rękę — śnieg się w łzę zamienił. Czyż moją to winą, że więcej łez pada na ziemię, niż uśmiechu? Czyż moją to winą, że poza radością smutek się skrada?

Dlaczego człowiek obraca głowę i w ciemnicy przeszłości szuka... szuka... aż zamiast śmiechu znajdzie dużo łez!.. łez!.. łez!?!..

Z MINIONYCH CHWIL SZKIC.

sam jeden. Wszyscy udali się na kolację i z poblizkich pokoi dolatywały gwary, śmiechy, szcęk kieliszków i zapach dobrej kuchni.

Julian powstał — odsunął taburet i otarł spocone czoło.

Nie śmiał jednak odejść od fortepianu, jakby czując, że tylko kilka tafli posadzki wyznaczono mu do przebywania.

Wyprostował znużone palce, aż trzasły w stawach—i przygasłemi oczyma spojrzął dokoła pustej sali.

Na posadzce, jak na pobojuwisku, walały się strzępki koronek i pęki piór różnobarwnych. Opodal przewróconego taburetu leżał mały karnecik balowy, oprawny w srebro i błyszczący jak gwiazda.

Julian wpatrywał się w ten lśniący punkcik, jak człowiek blizki obłądu. Kąciki ust jego drgały nerwowo, pierś oddychała szybko.

Był to młody jeszcze mężczyzna, liczący najwyżej lat trzydzieści—lecz życiem dziwnie znękany.

Oczy podsiniałe, policzki zapadłe, mówiły nocach nieprzespanych, strawionych przy tej klawiaturze, która, jak zwierzę żądne krwi

ciała żyjącej istoty, wyciągała szereg swych białych klawiszów.

Czternastą noc z rzędu Julian grał do tańca—i rąk już nie czuł i drżał cały z wysilenia.

Lecz cóż począć miał?

W domu zona, Andzia —biedne, niezaradne stworzonko; wszak jej potrzeba dać kąt ciepły, obiad, sukienkę.

Ona sama nie zarobi. Boże miły!.. jakże? Córka urzędnika, wychowana na pensyi, nie jest stworzona na zwykłą robotnicę. Dosyć, jeśli mu pantofelek do zegarka wyszyje, lub sobie kapę na łóżko szydełkiem zrobi.

On jej tego nie ma za złe! O! Broń Boże!.. on ją kocha bardzo, bardzo—i chętnie grałby jeszcze dwadzieścia nocy, tylko dziś mu jakoś dziwnie nie idzie, palce się płaczą, ręce w łokciach mdleją, a przed oczyma tysiące światel miga...

A głowa!.. głowa cała rozpalona jak węgiel i pragnienie go dręczy.

Wyciągnął powoli rękę.

Ze stojącej w kątku palmy liście, jak wielkie wachlarze, zwieszały się nad jego głową.

Julian kawałek liścia urwał i, włożywszy w usta, żuć począł.

Sprawiło mu to ulgę, chłodziło spieczoną wargi.

Gwar w sali jadalnej wzrastał się ciągle.

Pito właśnie zdrowie „pięknych dam” — damy ze śmiechem dziękowały.

Julian niespokojnie spojrział ku drzwiom.

Czy w tym domu niema zwyczaju podawać grajkowi coś do jedzenia?

Nie dla niego—o, nie! on sam głodny nie jest... ale... to... dla niej, dla Andzi!

Ona tam czeka z pewnością na kawałki tortu lub na mandarynkę, którą on jej codziennie nad ranem w kieszeni zniszczonego fraka przynosi. Siada wówczas na łóżku, od snu cała ciepła, różowa i, wyciągając kształtne rączęta, pyta:

— A co było na kolację?

Zajada przytem tort, lub skubie pomarańczkę, nie otwierając prawie zaspanych ocząt—a on, zdejmując drżącymi od wycień

czenia rękami balowe ubranie, odpowiada na jej pytanie.

I jakże często kłamać on musi!

Czyż może przyznać się swej Andzi, że „wynajęty grajek” rzadko kiedy siada do pańskiego stołu i wie, co „jest na kolację?”

Najczęściej przynoszą mu do salonu i stawiają na fortepianie zimne resztki, złożone na jeden talerz— okruchy ciast i mały kieliszeczek wina. Czasem lokaj nie doda noża i widelca, uważając te narzędzia cywilizacji za niewłaściwe—czasem krem lub lody topią się w podlewie sarny lub zająca...

Czasem nie przynoszą nic prócz szklanki herbaty i suchych ciasteczek...

Lecz Julian tego swej Andzi opowiedzieć nie może.

Wszakże ona z trudnością zgodziła się na „wynajmowanie się” Juliana podczas karnawału. Częścią duma, częścią zazdrość była tu głównym czynnikiem.

— Będiesz grał do tańca, jak jaki katarzyniarz—mówiła, wydymając usteczka.

On jej tłumaczył, że to nie jest uchybienie, bo wielu jego kolegów z konserwatorium czyni to samo.

Mówił — a przecież głos mu drżał i czuł, że ciężko mu będzie talent swej skaczącej zgrai dać na wysługi.

Lecz nędza była za progiem—a lekcyj coraz ubywało, bo nawet dzieci po kinderbalach przesypiały ranki, nie chcąc zasiadać do fortepianu.

Więc unikając wzroku żony, czyści swej ślubny frak benzyną i ogląda zżółkły od leżenia krawat.

Ona znów czepia się jego ramienia, zachmurzona, zmarszczona...

— Tak! idziesz tam, żeby się do pan umizgać! a! ja wiem... ja przeczuwam, co to będzie!..

Bo zwyczajem żon biedna Andzia sądzi, że jej wychudły, kaszlący, biedny Julek musi zachwycać nawet „damy”—i nawzajem je uwielbiać.

A tymczasem te „damy” śmieją się i bawią ochoczo, potrząsając ufryzowanymi główkami, rozmarzone winem i walcem, który im jeszcze brzmi w uszach, — nie myśląc nawet, że w opustoszałej sali został człowiek, z pod którego wychudłych palców melodia tego walca płynęła...

I człowiek ten stoi z pochyloną głową, obłany cały potokami światła, patrząc szklanymi oczyma w przestrzeń.

Cała tragedia balu, znużenia, poniżenia, a nawet głodu, bije z tej wynędzniałej postaci, czerniącej się jakby jakaś mara, czarnym całunem wytartego fraka okryta, wśród jasności, rozlanej w pustej sali balowej. Wreszcie wynajęty lokaj otrzymał z rąk panny Pelagii, zarządzającej domem państwa Józefostwa, mały talerzyk, na którym obok pożarskiego kotleta złożono kawałek prowanckiego tortu i ośnieżoną w cukrze pomarańczkę...

— Zanieś temu... tam!

I wskazała drzwi salonu. Lokaj kierował się już ku sali, gdy panna Pelasia zawołała go.

— Masz! daj mu to jeszcze!

I dołożyła strzelający cukierek, owinięty w różową bibułkę i złotą bordiurkę.

— Musi mu się jeść chcieć —wyrzekła, kiwając dobrotliwie głową. Panna Pelasia bowiem miała dobre serce i lubiła jeść dobrze a dużo. Lokaj nieznacznie wzruszył ramionami. Jemu się tam jeść nie chciało, bo sumiennie podzielił się „kanapkami," a samego kawioru zjadł pół talerza.

Po drodze jednak ściągnął z talerzyka pomarańczkę i ukrył w kieszeni od fraka.

Wszedłszy do salonu, postawił talerzyk na fortepianie i, nie mówiąc ani słowa, pełen godności, począł lampy poprawiać i taburety ustawiać.

Julian spojrzął na talerzyk. Zobaczył kawałek tortu i cukierek. Uspokoił się więc chwilowo.

Mała tyranka bowiem nie przebaczała mu nigdy, jeżeli wrócił z próżnymi rękami. Dąsała się dzień cały — ba! czasem mówić nie chciała...

Zdawało się jej, że on o niej zapomniał wśród balowej wrzawy, lub—co gorsza—myślał o innej kobiecie.

— Pewnie strzelałeś oczami po tych wygorsowanych kobietkach! O! nie przecz... bawiłeś się pewnie wesoło, szczególnie podczas kolacyi!

Mój Boże!

Gdyby ona wiedziała!

Julian zbliżył się teraz do talerzyka. Czuł, że przełknąć coś powinien, bo siły go opuszczają, a noc jeszcze przed nim długa... nieskończona...

Spróbował zjeść kotlet, ale zimna ta siekanina, powalana tortem, wydała mu się

w tej chwili poprostu wstrętą. Z najwyższym wysileniem przełknął zaledwie kawalek.

Teraz szło mu głównie o ukrycie tortu i cukierka; papier miał zawsze na ten cel w kieszeni przygotowany.

Sama Andzia pilnowała, aby czysty arkusz papieru znajdował się w kieszeni od fraka.

— Dla Andzi, na tort—mówiła z przymi leniem.

W swem ubogiem pojęciu przypuszczała, że żaden bal bez... tortu się nie obejdzie.

Julian obejrzał się po sali i spotkał się z zuchwałym spojrzeniem lokaja, ustawiającego krzesła.

Najęty fagas — rumiany, tegi, dobrze odżywiony, z dziwną ironią spoglądał na wychudłego grajka.

I stali tak naprzeciw siebie ci dwaj „wolni najemni,” opłacani za noce, wynajmowani do zabawy drugich.

Jeden oddawał swej talent, iskrę bożą przytłumiał w siekaninie walca lub polki — zamierał poprostu od zmierzchu do świtu, oblany cały zimnym potem, z duszą zamarłą, płaczącą się wśród powodzi tonów, — drugi wynajmował swe barczyste plecy, wyniosłą postawę, bezczelną arogancję i siłę fizyczną, brutalną, zwierzęcą, pełną chęci rzucenia się

między wirujące pary i zgniecienia ich w zuchwałym ruchu potężnego ramienia.

Patrzyli chwilę na siebie—i Julian zazdrościł tamtemu jego barów szerokich i zdrowia, tryskającego z czerstwej twarzy.

— Gdybym ja miał te siły — pomyślał,— mógłbym grać jeszcze ze dwa tygodnie z rzędu... Andzia miałaby wiosenne okrycie i mieszkanie byłoby zapłacone.

Lecz tok myśli urwał się nagle w jego schorzałej głowie...

I — Co ja jej dziś opowiem? — myślał da

lej — co na tę kolację wymyśleć?.. Kotlety.. I wiem, lecz co dalej?.. co dalej?..

Rękę do czoła podniósł. I — Co dalej?—prawie głośno zawołał.

Fagas ze zdziwieniem podniósł głowę.

— A no nic — odparł, zabierając się ku K wyjściu;—co mi dali, tom przyniósł. Jest tam

jeszcze majonez i sarnina, ale to... dla państwa...

I powłócząc nogami, wyszedł. Julian spojrzął za nim oczami, które co chwila stawały się więcej szklane.

— Majonez... kotlety... sarnina... — szepnął machinalnie — dobrze, że wiem, bylebym nie zapomniał... tak mi się w głowie myśli dziwnie płaczą...

Usiadł machinalnie na taburecie przy fortepianie.

Odetchnął głęboko.

Był teraz dziwnie blady, a skronie mu płonęły.

— Dziwne! dziwne!..—mówił sam do siebie—co mi jest?.. co mi jest?... mój Boże!..

Lecz nagle porwał się z miejsca.

Tort!

Zapomniał o torcie.

Szybko wyjął papier i włożył weń białą, topiącą się masę. Cukierek schował osobno. Tort przykrył swym wytartym cylindrem i zajął napowrót swe miejsce.

Siedział tak nieruchomy długą chwilę.

Nagle drgnął, bo krzyk przenikliwy rozległ się na progu sali:

— Mazura!

I z pod wychudłych palców Juliana rozległ się huczny mazur, a na sale wbiegło całe grono dam i mężczyzn, szeleszcząc trenami, flirtując, śmiejąc się, roztaczając dokoła tumany pudru i woń nicejskich fiołków. Zaczęto tańczyć wesoło, ochoczo.

Pary skręcały się, rozwijały, splatały razem; pióra na głowach tancerek podnosiły się jak skrzydła motyle.

Zapach, dobywający się ze staników brunetek lub włosów blondynek, unosił się w powietrzu...

Teraz mazur przeszedł w walca i znów wszystko zawirowało w zmysłowym upojeniu.

Był to walc hiszpański, o kastanietach czarnych oczach szepczący...

Julian grał go z gorączkowym wysiłkiem, przymykając oczy, kurcząc od czasu do czasu nerwowo swe wychudłe ramiona.

tak! — ten walc hiszpański on sam ze swej duszy wyśpiewał—jeszcze przed laty, gdy marzył o życiu niezależnym, wśród harmonii, sławy, swobody...

Lecz ta melodia przez niego ukochana, wypieszczona, z tchnieniem miłości powstała, służyć miała teraz kilkunastu parom do kręcenia się w takt, jak lalkom w katarynce!

i nagle dwie wielkie łzy błysnęły z pod spuszczonej powiek grajka i zsunęły się po wybladłych policzkach.

Melodya walca cichnąć i zamierać poczęła.

Do fortepianu podbiegł młodzieniec, „wodzirejem” nazwany.

— Panie! krzyknął — pan zasypiasz!... wesoło, panie! wesoło!

Łzy stoczyły się z twarzy grajka i padły na białą klawiaturę.

— Dobrze, panie!.. wesoło!—powtórzył Julian z dziwną goryczą i w ostatniem wysileniu począł grać na nowo...

Pary zaczęły kręcić się jak szalone...

Gdy Julian wszedł do sypialnego pokoju, dzień już był zupełny.

Szare zimowe światło napełniało mały pokoik, zastawiony skromnemi sprzętami; w głowach łóżek świeciły święte obrazki, oprawne w złocone ramki; komoda, pokryta siatkową serwetą, zastawiona była masą porcelanowych gracików.

W kąciku toaletka, na której duża puszka z pudrem, słoik z goldcremem i flaszeczka wody kolońskiej.

Na oknie doniczki liliowych hyacyntów i kanarek, smutny, osowiały...

Julian z trudnością dostał się do domu. Drżał cały i był okryty zimnym potem.

Gdy drzwi otwierał, doznał chwilowego olśnienia.

Zdawało mu się, że upadnie.

Wszedł jednak i teraz stanął przy łóżku żony, trzymając się jedną ręką krawędzi.

Drugą ręką wydobywał z kieszeni fraka tort, cukierek i jakiś order kotylionowy, znaleziony w przedpokoju.

Andzia już nie spała.

Różowa, biała, z jasnymi włosami, potarganemi nad czołem, siadła na łóżku, zapinając ramiączko od koszuli.

Przełknęła kilka razy ślinę i skrzywiła się jak małe dziecko, które ze snu budzą.

— Co było na kolację? — zapytała, nie otwierając oczów.

Lecz Julian nie odpowiadał.

Pobladł jak trup i zacisnął zsiniałe usta. W piersiach i głowie uczył jakby wielką próżnię—z pod nóg usuwała mu się podłoga.

— Tort! — zawołała Andzia, wyciągając rękę.

Paczka z tortem wypadła z ręki Juliana na kołdrę.

Andzia instynktownie schwyciła ją i macać poczęła.

Na twarzy jej pojawiły się dołki zadowolenia.

— Dobrze...— wyszeptała—ale co było na kola...

Dokończyć nie mogła.

U stóp jej łóżka Julian runął nagle na ziemię, zimny, siny, cały skąpany w blasku zimowego ranka.

Włosy zlepione potem przylegały do skroni, która miała zielonawe odcienia, rozkładającym się trupom właściwe.

Na odgłos upadającego ciała porwała się z łóżka Andzia i otworzyła oczy. Z ręki wypadł jej kawałek białego tortu, a ona przerażona wpatrywała się w zemdłego męża, którego twarz miała nieruchomość marmurowej bryły.

_Julek! Julek!—wyszeptała wreszcie—to

ty się tak tam dobrze bawisz, że aż pijany powracasz do domu?..

Wstawaj!... wstawaj!.. ty... birbancie!

Lecz on leżał wciąż nieruchomy i tylko z pod nawpół przymkniętych powiek lśniły się jego szklane oczy—bez ruchu przed siebie wpatrzone...

„A mnie dalej miejsce zrób.
Tylko niezbyt znów daleko;
Dziecko mi do serca daj—
Niech nas jedno kryje wieko...
(Faust.—Scena wiezienna).

Więc znów stajesz prze demną z twem wiecznym pytaniem na ustach. W białym welonie pytałaś mnie o... „niego” — dziś życie i „on” sam zaspokoili twą ciekawość— a teraz, oblana promieniem przyszłego macierzyństwa, różowa jak zorza poranna, rzucasz mi święte i wielkie zagadnienie, bo prosisz, aby ci powiedzieć coś o... „niem” — o tym małym sfinksie, który zjawi się nagle w jasnym świetle majowego ranka, jak pierwiosnek z pod śniegu rozkwitły.

I kwiatek ten wiosenny, zrodzony wśród tchnień wielkiej, przezczystej miłości, od aniołów pożyczony promieni, jakie w jego oczętach zadrgają—i uśmiech, jaki zbierzesz z ustek jego, targnie ci w sercu strunę najświętszego uczucia, jakie w piersi kobiety siedlisko ma swoje.

Łzy ci nabiegną do oczów, gdy posłyszysz pierwszy płacz dziecka — łzy radości, przywiązania i wielkiej dumy, że ty życie tworzyć możesz... życie ludzkie!

I łzy te zbliża cię do Boga—bo choć „ono” od Niego duszę wzięło, tyś dała mu ciało, w które duszę Bóg przejął. Wielka to i... święta pycha. Gdy „ono” do ciebie wyciągnie swe małe rączęta—śpiesz, chwyć je w objęcia... w rączętach tych masz skarby, ukojenie bólu i tęsknoty, ucieczkę przed pokusą, pociechę po „jego” zdradzie, zajęcie godzin beczynnych. U kołyski szukaj pociechy, gdy serce twe w ranę się przemieni; u kołyski mów pacierz twej wieczorny, gdy szary welon cieniem ziemię owija! Kołyska—to twej ołtarz, „ono” uosobieniem najwyższej w świecie potęgi, w „niem” mieści się zagadka kobiecego istnienia...

Wielka i święta to istota... kobieta—matka! Czy sala balowa, kładąc ci na czoło koronę królowej, da ci ten urok, jaki bije z twej postaci... gdy pochylona wsłuchujesz się w oddech twego śpiącego dziecka? Powiedz, czy szelest twej białej jedwabnej szaty, wlokącej za sobą szmer zdziwionych twą urodą mężczyzn, wyrówna rozkoszy jednej, jedynej chwili?..

Patrz!... „ono” wyciąga do ciebie rączęta! Słuchaj! mówi jedno tylko słowo:

— „Mamo!”

Jakże szorstko, boleśnie brzmi wobec tego srebrzystego dźwięku brutalny szept zakochanego w tobie mężczyzny, który rad oderwałby cię od kołyski i zawiódł na bezdroże... po to, abyś już do niej powrócić nie mogła... nie mogła!

I są emy takie nieszczęśliwe, które odlatują w noc ciemną, nie słysząc słowa „mamo,” co jak skarga bolesna jęczy za niemi w oddali!

Potem émy te konają w bólu i tęsknocie, bo niema łzy więcej gorzkiej, jak łza, co matce za dzieckiem oko przepala!

Mówiłam już dawniej, że często „on” w swej pysznej niestałości od ciebie odbiega, a choć złączony obrączką napozór zostaje — to dusza jego, serce, wszystko od ciebie daleko! daleko!

Kochasz twego męża!... ach! tak—prawda; lecz w tonie twego listu ja czytam pomiędzy liniami, że „on” zaczyna już od ciebie odbiegać... a ty błąkasz się, tłumiąc w sobie cierpienie.

I oto zaczyna się zawód dla ciebie, jasnowłosa marzycielko, która drżąca, z oczyma

wzniesionemi, słuchałaś jak upajającej melodyi „jego” ślubnej przysięgi!... I oto przed tobą staje cały szereg długich dni samotnych, wieczorów jesiennych nieskończonych, w których tylko plusk deszczu towarzyszyć będzie tęsknocie twojej, szereg nocy bezsennych, czarnych pomimo

błękitnego światła twej jednak płonącej lampy. I patrz, nieszczęśliwa... przed tobą—po drugiej stronie kominka—fotel próżny wyciąga swe ramiona, a ty przez łzy spoglądasz na tę próżnię i w sercu czujesz ból piekący... To „on” odszedł od ciebie, gardząc twą przeczystą, nieskalaną miłością — to „on,” odsuwając twe świeże, uśmiechnięte usta, biega po świecie, szukając innej rozrywki...

Płaczesz... mówiąc, że Bóg jest bezlitosny w swym gniewie — i jasnemi, miękkimi jak jedwab splotami ścierasz łzy, zalewające promienne oczęta...

To pustka pod tobą serce ci rozdziera? mówisz o „śmierci” — biedna opuszczona? Ty mówisz o zgonie, ty, która stoisz na progu życia i powinnaś być tak szczęśliwą?...

I nagle przed tobą robi się jasność wielka—patrz! otrzyj łzy... w pustce tej ciemnej majaczy jakieś światelko... najprzód bladawe stopniowo nabierające coraz większej światłości.

Nie jesteś już sama!... Przed tobą, na pustym fotelu, porusza się maluchna jasnowłosa istotka; niebieskie pantofelki leżą na dywanie, pantofelki wytarte, z białymi plamkami na noskach; duża piłka toczy się, rzucona swawolną rączką; woskowa lalka topi się przed płonącym ogniem kominka...

Dwoje błyszczących oczów śmieje się do ciebie z pod gęstych, rozrzuconych kędziorów, srebrny głos woła jedno, jedyne słowo: — „Mamo! mamo!”

Łzy oschły na twych oczach, uśmiech twarz ci rozjaśnia, serce boleć przestaje—tak wielkie napętnia je uczucie serdeczne.

I jasno teraz w tej ponurej przed chwilą pustce — jasno, ciepło, wesoło...

Bo Bóg ten "niesprawiedliwy" wynagrodził cię jak król za cierpienia twoje... i srebrnopióry anioł przyniósł ci pociechę, która uśmiech na blade twe wargi wywołać musi—powinna!

Ta pociecha—to... ono „ono!”

I „ono” zabiera cię teraz na wyłączną właność tyran to, egoista, samolub bezwzględny. „Mama” do niego należy — „mama” niem tylko istnieje, mówi, żyje, oddycha.

Do... „mamy” nikomu zbliżyć się nie wolno, „mama” ma zaledwie wolność wzroku, ale i to podlega jeszcze silnej kontroli.

O! słodki to despotyzm! rozkoszna to tyrania, która od pokus świata strzeże i kobietę od upadku chroni!...

I przeczysta ta istota, ten półanioł a półczłowiek, to „ono — zjawiające się ze swym promiennym uśmiechem w wspaniałej sypialni magnatki, czy w ciemnej izdebce nędzarki — ma także w sobie moc wielką! niezrównaną. Zmazuje błędy i przewinienia, modląc się do nielitościwych ludzi — do surowego świata... prosząc o przebaczenie dla Małgorzaty, opuszczonej przez Fausta... dla Hagary, dla Leili — dla tylu, tylu innych kobiet, które, tonąc w przepaści, macierzyństwem niemal odkupione zostały! „Ono”—to anioł przebaczenia, odpoczynku, miłości...

„Ono”—to anioł, gołąb spokoju, zjawiający się nagle wśród ciemnej, rozpacznej nocy!

„Ono”—to jutrzienka odrodzenia!

„Ono”—to symbol świętości kobiety!

I bardzo, bardzo często istota obłąkana, odepchnięta przez wszystkich, która jedynie śmiech rozpusty słyszała dokoła — kona, słysząc głos swego dziecka...

Na tej twarzy zwiędniętej, jak kwiat pod upalnym słońcem—na tych ustach, spalonych żarem bezsenności, zjawła się wielki, przeczysty majestat. Jakieś niewysłowione szczęście, rzewne uczucie, miłość do wszelkich

poświęceń zdolna, opromienia rysy nieszczęśliwej. I miłość ta pozostaje na stygnącej twarzy i trup matki zimny, nieruchomy, zda się jeszcze wsłuchiwać w głos płaczącej dzieciny—trup, przeistoczony nagle... szacunku się domagający...

„Ono” zostaje wprawdzie rzucone na pastwę losu, nędzy i niedoli; tuła się wśród obojętnych, nie mając gdzie swej drobnej główki złożyć; często zamiera z głodu i zimna, często wyrasta z niego zbrodniarz; lecz w pierwszej chwili swego istnienia „ono,” jak brzask porannej jutrzemki, kładzie promień czystości na czoło matki, śpiącej pod zimną mogiłą.

Twoje „ono” nie będzie miało takiej smutnej doli. Wesołe, uśmiechnięte, szczebiotać będzie od rana do nocy, wiecznie zaplątane w fałdy twej sukni. I ciągle, bezustannie pytać cię o wszystko będzie.

Zważ dobrze odpowiedzi swoje! Nie rzucaj ich bezmyślnie. Często bajka, z ust matki o szarej godzinie zasłyszana, kieruje życiem dziecka; wspomnienie pacierza, na kolanach twych zmówionego, ocalić czasem może od moralnej zguby córkę twą, w wir świata rzuconą!

Nie szczędź dziecku pieszczot—nie odsuwaj jego wiecznie zbrukanych rączek pod pozorem splamienia kosztownej sukni; „ono”—to mimoza, byle co je uraża, chłodzi, odsuwa. Ura

żone, nie powraca więcej, kryjąc smutek w głębi swej małej istotki. Jest jak kwiat zwrotnikowy, obracający się za słońcem! Słońce—to miłość twoja... nie skąp więc swych promieni. A miłość macierzyńska to tak wielka potęga! to otchłań pobłażania, pociechy, pomocy, najwyższego piękna! Wszak „Stabat Mater” — to szczyt muzycznego natchnienia! „Ave Maria” — to najpiękniejszy śpiew Szuberta!.. Promienie

macierzyńskiej miłości biją z sykstyńskiej Madonny i świat cały przed nią na kolana pada.

Miłość matki—to ideał!

I przed tym ideałem kona uśmiech sceptyka, wobec łkającej matki nad trumną dziecka milknie śmiech rozpusty i czoła się ku ziemi chylą—i jęk matki potrafi oddalić śmierć od łóża syna i wrócić życie w stygnące piersi córki...

Powiedz więc teraz ty, któraś o śmierci mówiła przed chwilą — czy możesz nazwać się nieszczęśliwą, mając taką nic złotą w przedzy swego życia? Pochyl się nad kołyską, w której spać będzie „ono” — a troska twa zniknie, świat cały rajem ci się wyda!

Lecz ty wspominasz mi, że — narzeczoną jeszcze będąc, widziałaś przez okienko sutereny obraz, który wpił się w twą duszę i teraz ciągle przed tobą majaczy.

Mówisz, że nad ubogą kołyską, w której śmiało się „ono,” schylało się dwoje ludzi, obejmując się miłosnym uściskiem. Odeszłaś spłoniona cała i drżąca, lecz w głębi duszy uniosłaś odbicie tego jasnego obrazu.

Tak! tam było ich „dwoje,” śledzących uśmiech dziecka, dwoje ich opromieniał wyraz dumy i radości, we „dwoje” snuli plany i marzenia, których celem było „ono!” Nie trać nadziei! rozpogódź czoło. „Ono,” mówiłam ci to potęga wielka, „ono” ma władzę cudowną...

Naucz twego syna wołać głośno: „tata!” — a kto wie, może „ono” ci „jego” powróci!

SAM JEDEN.

NOWELA.

„Ach! najszczęśliwsi na świecie nie wiedzą, Gdzie duchy skrzydła na ramiona kładną.”

Służący podniósł storę i smuga jasnego światła wpłynęła do pokoju. Lecz światło to pochwycone i niejako wessane zostało w ciemność, zalegającą mieszkanie. Ciemno tu było dokoła—ciemne tapety zdobiły ściany, ciemne draperyę portyer zwieszały się żałobnie z czarnych strzał, ozdobionych oksydowanemi kólkami, ciemne ramy okalały przygasłe zwierciadła, a niemal czarny plusz okrywał fotele i otomany.

Wszędzie cień, dokoła cień!... W ponurych kątach czerniały jakieś masy, stare meble, biurka o dziwnych kształtach, etażerki w formie lir o połamanych trzciniowych strunach. Na ścianach rozpinały się gobeliny o ciemnych barwach, zniszczone, z pie

tnem wielkiej starości na szarem ciele kobiet, które gdzieniegdzie wysuwały się z pośród czarnych plam, mających przedstawiać krzaki.

Ponad drzwiami umieszczono kilka zczerniałych płócien, bardzo cennych zapewne, ale niezmiernie tajemniczych co do przedmiotów, jakie przedstawiać miały.

Było to królestwo ciemności, jakaś trupia alkowa, grób za życia, kaplica cmentarna...

Wesoły promień słońca wpadł tam nagle, jak gwizdzący ulicznik na próg domu, z którego wynoszą właśnie trumnę. Promień zatrzymał się

zalekniiony i nieśmiały, pokornie rozłożył się na ciemnym dywanie, pokrywającym posadzkę. Do zczerniałych przedmiotów zbliżyć się nie śmiał. W pokoju nie było nikogo. Cisza solenna zapanowała po wyjściu służącego, którego ciemnej barwy liberya nie różniła się od ogólnego, przeważającego tonu.

Po chwili przecież otworzyły się drzwi, prowadzące do dalszych pokoi, i siwowłosy starzec ukazał się na progu.

Stał chwilę nieruchomy, mrużąc oczy, jakby rażony tą odrobiną światła, która się przez szyby przedzierała.

Powoli przecież postąpił naprzód. Był to wysoki, atletycznej niemal budowy mężczyzna.

Miał w sobie to „coś,” które imponuje tłumom.

Wysoki wzrost pozwalał mu patrzeć na wszystkich z góry.

Znać w tem było pewną egzagerację wielkiego pana, który życie swe całe patrzył z pogardą na motłoch, uwijający się u stóp jego.

Małe siwe oczy miały w sobie wyraz dziwnie ostry, przejmujący— błyskały jak ostrze sztyletu.

Nos krogulczy, usta wąskie, zaciśnięte, wyrażały opuszczeniem kącików bezmierne lekceważenie całego świata.

Czaszka, zaledwie pokryta siwymi włosami, miała uparty rysunek, ludziom silnej woli właściwy.

Ręce, pokurczone reumatyzmem i pokryte guzami, były małe i silnie rasowe, tak jak i nogi wsunięte w ciepłe, futrem wybite pantofle.

Słowem był to człowiek, od którego biła zdaleka rasa, arystokratyczne pochodzenie, dobre urodzenie. Tego piętna nic już odebrać nie może.

Przebiję się zawsze i wszędzie.

Był to... wielki pan.

Wielki pan, może zrujnowany moralnie, fizycznie i materyalnie, ale „pańskość” istniała w dumnym podniesieniu głowy, w zmru

żeniu oczów, w podaniu oszpeconej reumatyzmem ręki.
Powoli przesunął się po pokoju i usiadł opodal okna na wielkim, ciemną skórą obitym fotelu.
Promień słońca osłonił małe, kształtne nogi starca, obute w czarne, ciepłe pończochy, i wsunął się w puszysty włos miękkiego futerka, wyściełającego pantofle.
Starzec pochylił głowę na piersi i zamyślił się głęboko.
Cała twarz, pokryta siecią zmarszczek, występowała teraz w świetle i, wykazując piękność rysów, świadczyła zarazem o burzliwej przeszłości, jaką bezwątpienia ten starzec przejść musiał.
Bolesna bruzda przecinała mu czoło.
Nic dziwnego.
Był sam!
Sam jeden, ostatni z rodu, ostatni po śmierci syna, którego zabalsamowane zwłoki złożył przed pięciu laty do grobu.
Zabił niemal syna, którego dziś żałował, wypędzając z domu i skazując na poniewierkę pomiędzy ludźmi.
Zbrodnią, jaką mu miał do zarzucenia, było potajemne zaślubienie biednej lecz uczciwej panienci. Gdy chłopiec, nieprzyzwyczajony i nienauczony żadnej pracy, służył za ekono

ma lat kilka, nie dowiadywał się nigdy, co robi jedyne jego dziecko.
— Skanaliował się!—odpowiadał, gdy go pytano o syna.

Lecz gdy młody człowiek umarł na suchoty płucne, zwalczony pracą i niedostatkiem, kazał balsamować ciało i włożyć w wspaniałą srebrną trumnę. Herby po czterech rogach świeciły zdaleka, a szklane wieko dozwalało widzieć wynędzniałą, piękną twarz młodzieńca, któremu nęcza zamknęła oczy na wieczny sen. Ojciec tymczasem, niezmiernie correct w żałobnym stroju, łamał ręce, powtarzając:

— Wygaśł ród!

I płakał jak Zamoyski—nie syna, lecz króla.

W starcu tym była dziwna mieszanina złego i dobrego. Chwilami miał jakieś dziecięce porywy, zajmował się światem i przerażał nowym, zdrowszym prądem, który bil od młodszego pokolenia. On jeszcze podawał dwa palce lub całą rękę ludziom, dzieląc ich na ile lub dobrze urodzonych.

Z dziwną ciekawością przyglądał się ludziom pracy, otwierając szeroko bezzębne usta; nie uniział się wszelako nigdy przed wyższymi od siebie, dla tej przyczyny, że nie uznawał niczyjej wyższości.

Każdemu mówił „panien—akcentując tylko ten wyraz w sobie właściwy sposób.

Nie kochał nic i nikogo, prócz siebie samego i swego nazwiska. Zonę pojął dla posagu i hrabiowskiej mitry, ale traktował ją jak niewolnicę swych kaprysów i namiętności.

Odetchnęła dopiero przy skonie.

Wielkie jego majątki topniały mu w rękach, płynąc jak i życie jego— na marne!

Sumy cale ulatniały się, nie pozostawiając po sobie śladu.

On nie rachował nigdy—dziwił się tylko, gdy skrytka w biurku okazała się pusta.

Mruczał tylko i wydawał rozporządzenie, aby las wyciąć, lub jedne z wiosek sprzedać.

W jedne tylko potęgę wierzył ten człowiek—w potęgę pieniędzy.

Sądził, że pieniędzmi wszystko opłacić i okupić można. Każdy żal, każdy zawód serdeczny miał, wedle niego, swą cenę.

Nawet życie ludzkie chciał kupić i dziwił się, że go nabyć nie można. Gdy mu dano znać o śmiertelnej chorobie syna, posłał znaczną sumę pieniężną z lakonicznym rozporządzeniem:

— Za te pieniądze wyleczyć go! Chcę tego.

Więcej nic.

Według niego, było to dostateczne do wiania życia w kostniejące już ciało.

Gdy otrzymał telegram, donoszący mu o zgonie syna, pierwsze jego słowa były:

— Chyba nie otrzymali pieniędzy!

Nie on był winien wszakże tej strasznej niemoralności pojęć,— wychowanie spaczone, wychowanie magnackiego dziecka, samowolnego, gwałtownego, pełnego dumy i nieukróconego zuchwalstwa, było tu głównym czynnikiem, popychającym go do tworzenia przez całe życie czynów napozór potwornych, przerażających samolubstwem, a według jego pojęć — zupełnie nienaganych.

Gdy w przystępie szału odgryzł leśnicze mu ucho za spłoszenie zwierzyny, do której celował, wynagrodził go przecież, dając mu chatę i grunt, a nawet niezłą sumę na zagospodarowanie.

Leśniczy dziękował jasnemu panu i w zasadzie zdawał się nawet zadowolony.

Dziś jednak pan się nudził.

Oczekiwał wizyty doktora, któremu płacił dukatami w złocie i zanudzał opowiadaniem swych dolegliwości.

Nie miał nawet sprzętu jakiegokolwiek, do którego by się przywiązał. Żadnej pamiątki do przejrzenia, żadnego listu do przeczytania, listu, którego zżółkłe kartki nosiłyby ślady łez lub pocałunków gorących.

Nic! nic!

Nawet psa wiernego, ciągnącego nogi ze starości, grzejącego się w tej ważkiej strudze światła, które majowe słońko do tej ciemnicy wlewało. Z ulicy przez szczelnie zamknięte okno wdzierał się gwar tysiąca głosów, pomieszanych w ciepłe wiosennem razem z całym chórem zapachów wonnych, dobywających się ze świeżej zieleni.

Od łąk, od pól niósł wiatr całe fale ciepłych zapachów, całą gamę aromatycznych ziół, począwszy od kluczyków, aż do macierzanki. I kłęby tej woni owijały wysokie szczyty domów, wpadały do otwartych okien, poza którymi widać było jasne ściany mieszkań i ożywione, uśmiechnięte twarze dzieci, śmiejących się w świetle majowem.

Pan hrabia nudził się piekielnie.

Miał umysł zmienny i wrażliwy.

Opłakał już wygaśnięcie rodu, pragnął jakiegoś innego zajęcia.

Obejrzał się rozpaczliwie po pokoju. Ciemno i smutno było dokoła.

Zaczął się przyglądać gobelinom, ale wprędce odwrócił oczy.

Te szare kobiety nużyły go—zresztą przygląda! się im od lat tyłu.

Zapragnął czegoś żywego, czegoś, coby się poruszać mogło i ruchem tym zajmować go choć przez chwilę.

Znużone jego oczy zaczęły szukać bodaj jakiej muszki, pajęczka...

Ale wszystko dokoła niego było czyste, okurzone, lśniące od porządku jak nowa trumna.

Starzec poprawił się niecierpliwie.

Stanowczo nudzi się zanadto — musi sobie wynaleźć jaką rozrywkę, przed przybyciem lekarza, który przyjedzie za godzinę, może za półtorej. Nagle, tuż przed samem oknem, ozwały się tony jakiejś dziwacznej piszczałki i brzęk małych dzwoneczków.

Hrabia powoli podniósł się i stanął przy oknie.

Z wysokości pierwszopiętrowej dostrzegł łatwo, co się na ulicy dzieje. Pośród zgrai uliczników szedł środkiem ulicy mały chłopczyk, odziany w jaskrawe łachmany. Grał na małej piszczałce i od czasu do czasu wstrząsał główką, przyozdobioną w rodzaj metalowej korony, poobwieszanej dzwoneczkami. Na prawym ramieniu chłopca siedziała małpa, brzydka, ruda, z wytartą sierścią, niemal łysym łbem, przystrojona w czerwoną kaszmirową sukienkę.

Małpa ta wzbudzała entuzjazm w tłumie, otaczającym chłopczykę. Cała gromada dzieci biegła za nią, wykrzykując radośnie. Ona zaś siedziała na ramieniu swego pana z miną wielkiej damy, przyjmującej obojętnie należne jej hołdy.

Tylko chwilami z jakąś dziwną inteligencją spoglądała na małego chłopca, który, nie przestając grać na piszczałce, zwracał na małpę swe wielkie czarne oczy, w których przebijał się smutek i tęsknota iście sieroca.

Twarzyczka chłopca zachwycała na pierwszy rzut oka. Śniada, o rysach drobnych, okolona gęstwiną czarnych włosów, ożywiona wielkimi czarnymi oczyma, była typem twarzyczek, zrodzonych w południowej Francji, gdzie gorące tchnienie Włoch i Hiszpanii miesza się z krwią galijską. Chłopak miał na sobie ponsową kurtkę, zrobioną z tegoż materiału co sukienka małpy, a na nogach sandały. Szedł rażno pośród otaczającego go tłumy, potrząsając głową, strojną w dzwoneczki, uderzając w małe tamburino i... spoglądając ciągle na małpkę.

Pomiędzy tym dwojgiem istot, wyrzuconych na bruk obcy, istniało jakieś porozumienie, sympatya, nieledwie miłość.

Te dwie pary oczu spotykały się ze sobą co chwila i obie zdawały się wzajemnie przesyłać sobie zachętę, cień nadziei i zapewnienie wzajemnego uczucia.

I cóż dziwnego! Przyniósł ją z tak daleka, ciągle uczepioną jego ramienia, ciągle skrzeczącą mu nad uchem i patrzącą łzawymi oczyma w twarz jego. Kochał ją—tę biedną, pomarszczoną istotkę, która mu przypominała wspaniałe góry jego i słońce południa, oblewające go codziennie potokami światła i woni.

Kochał ją, bo ona była tym ostatnim węzłem, jaki wiązał go z ojczyzną, z tą słoneczną ojczyzną, gdzie włoska canzonetta tańczy i drga w powietrzu, łącząc się z hiszpańską serenadą.

Matka mu dała ją, kupiwszy od przechodzącego przez wieś człowieka, który nadto wiozł z sobą dwa uczone psy i kilka świstaków, śpiących na dnie koszyka.

— Tiens! v'la ta fortunę! — mówiła stara, podając mu małpę.

A chłopak porwał inteligentne stworzonko i śmiał się z radości, że to własność jego.

I pokochało się bardzo tych dwoje istot, jednako wesołych, jednako słońca potrzebujących; a nawet później, gdy chciwa matka pchnęła w świat syna, oddając go przedsiębiorcy razem z wytresowaną już małpą, ko

chali się jeszcze więcej, jeszcze silniej, złączyła ich wspólna niedola, smutkiem i tęsknotą za włoską canzoną, drgającą w słonecznych promieniach południa.

Gdy było zimno, w krajach, przez które gnała ich chciwość przedsiębiorcy, chłopak zdejmował kurtkę i otulał małpę, drżącą od mrozu, iskrzącego się w powietrzu. Początkowo małpa i chłopiec chcieli chwycić te migotliwe brylanty, które słały im się pod nogi, ale wyciągnięte łapki opadały, zmrożone lodowatym tchnieniem zimy. Przytuleni więc do siebie, szli cicho i smutno coraz dalej, rozgrzewając się na dziedzińcach, gdzie małpka przewracała koziołki, sztywniejąc w powietrzu jak kawałek drzewa, a chłopak tańczył rodzaj taranteli i bolera, drepcząc po śniegu odmrożonemi i poranionemi nogami. Potem chwyłali się znów w objęcia i szli dalej przez zaśnieżone ulice, otoczeni tłumem zmarzniętych wyrostków, dopóki nastający zmrok nie zapędził ich do wspólnej nory, służącej im za rodzaj pomieszkania.

I tam jeszcze nie rozłączyło się ich dwoje. Chłopak siedział, grzejąc się przy piecu, a na ramieniu jego uczepiona siedziała małpa, gryząc stare skórki chleba i zaglądnąc figlarnie raz po raz w oczy chłopcu. On oddawał jej część pożywienia, dzieląc się z nią każdą lepszą

kruszyną, kładąc jej drobne kawałki cukru w pociesznie wykrzywioną mordeczkę.

Dla dziecka tego to brzydkie, kosmate stworzenie, ohydnie pomarszczone, miało urok wielki, bo mu niosło wspomnienie rodzinnego kraju, lat wolności, śmiechu, słońca i woni kwiatów.

Więc kochał ją, kochał Toto swą Ninę, tuląc ją do piersi z tęsknotą najwyższą; a gdy wszystko ucichło i czarne oczy chłopca senne powieki pokryły, widać było u wezłowia nędznego posłania skurczoną, maluchną postać małpki, czuwającej nad snem dziecka z jakąś macierzyńską pieczołowitością.

I ona go kochała, tak jak zwierzęta tylko kochać umieją. Pod stopy mu się kładła, figlując, gdy smutny był i znękany; długimi rękami wydzierła sierść ze łba w przystępie rozpaczy, gdy nic chmury z czoła chłopca rozegnać nie mogło.

Miała w sobie wiele z kochanki, która własną wielkość poniża i drobną, nędzną się czyni, aby uśmiech na usta koniecznie wywołać.

Toto brał ją wtedy na ręce i całował długo jej sierść rudą i wytartą. Rzec można, iż koił w tym pocałunku bezbrzeżną tęsknotę, jaka mu duszę rwała na strzępki i łzy do oczu cisnęła. Poczem wychodzili razem przy

odgłosie dzwonekówdreptać po śniegu,.. a chłopiec wołał przenikliwym głosem: — Chariti! chariti! mou beau monsieur! Hrabia, stojąc przy oknie, otworzył szeroko bezzębne usta.

Małpa wyprawiała tak ucieszne skoki, że aż wielki pan w swej próżniaczej nudzie uczuł się ożywionym. Pokurczone palce wpił w ciemnobrązowy wałek, leżący na oknie, i podniósł się, aby lepiej zobaczyć wesołe zwierzątko.

Tłum dzieciaków, otaczających Tota, tworzył rodzaj amfiteatru; klaskano, śmiano się i bawiono. Czarne kędziory chłopca rozsypywały się dokoła jego śniadej twarzyczki ożywionej w tej chwili rumieńcem. To wiosenne słońko rumieniec ten wywołało. Dziecko wciągało ciepłe powietrze całymi pierściami, koszulka ponsowa na zapadłej piersi wznosiła się przyśpieszonym tempem. Drobne nóżki, obute w podarte sandały, deptały żółkłe gałązki mchu, wyrzuconego przed chwilą przez okno; oczy błyszczały weselej, pogodniej jakoś.

I Nina dziś była weselsza, a grymasy jej i skoki rzeczywiście zdawały się wypływać z dobrego jej wewnętrznego usposobienia. Łysego czoła nie przecinały zmarszczki, a ruchy pełne zaniedbania miały w sobie jakąś

radość dziecinną, coś zapożyczonego ze słońca, z wiosny, z radosnych głosów, drgających w powietrzu.

Hrabia uśmiechnął się w dziwnym skrzywieniu. Małpa zaczęła go interesować potrosze. Jej figle i skoki przejmowały go podziwem.

Kiedyniekiedy mrucał: „kanalia!” i otwierał potem coraz szerzej usta.

Radby przyjrzał się jej bliżej.

Co tam było pod jej skórą, że łamała się tak dziwnie, jakby kości nie miała?.. I zapragnął nagle dotknąć się tego brzydkiego stworzenia, spojrzeć mu lepiej w mordkę pomarszczoną, mieć je tuż przy sobie, zwinięte w kłębek na ciemnym tle dywanu. Byłaby to rozrywka, zanim doktor nadejdzie. To coś żyjące i drgające koło niego rozweseliłoby go choć na chwil kilka.

Przywołany służący wprowadził do salonu dziecko wraz z małpą.

Toto trzymał się u progu, jakby przerażony ciemnym wnętrzem żałobnej komnaty. Nina, uczepiona u jego ramienia, spochmurniała nagle. Jej ponsowa sukienka krwawą plamą zaświeciła na ciemnym tle portyery.

Hrabia postąpił kilka kroków i wyciągnął rękę. Małpa cofnęła się i wyszczerzyła żółte zęby.

Hrabia był zachwycony. Ta kanalia nie lubi go widocznie, ale on sobie z nią poradzi.

Toto chmurny i nieufny spoglądał na przymilanie się tego starca do swej ulubienicy

Nie pomogły cukierki. Nina wciąż siedziała na ramieniu chłopca, zanurzywszy swą kosmatą łapkę w jego kędzierzawą czuprynę.

Hrabia zniecierpliwiał się wreszcie. Gdyby mała pozostała z nim sama, udobruchałby ją z pewnością. zaproponował więc chłopcu znaczną sumę, aby mu pozostawił Ninę na małą godzinę.

Toto zawahał się—po chwili wszakże nadzieja sutego zysku przemogła. Wszak Nina pozostanie w dobrych rękach, a za te pieniądze kupi dla niej i dla siebie dużo... owsianego cukru.

Toto lubił cukier owsiany a nie jadł go już tak dawno! Nina lubiła także bardzo ten przysmaczek.

Hrabia wsypał w dłoń chłopca garstkę srebrnej monety. Toto odpiął łańcuszek, ucałował małpę i posadził ją na ziemi.

— Res tey petiote, j reviens d'suite — tłumaczył zaniepokojonemu zwierzątku i pobrzękiwał wesoło pieniędzmi.

Za chwilę ponsowa koszulka i kędzierzawa główka chłopca zniknęły za portyera.

Hrabia pozostał sam z Niną.

Czas jakiś przypatrywał się jej, jakby obawiając się, czy żółte zęby zwierzęcia nie dotkną się jego skóry, — powoli przecież się ośmielił i począł jej końcem buta podsuwać porzuconą na dywanie poduszkę. Nina oparła się na czterech łapach i, wpatrzona uważnie w oczy hrabiego, zdawała się chcieć wy badać, jakie ten człowiek ma względem niej zamiary. Długo tak siedziała nieruchoma, jak brzydki potwór z brązu, a tylko pulsowanie żył na czole dawało do poznania, iż żyje i rozmyśla. Nagle jednym susem rzuciła się ku poduszce—spadła na sam środek i szybko wywróciła z ręcznego młynka, migając przytem ponsową spódniczką.

Hrabia zachwycony aż przysiadł na ziemi, dusząc się w napadzie astmatycznego kaszlu, przerywanego śmiechem.

Wgłębi, przez uchylone drzwi, służący przyglądał się tej rozrywce swego chlebowdawcy z jakimś wpół litośnym, wpół drwiącym uśmiechem.

I bardzo szybko ten bezmyślny starzec i to sprytne zwierzę porozumieli się z sobą.

Nina, poczuwszy dobry grunt pod stopami, rozwinęła cały zasób zręczności i szalonymi skokami wprowadzała w entuzjazm hrabiego. Szybko, jak wiewiórka, czepiała

się portyer, spadała zwiniętym kłębkim na fotele, czerniała brudną plamą na szarem cieple gobelinowych kobiet, brzęczała, kólkami oksydowanych łańcuchów. Wszędzie jej było pełno, a w półmroku, zalegającym pokój, błyskały tylko jej wyszczerzone zęby. Te fałdy aksamitne podobały się jej bardzo — owijała się niemi, wysuwając swą kosmatą mordkę, a rzez'by ram zwierciadlanych służyły jej za szczeble drabiny. Z niezmierną łatwością umiała obracać się wśród przepychu i komfortu, w którym znalazła się po raz pierwszy.

Miała w sobie coś z natury pięknej kobiety.

ją wziąć z nędzy i wprowadzić na dywanami wysłane pokoje, a patrz!.. stąpa po nich tak, jakby nigdy nie chodziła bosą nogą.

Hrabia, przyczajony na środku pokoju, śledził każdy ruch małpy z gorączkową ciekawością. Dawno nie czuł się tak „zaanimowanym.” To rude, małe stworzonko, migające przed oczyma z szaloną szybkością, imponowało mu zwinnością dziką... jemu, pokurczonemu starcowi, który z wielkim wysiłkiem mógł podnieść się z klęczek, lub schylić do ziemi. Na rozkaz pana służący przyniósł cukru i bakalij.

Nina, kołysząc się na poręczy fotela, z wielką kokieteryą chwyciła kosmatą łąpką podawane jej przysmaki, zaciskając przytem silnie pazurki. Hrabia pił tymczasem kieliszek starego tokaju, który wzmacniał jego siły i stanowił rodzaj jedyne go lekarstwa. Bo też to był stary, prawdziwy tokaj, ten, co z ciemnobrunatnymi swemi kroplami, jak ogniem rozplomienionymi i jak cukier słodkimi, żar wżyły przelewa. Zastygła krew starca wskutek tego żaru krążyć żywiej poczynała,—ale mimo to hrabia do kieliszka swego mieszał wino lżejsze, obawiając się zbyt silnej dozy wzmacniającego napoju.

Nina powoli podsunęła się ku hrabiemu. Z najwyższą ciekawością patrzyła na omszałe butelki, na gałki z surowego mięsa podane na talerzu, na srebrne widelce i maszynkę z zapalonym spirytusem do przypiekania mięsa. Obeszła dokoła zastawiony stolik i szybko wskoczyła na stojące obok krzesło, poczem bardzo zręcznie sięgnęła po cieniuchny kieliszek, napełniony do połowy dopiero tokajem, i, podtrzymując go obiema łąpkami' zaczęła wolno wysączać ciemny płyn, rozlewając go po swej szkarłatnej sukience.

Hrabia nie posiadał się z radości.

Nina w jego oczach urosła do rzędu istot nadzwyczajnych, Jakto? więc ona pije? pije sama, jak człowiek, i, choć się wstrząsa chwilami, ale wysącza swej kieliszek do dna? Nina tymczasem z brzękiem rzuciła pusty kieliszek na ziemię—wypiła wino i domagała się więcej... Hrabia podsunął jej szybko szklanke, w którą nalał tokaju. Słabe łąpki nie mogły utrzymać ciężkiej szklanki. Pan dopomagał zwierzęciu, ciesząc się już naprzód z wybornego widoku, jaki przedstawi mu Nina pijana, Nina nieprzytomna.

I zwierzę piło, a pan się bawił. Spirytus w maszynce wygasł, wino z butelki zniknęło. Nina piła ciągle, już teraz opuściwszy łąpki i położywszy się prawie na fotelu; hrabia śmiał się, powtarzając:

— Kanalia! Kanalia!

Nagle zwierzę wyprostowało się, potem skurczyło konwulsyjnie, oczy zaszyły bielmem, a wyciągnięte łapki zeszywniały w powietrzu. Jakiś przyciszony jęk wydarł się z piersi małpy, a przerywane dreszcze wstrząsnęły całym ciałem.

Hrabia upuścił szklanekę i przerażony wpatrzył się w sztywniejące zwierzę. Resztką tokaju spłynęła po ciemnym dywanie.

— Panie doktorze! proszę do pacyenta!

Hrabia odsunął portyereę i z wyniosłą grzecznością wielkiego pana wpuścił do swej sypialni siwowłosego lekarza.

Ten ostatni przybył na zwykłą codzienną wizytę i zdziwiony śpieszył za hrabią, pragnąc nieść pomoc i poradę jakiejś tajemniczej istocie, ukrytej za kotarą wspaniałego łóża, przystrojonego hrabiowską koroną.

Na ciemnobronzowej jedwabnej kołdrze bieląła jakaś drobna, skurczona masa, drgająca konwulsyjnie i wydająca chrapliwe, stłumione jęki.

Ruda sierść zwierzęcia zlewała się w jeden ton z ciemną barwą kołdry i trudno byłoby lekarzowi odróżnić cokolwiek, gdyby nie ten jęk przenikliwy i bielmem zaszyły oczy które łyskały od czasu do czasu białością oczów trupa.

— Oto pacjent! — przemówił hrabia, wskazując na pokurczoną Ninę — wypięła za dużo tokaju i chora, trzeba ją wyleczyć!

Mówił „trzeba ją wyleczyć!” a w palcach ścisnął codziennego dukata, którego zawsze nosił w kieszonce od kamizelki.

Ale lekarz porwał się nagle od łóżka, nad którym się nachylił.

— Małpa?.. ja mam leczyć małpę? i po to mnie pan tu wprowadziłeś? — wołał drżącym z oburzenia głosem, a wysoka postać jego

stawała się jeszcze większą, jeszcze wspanialszą.
Postąpił ku drzwiom wyniośle, majestatycznie, piorunując hrabiego
wzgardliwym spojrzeniem.
— Zapłacę!— zabrzmiało z ust zdumionego magnata i złoty dukat
zabłyśnął w zgrubiałych od reumatyzmu palcach.
Lekarz nie odrzekł ani słowa.
Szybko podniósł portyere i zniknął za drzwiami.
Po chwili słychać było turkot odjeżdżającej karety.
Hrabia pozostał sam z jęczącą Niną.
Wesoła zabawka niewesoło się kończyła.
Małpa zdychała w ciężkich męczarniach, oblana pianą, bezprzytomna.
Zamiast uciesznych skoków miał hrabia przed oczyma widok męczącego
się zwierzęcia.
Stanął przed łóżkiem i, skrzywiwszy się nerwowo wpatrzył się w
śmiertelne drgania biednej Niny.
Nagle przyszedł mu na myśl Toto.
Co zrobi z tym chłopcem, gdy nadejdzie? gdy zacznie się domagać swej
małpki, którą tu zostawił zdrową, wesołą?...
— Bah! zapłacę!
Ale jakieś zwątpienie go ogarnęło nagle.

Pamiętał dobrze wzgardliwe spojrzenie doktora — nie za wszystko
przecież zapłacić można.
Dzwonek zadźwięczał w przedpokoju.
To Toto powraca—Toto, obładowany cukrem owsianym, migdałami
smażonami, a nawet czekoladą w tabliczkach.

Uśmiechnięty, zaróżowiony od tej swobodnej przechadzki po mieście, trzyma w jednej ręce swą koronę z dzwonkami, a w drugiej dźwiga kilka paczek, zawiniętych w ciemny papier.

Dawno już nie był tak szczęśliwym, tak swobodnym, wesołym.

Nina mieć będzie wielką niespodziankę — spożyje dziś tyle słodczy, ile sama zechce.

Toto jej odda wszystko, wszystko — dla siebie nie zostawi nic — niech ona sama mu wydzieli kilka migdałków, Toto się na wszystko zgodzi.

Ale gdzież ona jest? służący gestami dał mu poznać, że małpa i ten wysoki dobry starzec są w sypialni.

Wchodzi więc tam szybko, cały skąpany w świeżym wiosennym powietrzu i, wyciągając ręce, woła swym srebrnym, dziecięcym głosem: — Nina! Ninetta!

W cieniu firanek porusza się coś niespokojnie.

To zdychające zwierzę posłyszało wołanie swego właściciela i z wysiłkiem szalonym rozprostowuje pokurczone członki, otwiera szeroko paszczę, a oczy przeblaskują przytomniej—kosmate łapki wyciągają się w stronę Tota; poznała go! pragnie podnieść się ze swego jedwabnego posłania. Staje na czterech łapach—nagle pada, zwijając się w kłębek, bezsilna, drżąca, nawpół martwa.

Chłopak stał przez chwilę nieruchomy, wpatrzony szeroko rozwartymi oczami w swe ukochane zwierzę, i nagle rzuca się do łóżka— a upadłszy na klęczki, chwyta Ninę w swe ręce. Korona z dzwonkami toczy się z brzękiem po dywanie—paczki ze stukiem padają, a przez rozdarty papier wysypują się zawarte w nich łakocie.

Toto nic nie słyszy oprócz jęku swej Niny, nic nie widzi oprócz niej samej, konwulsjami zmęczonej, bezsilnej, pianą okrytej.

Pocałunkami okrywa te biedne, wynędzniałe członki istotki, która była połową jego samego, wszystkim, co go z przeszłością łączyło.

Strumienie łez płyną mu z oczów — urywane słowa wydzierają się na usta. Nina z wysiłkiem otwiera oczy.

W spojrzeniu tem mieści się prośba o ratunek, smutek jakiś wielki — ten łzawy smutek, który mieści się w oku zdychającego zwierzęcia i zdradzonej kobiety.

Toto na wzrok ten odpowiada szalonym krzykiem — on instynktownie poczuł, że to „pożegnanie,” że za chwilę nawet rozpaczy nie wyczyta w oczach swej Niny—że do swej ciemnej nory powróci... sam jeden.

— Nina! Ninetta!—jęczał wśród łez — quo qui tu fais? r'viens a te!... per me! per me!...

Wśród ciszy tej pańskiej sypialni dziwnie rozlegał się ten głos, pełen tak wielkiej, serdecznej boleści.

W cieniu tych firanek nie płakał nikt łzami tak gorącemi, —nigdy tu serce nie wołało: per me! per me!

Stojący opodal hrabia przechylił głowę i patrzył w milczeniu na chłopca. Rozpacz Tota poruszyła mu w głębi duszy jakąś strunę ukrytą.

Więc on naprawdę kochał to biedne zwierzę, skoro płakał tak rzewnymi łzami?

Hrabia chciał wmówić w siebie, że to boleść udana.

I z małej kasetki wyjął garść pomiętych banknotów, a zbliżywszy się do chłopca, zaczął mu wciskać pieniądze na piersi poza odchyłoną koszulkę.

Lecz Toto porwał się jak pod dotknięciem rozpalonego żelaza..

— Faut pas!... faut pas!... — i szybkim ruchem odrzucał precz pomięte banknoty, a chwytając konwulsyjnie sztywniejącą już małpę, powtarzał znów straszonym, przenikającym serce jękiem:

— Per me!... Nina!... per me!...

Hrabia stanął zdumiony.

Ten obdarty żebrak odrzucał tyle pieniędzy?

Włóczęga bezdomny nie chciał przyjąć wynagrodzenia królewskiego za to nędzne, brzydkie zwierzę?

I na dnie tej ślimaczej zaskorupiałej duszy zaczęło powoli poruszać się coś — pukać — drzeć nawet.

Hrabia przycisnął dłoń do piersi.

Każdy krzyk chłopca sprawiał mu dziwne, niepojęte wstrząśnienie, jego łzami zalane oczy budziły w nim wspomnienia oczów syna, gdy z rozpaczą tarzał mu się u nóg błagając o litość, o trochę miłości.

Lód otaczający go dokoła zaczął go ziębić nagle—uczucie serdeczne Tota było promieniem słonecznym, za którym hrabia począł bezwiednie tęsknić — zazdrościć Ninie tych łez, tej boleści, jaką po sobie zostawia.

Działo się to w nim wszystko bezwiednie, lecz czuł, że ogarnia go nieznane mu wzruszenie, pragnienie, aby przy jego zgonie klęczał tak ktoś przy łóżku i wołał:

— Per mi! —Per me!

Tymczasem Nina powoli przestawała oddychać.

Żółte zęby zacięła, jakby w wielkim gniewie, a łapkę jedną zanurzywszy w gęstwinę włosów Tota, pozostawiła już tak sztywniejącą, zimną.

Pazurki zaplątały się w jedwabiste kędziory dziecka i trup zwierzęcia odłączyć się nie chciał od swego ukochania,—ten biedny, zimny trupek, z wyrazem wielkiej boleści w zastygłych już źrenicach.

Toto własnym oddechem, pragnął jeszcze ożywić martwe zwierzę—pocałunkami okrywa mordkę, cukier i migdały do zaciętych zębów przykłada...

I nagle, jak szalony, rzuca się ku hrabiemu, a podnosząc w górę martwą pokurczoną Ninę, pada u stóp jego, wołając przerywanym od łkania głosem:

— Brigand!.. bri. gand!

Hrabia cofnął się aż przed tym krzykiem, który rozległ się z zuchwałością tak straszną pod cichem sklepieniem jego sypialni. Czarne oczy chłopca cisnęły nań tak wielką wzgardą

i nienawiścią, że przeląkł się dumny pan tego obdartego włóczęgi i zdumiał nad wielką głębią uczucia, do jakiego serce tego dziecka zdolne być musi.

I nagle zapragnął miód dla siebie wyłącznie to serce, zdolne kochać i nienawidzić tak bardzo — zapragnął na stare lata mieć ciągle tuż przy sobie te wielkie ciemne oczy, tryskające życiem i duma, — zapragnął krzykiem tym ożywić swe serce i ciszę grobową, otaczającą go dokoła. I jakimś nieśmiałym, urywanym głosem proponuje chłopcu pozostanie na zawsze, pozostanie przy nim aż do śmierci. Co mu to szkodzi? mieć będzie, co zapragnie, a w zamian da mu tylko obecność swą słoneczną, uśmiech dziecinny i... serca troche. Ale Toto potrząsa głową, — Non! non! —wola energicznie, powstając z klęczek i tuląc trupa Niny do swej piersi — j'veux point! t'as joue avec ma bete.. la v'la morte!... j'y mourrai par te aussi!

I jak szalony wybiegł z sypialni, depcząc rozrzucone banknoty, unosząc ze sobą tylko martwe zwierzę i ponsową sukienkę, oblaną całą strumieniem tokaju.

Hrabia pozostał... sam jeden.

Stał teraz na środku sypialni, pogrążony w myślach, ze schyloną na piersi głową.

Więc nie wszystko na świecie kupić można? nie za wszystko zapłacić pieniędzmi?

To nędzne zwierzę, które nikomu grosza nie dało, oblano łzami, uśpiono pocałunkami... A on? a on?...

Nikt nie zapłaci w chwili jego skonu nikt nie zawoła: per me! per me! Zejdzie do grobu... sam jeden! Sam jeden!...

W SAM CZAS!
DROBNOSTKA.

„Czarne atłasy, białe koronki,
Jedwabne słówka, westchnienia płocze,
Uśmiechy, żądze i pocałunki,—
Gdyby wam serca choć trochę!"
(Heine.—Harz.)

.....a hrabia niezmordowanie bawił ciągle damy. Letni poranek w całym swym blasku wpadał przez otwarte okna do przepelnionej sali i całował czoła zmęczonych tancerek, śpiących mam, grających w karty mężów i łysiejące skronie przeżytych młodzieńców. Piknik był przepyszny i zdaniem hrabiny Misi udał się „zadziwiająco." Wszystkiemu bowiem dziwiła się ta mała hrabianka o turkusowych oczkach i płowych, rzadkich włosach. Tak samo „zadziwił" ją

spowiednik, gdy udzielał rozgrzeszenie za jej eleganckie a zmysłowe grzeszki,—jak i ten piknik, urządzony na zakończenie letniego karnawału po „kursach,” które odbyły się w sposób „zadziwiający...” Któs podobno nogę złamał —ale

czyż o tórn warto mówić wobec tak świetnych tryumfów, jakie odniósł „ColdCream,” ten zachwycający koń, jeżdżony przez pięknego Gillerta!

Damy na trybunach gorąco się zajmowały błękitną kurtką Gillerta i jego jasnymi, wypłowiałymi oczyma... Gdy po zwycięztwie zeszły z trybun, aby być świadkami rozkosznej operacji wiania butelki szampana w gardło konia, otoczyły dzokieja zwartem kołem. Pod tym dachem chińskich parasolek zapadł wyrok, że Gillert jest tris bien, prawie tak bien, jak hrabia Karol lub ten mały Wero. Wysoka, płaska i chuda umitrowana sportsmenka dowodziła gorąco, że dzokiej ten ma dziwnie impertynencki sposób patrzenia i zapewne dla tej przyczyny przysuwała się doń bardzo, bardzo blisko. Gillert tymczasem, przyzwyczajony do pobijania koni na torze, a kobiet na trybunach, z pewną wyniosłą obojętnością obnosił swą twarz pięknego chłopca, znudzonego zbyt łatwemi podbojami.

Wobec więc kościstych ramion pięknego Gillerta bladł fakt złamania nogi. Zresztą nie był to nikt "z towarzystwa"— un inconnu, ktoś „z miasta." Towarzystwo zatem nie poniosło żadnego szwanku; kursą były cudowne, ani jeden „protest" nie dał się słyszeć po wzięciu mety, pogoda dopisała, toalety dam

kosztowały sumy bająnskie. Dzisiejszy piknik był zakończeniem tych dni wesołych, wśród których wszyscy chodzili jakby upojeni .. i piknik nie zawiódł—był zachwycający.

I nigdy chyba banalne obicia ścian w sali hotelu Mignona nie słyszały banalniej szych rozmów i nie chłoneły takiej mocy prawdziwych Yiangów Attkinsona i fiołków Pinauda. Nigdy chyba szare od kurzu (pomimo starannego czyszczenia) klosze świateł gazowych nie nosiły odbić tylu brylantów, jak dnia tego, purpurowych refleksów, rubinowych lub zielonych szmaragdowych świateł. Cały highlife dał sobie rendezvous w tych salonach. Dzisiejszej nocy rozwiązywały się ciche romansiki, a zawiązywały nowe; meżatki odbierały lub oddawały karteczki maluchne, drobno skreślone, pośpiesznie, na rogu toalety, pomiędzy słoikami cremesimonu; panienki rumieniać się, przyrzekały wyżytym epouser'am swe drobne rączki, ozłocene posagami. I cały ten swiatek kobiecy z dziwną gorączką rzucał się w objęcia meżczyzn, goniać za nazwą żony lub kochanki, jakby gnany jakąś niewytłumaczoną potrzebą pętania swych skrzydeł wieczną niewolą. Z szelestem jedwabnych sukien osuwały się do stóp meżkich te wonne, delikatne istoty i, na wzór starożytnych niewolnic, schylały kornie głowy, przeznaczono

ne do noszenia królewskich dyademów. Pod obcisłymi stanikami, strojnemi w całe pęki strusich piór, biły serca, łaknące tyranii meżczyzny — tego despotyzmu, który, pomimo narzekań wiecznych, jest dla kobiet tem samem, czem batyst dla ich ciała, lub złoto dla ich różowych uszek. Hrabia Dezydery rozumiał to dobrze. Uśmiechał się tylko dobrotliwie, siedząc pomiędzy najpiękniejszymi, najbardziej ożywionemi. Suknie ich prawie zakrywają go do połowy, pióra ich wysokich fryzur dotykają jego wybladłej i pomarszczonej twarzy, drżące ręce zaciskają się nerwowo koło jego dłoni, gdy jakaś miłosna przykrość te serduszka ukole—on jednak

siedzi ciągle uśmiechnięty w tej istnej powodzi koronek i miłostek kobiecych, pełen pobjazania dla błędów, chętny do pośredniczenia pomiędzy powaśnionymi, tonący poprostu w fali pudru i szeptów zwykłej małżeńskiej niewiary. Jest to jego zwykła atmosfera—w niej oddycha, żyje, istnieje. Wyrwany z koła tych upudrowanych twarzyczek, wydatnych biustów, ciepłych ramion, przestaje być sobą, tym „kochanym hrabią,” bez którego Misia nie może wykapać swego pinczera, ani zerwać romansu z baronem.

Rudowłosa Betty, ta markiza francuzka, zaślubiona cherlawemu książątku, przez ręce

hrabiego rozdaje jałmużny i miłosne karteczki,—a paniElla, zastawiając swe brylanty, radzi się „nieocenionego przyjaciela” co do wysokości procentu i daty wykupu. Słowem hrabia jest elegancką bonbonierką, dyskretną, aksamitem krytą, w którą damy te wrzucają, jak w studnię, tajemnice swych sypialni, ilość długów, niewinne romansiki, sekreta toaletowe i daty urodzenia dzieci. Hrabia Dezydery przyjmuje te wszystkie wiadomości, radzi, zachęca, pociesza, uspokaja. Wykwintną francuzczyznę koi dotkliwe cierpienia i obstałowuje pudła kosmetyków; cały przesiąknięty wonią perfum i kobiet, biega niezmordowany od jednej do drugiej, zawsze chętny do usług, gotów do słuchania zwierzeń, z paczką nowin i sposobów uśmierzania rozdrażnionych nerwów i... wyrzutów sumienia.

Siwiejące włosy swe umie nosić z godnością, nigdy w tej lubieżnej atmosferze dystyngowanych miłostek nie zapomina się, najpiękniejsze oczy nie budzą w nim uśpionych zmysłów. Abdykował na rzecz innych i umiał to zrobić w sam czas. Wogóle główną cechą charakteru hrabiego jest ten punkt, na którym zatrzymać się każe mu takt i rozsądek. Mało ludzi umie w sam czas ustąpić. Całymi siłami trzymają się swych stanowisk, sądząc, że tą rozpaczliwą walką wygrają w oczach

ludzkich. Hrabia, słynny ze swego szczęścia do kobiet, umiał w sam czas usunąć się na miejsce skromnego powiernika i bezinteresowanego wielbiciela. Zyskiwał w ten sposób wiele: zamiast twarzy Satyra, wnosił w grono kobiet dobroduszną twarz eleganckiego spowiednika, któremu pluszem okryty fotel za konfesyonał służył.

I te kobiety, które w przeciwnym razie uciekałyby od rozpustnej twarzy starca, same biegały do niego, prosząc o dobrotliwy uśmiech, o przyjacielskie uściśnienie dłoni.

Hrabia Dezydery był podobno bardzo bogatym. Prowadził ciągle grand tram i wyjeżdża! bardzo często za granicę. Mieszkanie jego było prawdziwym muzeum, gdzie starożytne zbroje walczyły o lepsze z gerydonami z prawdziwej chińskiej Iaki, a ciemne barwy starych gobelinów odbijały dziwnie od białego ciała kobiet Makarta. W sypialni stała czarna, lśniąca, ogniotrwała kasa, otwierająca się na słowo „Lili.” Imię to hrabia wymawiał z rozrzewnieniem pewnym. Przypominało mu bowiem młode, jasnowłose dziewczę, które spojrzało nań pewnego majowego ranka z poza snopów kwiatów, jakie na targ niosła. Hrabia, piękny, młody wówczas chłopiec, pobiegł za tem zjawiskiem, wśród bzu i jaśminu ujrzą

nem, i postarał się, aby jaśmin i bzy ustąpiły mu miejsca tuż przy twarzyczce dziewczyny.

Historia była dalej „stara,” jak mówi Heine; młoda Elżbietka, a raczej Liii, jak ją przezwiał jej kochanek, umiłowała całą duszą pięknego chłopca, uciekła od matki i —żyła tylko w nim i dla niego.

Hrabia otoczył ją dostatkiem i starał się przyzwyczaić ją do poudre d'Iris i gorsetu, ale Liii łzami zmywała puder, a gorset darła w kawałki, poczem padała na kolana i prosiła hrabiego, aby jej dał kawałek prostego mydła i zwykłej wody źródlanej.

Pieszczochowi salonów trudno było się nagiąć do prostackich żądań zdrowej dziewczyny, ale czynił co mógł, aby nie stracić tego jasnowłosego dziewczęcia, którego czerstwa, uczciwa, nie wyrachowana miłość sprawiała mu rozkosz prawdziwą.

To też cierpiał niemało dnia tego, gdy w salonie jego zjawił się młody, niezgrabny chłopak, świeżo wyzwolony czeladnik szewcki, ubrany w długi odświętny surdut, w krochmalny biały krawat, i drżącym głosem prosił go „o rękę panny Elżbiety, jako pana opiekuna...”

Hrabia ze zwykłym sobie taktem, w sam czas się opamiętał, dał przyzwolenie, nie py

tając nawet Liii, kiedy, jak i gdzie poznała się ze swym nowym kochankiem, i odtąd co lat kilka podawał do chrztu maleńkie stworzonko, bardzo do papy szewca podobne.

Sklep na pryncypalnej ulicy, wytwornie urządzony, był ślubnym podarkiem ze strony hrabiego, a jasnowłosa Lili, błyszcząc twarzą, skapaną świeżo w źródlanej wodzie, uśmiechała się poza stosem buczków do... swego opiekuna.

I hrabia rozpoczął znów życie salonowego DonŻuana, zwiedzając buduary lub alkowy, obite błękitną materyą. W każdej z tych wędrówek zostawiał trochę swej siły, młodości i nierzadko sporą wiązkę szeleszczących banknotów. W zamian góry bilecików rosły w szufladach jego biurka, głowa łysiała, a zmysły szukały wiecznie czegoś, co przelotna miłośćka dać nie jest w stanie... Zwierzęcy ryk, jaki w chwilach upojenia wydzierał

się z jego piersi, był raczej krzykiem tęsknoty za prawdziwą rozkoszą—za pieśczołą niekłamana.

Całe legiony kobiet przesuwały się teraz przez ręce hrabiego, legiony strojne, o rzeźbionych kształtach, namiętnych lub przygasłych źrenicach. Każda krótką chwilę gościła w objęciach tego człowieka, pozostawiając

po sobie woń perfum i szelest jedwabnych spódniczek.

Mówiono, że w salonie hrabiego jest wielkie lustro w kształcie tryptyku. Ramy środkowego lustra pokryte były kobiecemi fotografiami. Oko profana nie oglądało nigdy tych twarzy, śmiejących się lub patrzących smutnie dokoła wielkiego zwierciadła. Lustro, starannie na klucz zamknięte, otwiera! tylko sam hrabia, dla umieszczenia nowego jakiego portretu. Czini! to wtedy, gdy motyle istnienie jakiejś miłości dobiegło do końca.

Od pewnego jednak czasu fotografie przestały przybywać — i tryptyk, zamknięty na klucz, prezentował obecnym swe drzwi z czarnego hebanu o srebrnem okuciu i monogramie. Hrabia klucz wrzucił własnoręcznie na dno szuflady biurka, a uczynił rzecz tę z dziwnie melancholicznym uśmiechem.

Rzec można, że z urokami życia na zawsze.

Odtąd hrabia podzielił dzień swej pomiędzy kasyno, znajome domy i teatr. Żył jak człowiek, mający wygodną rentę i stały, pewny dochód.

Wycieczki częste za granicę i bezustanne podróże do Wiednia pochłaniały znaczne sumy.

Wiedziano, że hrabia nie posiada już znacznych swych dóbr na Podolu, które sprzedał swemu szwagrowi przed kilku laty.

Ale hrabia nie prosił nigdy o pożyczkę był pod tym względem nadzwyczaj drażliwy a długi karciane wypłacał natychmiastowo. Młodzież lubiła go narówni z damami i życie hrabiego zdawało się płynąć słodko, równo, spokojnie...

Wyrzekłszy się burz i namiętnych uniesień, kochany, psuty, pieszczony, rozrywany, hrabia uśmiechał się do życia jak do spokojnych fal rzeki, po których płynął wolno, nie odmawiając sobie niczego, tonąc w powodzi szeptów kobiecych i uścisków mężkich.

Gdyby jednak fale zamącić się miały — człowiek ten przeczekałby burzę, lub umiałby w sam czas przed nią zemknąć.

I w tym właśnie leżał wysoki takt hrabiego.

Hrabina Misia zdecydowała głośno, że jeszcze jeden tour walca, a piknik przestanie być „zadziwiający.”

Trzeba więc powracać do domu, tembardziej, że już dzień biały wciska się nie na żar

ty przez spuszczone zazdrostki i oblewa jasnym światłem pomęczone, świeżo przypudrowane twarze i nieświeże, pogniecione fałdy gaz lub jedwabiu.

— Trzeba zniknąć w sam czas, jak mówi nasz kochany hrabia — powtarza mała kobietka, kręcąc ufryzowaną główką.

Hrabia stoi właśnie tuż przy niej i podaje jej bogate sortiedebal z brokartu, okładanej angorą.

Na słowa Misi dziwny wyraz przemyka się po uśmiechniętej twarzy hrabiego. Chwilę patrzy na elegancką kobietkę, tonącą w fałdach ciężkiego okrycia, i powtarza smutnym trochę głosem:

— Vous avez raison, trzeba zniknąć w sam czas.

Misia śmieje się wesoło.

— Mais votis etes lugubre, mon ami! — woła okręcając koronką swą ptasią główkę — patrzysz pan na mnie z takim smutkiem, jakbyś swej pogrzeb w moich oczach widział...

Hrabia potrząsnął głową.

— Votis avez deviner, madame! odparł przyciszonym głosem.

Misia śmieje się coraz bardziej, czuje, że przechodzi granice dobrego tonu, ależ ten hrabia jest nieporównany! quelle dr die d'idee mówić w tej chwili o... pogrzebie. Baronó

wna Lola, stojąca obok hrabiny, przyłącza swej srebrny chichot do głósiku Misi—i śmieją się obie, śmieją z tej dziwnej twarzy hrabiego, z jaką ściska im ręce i żegna, odprowadzając do drzwi.

— Dites donc! — woła już na progu Misia — vous allez a Vienne, że żegnasz się z nami tak serdecznie?

— Nie, nie jadę do Wiednia, ale...—i hrabia urywa, uśmiechając się z przymusem.

— Ale? — nalegają kobiety.

— Ale... bardzo daleko! — kończy hrabia, ściskając im raz jeszcze ręce.

Nowy wybuch śmiechu, potem turkot ka rety i wołania z okna:

— A nie zapomnij, hrabio! masz mi dziś przysłać kilka Marecka! NUL.. potrzebuję do mój amazonki na dzisiejszy „Schnitzel Jagd" nie za...po...mnij! — Karetą oddała się.

On stoi ciągle we drzwiach otwartych mrużąc oczy przed jasnym światłem lipcowego słońca, wschodzącego w tej chwili ponad domy uspionego miasta.

Pełną piersią wciąga w siebie orzeźwiające powietrze, jakby chciał ożywić płuca po tej duszącej woni, ulatującej ze staników kobiecych. Poczem pociera czoło białą, wypieszczoną ręką, a na usta jego wydobywa się cichy szept:

— Tak trzeba, tak być musi!

I oto nowe grupy odjeżdżających dam zmuszają go do przybrania na chwilę porzuconej maski. Otula je z troskliwością ojca i przyobiecuje kwiaty, załatwienie sprawunków, przybycie na raut wieczorny.

Każda z nich ma mu coś do powiedzenia, do polecenia, jakąś prośbę, tajemnicę jakąś. On je wszystkie ogarnia rozrzuwionym wzrokiem, wpatrując się w zmęczone bezsennością twarze starszych dam, z których prawie każda przypominała mu minione a rozkoszne chwile. Kilka minut jeszcze, a znikły wszystkie, i starsze i młodsze, jasnowłose lub ciemnookie — uleciały, jak grono motyli, umiejących nosić tylko stubarwne szaty.

Hrabia powrócił do sali balowej i zamyślony przeszedł wzdłuż ławek, ponsowym aksamitem wybitych. Pęki kwiatów, egrety z piór, a nawet tak zwane „flots” z wstążek leżały tu i owdzie, zdeptane w wspólnym uścisku. Orkiestra chowała instrumenta, a znudzeni i wybladli lokaje gasili płonące jeszcze gdzieś lampy. W jadalnej sali kilku młodzieńców piło za zdrowie „Cold Creamu” Właściciel konia, tusty, rumiany młodzieniec, dziękował uszczęśliwiony, kłaniając się uprzejmie. W przedsionku, dziewczyny kuchenne łamały gałęzie oleandrów i wydzierały sobie

znalezioną rękawiczkę. Hrabia błakał się jeszcze chwilę wśród tych pustek, jakby zbierając wspomnienia; różowa, blada róża zaplątała mu się pod nogi — podniósł ją i schował, uśmiechając się dziwnie.

Wyglądał jak człowiek, żegnający się ze swym rodzinnym gniazdem— podnosi grudkę ziemi i chowa ją w zanadrze, chcąc, by mu oczy nią zasypali na wieczny sen!

Gdy hrabia wszedł do swego mieszkania, był już dzień biały. W przedpokoju, obitym rypsem zielonym, na wielkim fotelu drzemał stary sługa. Na widok wchodzącego pana zerwał się, przecierając senne oczy. Hrabia kiwnął nań uprzejmie ręką i udał się sam w głąb apartamentów. Stał chwilę w zbrojowni, gdzie na ciemnym tle ścian połyskiwały stalowe siatki, pancerze, kolczugi, hełmy, złociły się rękojeście sztyletów, mieniły rubiny jataganów. Staroświecka chrzcielnica, wielka, wspaniała, cała z brązu odlana, stała tuż pod oknem, odbijając w swych złoceniach różnokolorowe światelka szybek w ołów oprawnych. W rogach komnaty stały manekiny, przystrojone w zbroję, na podobieństwo wielkich,

skamieniałych rycerzów, protoplastów rodu hrabiego. On sam, na środku tej wielkiej, ponurej zbrojowni — smutny, zwiędły, nędzny w swym obcisłym balowym stroju, mrużąc oczy, wydawał się Pigmejem wobec tych stalowych olbrzymów, ponurych, nieubłaganych, patrzących na niego czarnymi jamami spuszczonej przyłbic.

I ci zamarli w stali olbrzymi zdawali się milczeniem swoim rzucać pytanie temu człowiekowi o zwiędłej twarzy i schylonych barkach: „gdzie siła twoja, gdzie męskość twoja, marnotrawny synu?”

Wolno, ze spuszczoną głową przeszedł hrabia do salonu, który miał raczój podobieństwo do kobiecego buduaru, tak był różowy, jasny, wonny, wypieszczony.

Nizkie, różowym pluszem obite, nazwane w Paryżu „crapands” wyciągały swe miękkie grzbiety, jak potworne ropuchy, grzejące się wśród porannego lipcowego słońca. Takież same obicia ścian srebrzyły się w blasku porannym, a różowe koronkowe zasłony u okien rumieniły promienie słoneczne, uśmiechające się w wielkich, w srebro oprawnych

zwierciadłach. Delikatne pasteleupiększały jednostajność pluszu—blade barwy wazonów, z których wysuwały się kielichy datury, kładły ja

sne tony w tej dziwnie miękkiej i wonnej komnacie.

I czuć tu było, że kobieta rozpostarła wszechwładne panowanie i różowy plusz, pokrywający ściany, zdawał się być częścią królewskiego trenu pięknej tancerki, a koronki u okien przywodziły na myśl szelest jej sukni. Zwycięzko piękna Wenus, wysuwająca się z powodzi delikatnych liści, jak z piany morskiej—wznosiła się tu tryumfująca, drwiąca z sąsiedztwa w stal zakutych olbrzymów, którzy przez wpółotwarte drzwi patrzyli na tę nagość, błyskającą w słońcu — a czarne jamy ich przyłbic zdawały się połyskiwać krwawymi iskrami....

Ale ona, niedbająca o nic, z wiecznym uśmiechem na marmurowych ustach, oparta plecami o pluszowe opony, zagarniała w zimne dłonie komnaty te pod wyłączne panowanie swoje. Mistyczny ten kwiat biały, zrodzony wśród pocałunków i szału, istota nakazująca czcić się i przeklinać, ona jedna królowała tu niepodzielnie, snując się jak mara po tych kątach, pełnych jeszcze wspomnień i jej szeptów tajemniczych. Hrabia usiadł przy małym różanem biureczku i oparł czoło na dłoniach. Tuż obok siebie miał biały posąg Wenery —przed sobą słynne zwierciadło. Ono jedno tylko czerniło

się wielką ciemną plamą wśród tła różowego. I był to smutny grobowiec ten ołtarz zamknięty, wśród cieni którego mieniły się twarze istot,

bezmyślnie oddających swe serca i usta w chwilowym upojeniu, lub w ciekawości nerwowej. Hrabia siedział wciąż pogrążony w myślach. Zwykły, szablonowy uśmiech, który, zda się, przyległ do jego twarzy, znikł i ustąpił miejsca bolesnemu rozdrażnieniu. Ręce kurczowo cisnęły skronie, siatka zmarszczek wystąpiła dokoła ocz przymkniętych. W tej chwili było starzec, znękany jakąś walką wewnętrzną, czemś, co mu duszę rwało na strzępy, a w mózg ostrze sztyletu wbijało. Różowe światło wpadało przez koronkowe zasłony i rysowało morowe desenie na siwych jego włosach i pochylonym karku. On nie czuł tych pocałunków słonecznych, cały smutny, drżący, zgorączkowany. We wnętrzu jego duszy wrzała straszna, potworna burza—i niktby był nie poznał „kochanego hrabiego” w tej masce, kurczącej się pod wpływem jakiegoś rozpaczliwego postanowienia... Cały koszyk róż, wielkich, żółtych, o atlasowych liściach, stał na biurku obok maluchnej palety, na której uśmiechała się „Marchen” profesora Graffe. Były to róże, przeznaczone do stanika hrabiny Misi, a nazywane przez nią „Marćchal Niel.”

Delikatna ich woń drażniła hrabiego; nerwowo odsunął koszyk od siebie, a ironiczny uśmiech wykrzywił mu delikatne wargi.

Kwiaty! kwiaty w tej chwili... I powoli, jakby z wysiłkiem wielkim, podniósł się i podszedł ku drzwiom swej sypialni. Otworzył małą ogniotrwałą kasę, wpatrując się chwilę w ustawione literki. Żółte wnętrza szafy zalegały stosy listów, drobnych, kolorowych, białych, old fashion, japońskich, z dewizami lub bez. Wszystko to, rzucone pilemle, przywodziło na pamięć jakiś wielki damski piknik, a dusząca woń ylangów, heliotropu, corylopsisu, chypru, wypłynęła tryumfalną gamą i owiała smutną twarz hrabiego.

O! rozróżniał on dobrze te subtelne zapachy—ten delikatny new mon lny kobiet z „towarzystwa,” ten corylopsis pięknych aktorek i impertynencki chypre kokotek, równie bezczelny, jak istoty nim przesiąkłe. Cała przeszłość, cała ubiegła młodość ulatniała się dokoła niego wraz z tą

wonią, z tą garstką papierków, leżących pośród kasy. W samym rożku wciśnięta, nieśmiało, jakby bojaźliwie, widniała mała paczka banknotów... Hrabia wziął ją w drżące palce i patrzył na nią długą chwilę; chłonął ją prawie wzrokiem— sądzićby można, że pragnął, aby wzrosła pod temi zrozpaczonemi oczyma; lecz pa

czka ta była nieubłagana, nędzna, drobna, miała pozór okruszyny, spadłej ze stołu bogacza, jakiejś nędznej kostki, pozostałej po uczcie wspaniałej. Hrabia westchnął i, zgarnawszy listy na tackę z chińskiej laki, przeszedł z niemi do salonu. Paczkę banknotów położył na biurku, a z listami zbliżył się do kominka, w którego różowych marmurowych ramach tlił jeszcze niewygasły ogień.

Zanim wszakże te drobne liściki rzucone zostały w płomienie, hrabia drżącą ręką przeracał je, jakby szukając czegoś. Może miał nadzieję, że znajdzie się w nich jakaś paczka banknotów, cudem ocalona z tej powodzi — nie wiem! — ale to pewna, że listy te nic nie zostawiły! Pochłonęły wszystko, jak zgłodniałe wilczyce, cały majątek tego człowieka, nie dając mu nic w zamian, oprócz chwili kłamanej rozkoszy. Szelest, jaki sprawiały przewracane przez hrabiego koperty, przypomina! szelest jedwabnych kobiecych sukien, a lśniący papier—gładkość ich ciała... Tak! to były one! te wszystkie istoty, które krążyły teraz, jak stado kruków na pogrzebowej stypie, urągając swą wonią żałobnej twarzy człowie

ka, który całe życie spędził u ich stóp, szukając serca i znaleźć go niemogąc. I było to całe targowisko łatwych miłostek rozsypane na tej tacy, miłostek kradzionych, bezpodstawnych, które szczęścia nie dają, a ślą tylko gorycz wspomnienia. Hrabia czuł to dobrze—rozumiał, jaka nicość, chłód i pustka grobowa wieje z tych kłamstw pisanych i szybkim ruchem rzucił cały stos listów w ogień. Płomienie objęły te wonne papierki, przez chwilę jasny, purpurowy blask oblał różowe draperyę. Wenus zadrżała w tem tańczącym świetle, a delikatne pastele miały krwawe blaski — poczem wszystko zgasło — i tylko garstka popiołu pozostała po tych uniesieniach szalonych, pocałunkach rozkosznych!... Tylko garstka popiołu!... Hrabia wpatrzył się w ten popiół szary, delikatny, przypominający warkocze blondynki. I ten popiół zdawał się ulatniać powoli i posypywać rysy hrabiego jakąś szarą, cienką zasłoną. Czy była to grudka rodzinnej ziemi, którą zmarłemu się na oczy sypie?.... Teraz hrabia zbliżył się do biurka i, wyjąwszy ze skrytki srebrny klucz, otworzył tryptyk. Srebrne ściany zwierciadeł zamigotały różowym blaskiem. Dokoła ram zaczepione kilkadziesiąt fotografii kobiecych zabłysnęło na

gle w świetle poranka. A były one równie ciche, banalne, zimne, jak listy spalone przed chwilą. Te ciemne lub jasne oczy miały jeden wyraz kokieterii, jakby pieczęć wyciśniętą przez demona zniszczenia. Usta wpółotwarte, zmysłowe, chciwe dostatków i pieśczoł, uśmiechały się na widok zmienionej twarzy hrabiego, jego zmarszczek, jego włosów siwych i tej... mizernej paczki banknotów, tak nędznej, tak smutnej w swem ubóstwie. I żadna z nich nie miała litości nad tym człowiekiem, który teraz w blaskach porannego słońca stał przed niemi nieszczęśliwy, zgnębiony, zrujnowany i łamiąc ręce, powtarzał: — Jam dał wam wszystko, a dziś jestem sam! sam!... i gdzież wy jesteście, upiory, które wyssałyście mi serce, rozum, majątek i w zamian nie zostawiłyście nic, oprócz tej garstki wspomnień gorzkich, smutku i opuszczenia?..."

Drżącą ręką wyrwał z ram lustra wszystkie fotografie, drąc je na szmaty, i szybko rzucił te resztki do płonącego ogniska. Lecz one płonąć nie chciały, tak jak te żmije, które cięte na sztuki żyją i łączą się z sobą. Zrozpaczony, z oczyma krwią nabiegłymi, klęczał hrabia obok kominka, posuwając rękami podarte kawałki — nie zważając na ból, chcąc tylko czempredzej zamienić także w popiół te martwe twarze kobiece.

Lecz gdy się podniósł—zmęczony, z oczyma obłąkanymi, z twarzą nabrzęką, spotkał się nagle z uśmiechem marmurowej Wenery, wznoszącej się na swej podstawie, jak uosobienie tryumfu wiecznej kobiecości.

Rzucił się ku niej jak szalony, chcąc zetrzeć na proch to wcielenie piękności kobiecej, ale siły go opuściły. Uczuł się bezsilnym wobec tej wszechpotężnej istoty, która przeszła przez jego życie jak orkan wściekły, zabierając mu wszystko, a nie dając w zamian..., nic.

Napróżno spalił listy i fotografie — one żyły, żyły w fałdach pluszu, w ramach pasteli, szeptały, chichotały się, a tupot ich bosych nóżek dołaływał ze źle przymkniętych drzwi sypialnego pokoju. Przyszły teraz wszystkie śmiać się z jego ruiny, z nieszczęścia, w jakie go pogrążyły... On zamknął oczy i oddychał ciężko, a dwie łzy spływały wolno po wyschłych policzkach.

— „Na mój pogrzeb!”

Hrabia położył pióro i otarł zroszone potem czoło. Poczem owinał paczkę banknotów w świeżo napisaną kartkę i z głębi biurka

wydobył maluchne, hermetycznie zamknięte, szklane pudełeczko. Przez ścianki widać była białawy proszek, lśniący, jakby sola posypany... Hrabia trzymał zamknięte pudełko w nerwowo zaciśniętych palcach i oddychał ciężko, tak, że oddech ten w jęk przechodził.

Postanowił sobie, że umrze dnia tego, w którym się wyczerpie jego fundusz i tylko pozostanie mu potrzebna suma na odpowiedni pogrzeb. Chciał skończyć w „sam czas!”—ten człowiek żyjący bez jutra, bez myśli przewodniej, bez wiary, bez celu. Gdy czara uciech zmysłowych i bogactw wypróżniła się do dna, „cóż miał robić więcej na świecie ten zgangrenowany odpadek społeczeństwa? Co go utrzymać mogło więcej przy życiu? — wszak był sam i nikomu na nic niepotrzebny. Te piękne panie, które obdarzał kwiatami, wspierał radami, obejdą się łatwo bez niego; zastąpi go wprędce inny pasożyt—rzucą bukiet fiołków na jego mogiłę i tańczyć będą równie wesoło, równie ochoczo!

O! zna on je dobrze wszystkie te zalotne, co mu krew serdeczną wypily, a teraz, jak mary tłoczą się i szepcząc, śmiejąc się, okrywają go grobowym całunem. One same popychają go w grób te strojne upiory, wciskając mu w rękę truciznę i tańcząc dokoła

niego piekielną sarabandę. I ten tłum cały pali go spojrzeniem, dusi uściskami.... owija pasmami włosów.... „one,” wszędzie „one” — a nigdzie niema „jej” prawdziwej, czystej, nieskalanej, świętej, przed którą tłum tych widziadeł pierzchnąćby musiał, jak przed zjawiskiem niebieskiem....

Rozpaczliwym wysiłkiem woli zaczął hrabia szukać w wspomnieniach swych jakiegoś świetlanego punktu, który mógłby go jeszcze przy życiu utrzymać. Nic! nic! ani krzyku dziecka, ani srebrnego głosu kochającej

kobiety... Tylko brzęk bransolet, szelest jedwabiu—cały przystrej kłamanych miłostek, boć nawet i Liii nie była mu żoną, nie była aniołem domowego ogniska! Domowe to ognisko wygasłe szarzało garstką popiołu, zimną, wystygłą mogiłą — a on, on sam naprózno wyciągał zrozpaczone dłonie, odtrącając ohydne mary wspomnień i poblądłemi ze strachu wargami szeptał urywane słowa, coś, jakby przekleństwa, które cisną się do ust potępionego na wieki człowieka... Nawet modlić się zapomniał w tej piosnce miłosnej, którą nucił przez życie swe całe—i nic nie znalazł pod zbolałą czaszką, nic w sercu zamarłem, nic w duszy, dla której nie żył i którą oddał ciału w niewolę.

W sani czas!

Hrabia mimowolnym ruchem rozerwał na piersiach bieliznę i długie paznogie wpił w swe wyschłe piersi. Krew pociekła, ciepła, ale on nie czuł bólu, nie czuł krwi, szeroko rozwartemi źrenicami wpatrzony w przestrzeń, konał już przed zażyciem trucizny, konał moralnie, płacąc męką piekielną za rozkosz udaną, za uścisk wszeteczny, który mu miał zastąpić wszystko w godzinę śmierci.

A przednim, w szybie zwierciadlanej, bieliła się Wenus, jakby statua na jego grobowcu. On z rozpaczą i wstrętem pragnął odwrócić oczy od tego widziadła, w które patrzył: życie całe i czcił jak bóstwo... I straszny,, rozpaczliwy krzyk wydarł się z jego piersi... posąg Afrodyty śmiał się — śmiał się z niego, gdy on w tej chwili konał, rwąc swe ciało z bólu i rozpacz. Szybko, jak błyskawica* otworzył hrabia szklane pudełeczko, drżącemi* skrawionemi palcami schwycił okruszynę proszku i poniósł go do ust skrzywionych kurczowa. Chwila jeszcze—jedna chwila tylko, a ciało hrabiego, nawpół martwe, osunęło się na różowy plusz fotelu...

Nie skończył jednak.

Leżał tak jeszcze długo, godzinę całą, zeszywniały, zlany potem, z twarzą kurczowo ściągniętą. Powoli wszystko w nim zastygło i czuł dobrze ten straszny chłód śmierci, który mu od nóg do serca wstępował. Nie mógł się poruszyć, nie mógł wołać pomocy. Chrapliwe tylko rżenie wrywało mu się z gardła, głos zwierzęcia walczącego ze śmiercią. Oczy, w jeden punkt wpatrzone, utkwione w odbicie białej, wielkiej kobiety, bezczelnej w swej nagości, zastygały także, szkląc się jak oczy trupa — ona, tryumfująca, doskonale piękna, jak anioł śmierci, śmiała się do tego zastygającego ciała i żółtych róż, które kapały swe liście w powodzi promieni słonecznych.

I trwało długą chwilę to konanie człowieka, który kładł się dobrowolnie w mogiłę — aż chrapliwe rżenie przeszło w cichsze, coraz powolniejsze westchnienia i wreszcie wszystko zamilkło w tej różowej komnacie, gdzie kobieta rozpostarła panowanie swoje. Tylko trup samobójcy, jak czarna plama, psuł harmonię tego buduaru; tylko nędzna paczka banknotów, nosząca na swym grzbiecie napis: „na mój pogrzeb” dziwnie odbijała od przepychu tych ścian, zasłon koronkowych i kwiatów!

Była to wielka grobowa kaplica, którą wzniósł sobie powoli ten człowiek martwy, pokrwawiony, z twarzą rozpaczliwie skurczoną, z pianą na zsiniałych wargach, a na straży tego grobowca stał ów posąg biały, nagi, uśmiechnięty i jak sfinks w przestrzeń tajemniczo zapatrzony...

W GABINECIE RESTAURACYJNYM. DROBNOSTKA.

Późno już było, gdy Józef wszedł do przedpokoju, w którym drzemali jego koledzy— Trzeba pogasić światła—wyrzekł w półsennym głosem—dziś już nikt nie przyjdzie. Psie czasy!...

I urwał, potrzęsając wypomadowaną głową.

Był to mały, chudy chłopak, młody jeszcze, a już zniszczony. Twarz jego wyżółkła i znędzniała wyglądała jak poplamiona serweta, którą trzymał pod pachą. W atmosferze tłuszczy, który syczał w kuchni, zamiast się zakonserwować, zwiędł i skurczył się jak pieczarka. Był brzydki, lecz stali goście woleli jego usługę, aniżeli innych kelnerów. Chodził tak cicho koło stołu, zmieniał talerze zręcznie, oszukiwał w rachunku niewidocznie, a złapany uśmiecha! się tak pocziwie, że trudno mu było nie wybaczyć tego drobnego oszustwa.

Przytem umiał w porę zniknąć i pukał do drzwi długo i donośnie. Stali goście umieli to cenić i dlatego lubili Józefa. Czy Józef ich lubił, to znów było pytanie. Zawsze jakiś smutny, zamyślony, jakby coś „sumował.”

Tylko przyjaciel jego, kucharz Inocenty, wiedział, co jest starszemu kelnerowi. Zapytany wzdychał ciężko — a wzięwszy wiązkę pietruszki, oglądał listki tajemniczo. Gdy nalegali, wzruszał ramionami, mrużąc: — Ot! wiecie... taka łajdaczka!...

I ucierał nos z całą pogardą dla tej „łajdaczki”, która w oczach personelu kuchennego majaczyła, jakby uosobienie potworności i przewrotności charakteru.

Józef tymczasem palił papierosa za papierosem.

To była jedyna jego namiętność.

Zatlony papieros schowany miał na szafie nawet podczas usługi.

Przebiegając mimo szafy, chwycił go i pociągał parę razy, poczem kładł znowu na dawne miejsce. Był to jego nałóg—tak jak innych pijaństwo lub kobiety.

Nie!... Józef nie pił, a na kobiety patrzeć nie mógł.

Przyczyną tej nienawiści była... ta łajdaczka!

Podniósł ją z bruku, prawie nagą, drżącą od zimna i głodu, zbitą niemiłosiernie przez jakiegoś przechodnia, któremu drogę zastępowała. Wziął ją z litości prawie, a potem zatrzymał, bo czuł, że bez niej żyć nie potrafi. Konieczną mu była obecność tej śmiejącej się, ciemnowłosej dziewczyny w ciasnej izdebce poddasza — konieczną tak, jak papieros zwinięty jej ręką.

Nauczył ją bowiem zwijać papierosy i ona nieraz, dzień cały leżąc w łóżku, zwijała mu setki całe, skąpiana w tytoniu, którego gałązki czepiały się jej rozczochranych włosów lub nagich ramion...

On całował ją wtedy przesiąkniętą ostrą tytoniową wonią i upajał się podwejniami—zapachem jej ciała i tytoniu, zadawalniając swe obie główne namiętności,..

O! te dni..., pamięta on je dobrze—zapomnieć o nich nie może! Znosił wtedy do swej izdebki co mógł wyprosić u Inocentego. Raz nawet dał jej całe kurczę, które jakiś gość odrzucił pod pretekstem, że było... za chude.

Ona jednak schrupała je całe, śmiejąc się łakomie, a potem w nagrodę obdarzyła go... pieszczotą i setką papierosów. Najchętniej jednak jadła sosy, ostre, zaprawione papryką, korzeniami... Pochłaniała je z chlebem, a śmiech jej miał wtedy ostre, podniecone

dźwięki. Gdy Józef powracał ze swej nocnej służby, chwytła wówczas papierosy garściami i obrzucała go niemi jak gradem pocisków, wołając przytem jak na psa:

— Na! łapaj!

I potem długo w nocy słychać było ich śmiechy, a obłoki dymu zalegały izdebkę.

Bo i ona teraz paliła, nauczona przez niego; trzymała papieros śmiesznie, niezgrabnie, a Józef śmiał się do łez z jej niezręczności. Ona rozgniewana, rzucała wówczas mu w oczy zapalonym papierosem i wołała:

— Idyota!

Poczem wylizywała resztki sosu i wybuchała ostrym, urywanym śmiechem.

Byli zupełnie szczęśliwi.

Józef okradał teraz i oszukiwał gości na każdym kroku. Miał powiększone wydatki, słuszną więc było rzeczą, aby goście ten naddatek płacili. Musiał Mańce sprawić buciki wysokie, na guziczki zapinane i suknię kaszmirową z ponsową kamizelką. Mańka innej nie chciała, wybrała kaszmir najdroższy, a na kamizelkę wzięła aż łokieć jedwabiu... Teraz chce kapelusza i rękawiczek. Aż płacze ze złości, że ich niema, a papierosów więcej zwijać nie chce...

Sosu też nie je, a Józefa coraz to częściej targa za włosy. Mówi, że się nudzi i chce „ulicy powąchać”.

Józef ją prosił, aby została w tej ciasnej izdebce, ale ona teraz, jakby, ją co ukąsiło, od rana się z łóżka zrywa i przed lusterkiem czesze a czesze.

Nabrała ciała, utuczyła się na tych sosach, a ręce jej pełne mają śliczne różowe dołeczki. Józef chodzi koło niej markotny, jakby przeczuwał, że chwila rozstania blizka i że ptak przelotny uleci, a nic go zatrzymać nie zdoła. Tak się wszakże do niej przyzwyczaił, że nie może sobie wyobrazić, co on bez niej zrobi. Postanawia ją bądź co bądź zatrzymać przy sobie i jednego poranku proponuje jej „ślub”—prawdziwy, w kościele i przy świadkach. Ale Mańka obraca się szybko, jak na sprężynach i zapinając ponsową kamizelkę, która na jej piersiach leży jak ulana, wybucha przeciągłym śmiechem:

— Idyota!

Józef siedzi przez chwilę milcząc, wpatrzony w śmiejącą się dziewczynę. Dlaczego nazwała go —idyotą?

Ona, istota najniższego gatunku, podniesiona z ulicy, naga, bosa, obdarta—śmieje się, że chciał ją "żoną" swoją nazwać...

Powoli wstał i wyszedł, bo czuł, że chwila jeszcze, a rzuci się na tę kobietę i skopie ją nogami.

W kuchni Inocenty powiedział mu, że jest „osioł,” a przyszła pani Józefowa „funta kłaków nie warta,”

Po godzinnem rozmyślanii Józef postanowił kupić Mańce kapelusz i rękawiczki w jak najprędszym czasie, bo tak wielką była jego namiętność do tej dziewczyny, że pozwoliłby jej już „zwąchać ulicę,” byleby z tej ulicy wracała i znów wyciągała doń ręce, obsypane tytoniem i listkami bibułki. Kochał ją... po swojemu, ot—jak zwierzę nawykłe do jednego

gniazda; dla niej kradł, dla niej oszukiwał podchmielonych gości, kreśląc im kłamliwe rachunki na poplamionym obrusie...

Gdy mówił: „pięćdziesiąt a siedem to dziewięćdziesiąt dwa,” myślał o Mańce drzemiącej na górze i nie czuł do niej żalu, że go nie chciała na męża; ładna była, zdrowa, tęga, a on cherlawy i żółty. Coż dziwnego, że go nie chciała.

Pomówi z nią jeszcze, gdy jej kapelusz kupi—kapelusz ładny z ponsowym kwiatem i koronką złotą... może będzie w lepszym humorze i da się nakłonić—kto wie!

Lecz gdy powrócił tej nocy do swej izdebki, zastał pustkę dokoła. Mańka uciekła,

zabrawszy cały zapas tytonia i bibulek. Uciekła w kaszmirowej sukni i w ponsowej kamizelce, którą on jej sprawił!... Poszła tam, z kąd przyszła, unosząc gamę ostrego śmiechu i maszynkę do robienia papierosów...

Przez otwarte na rozcież drzwi wpadał chłód wiosennej nocy, płomień świecy dogorywał, tańcząc po bielonych ścianach; z tego wpółzmroku wysuwała się od czasu do czasu postać kelnera, trzymającego w garści kilka złotych, „zwędzonych” gościom przy rachunku. Postać ta chyliła się coraz więcej w smutku i znękaniu bezmiernem, aż wreszcie z rykiem zwierzęcym osunęła się na podłogę, wołając: — Mańka! moja Mańka!

Od tego czasu upłynęło sporo dni, sporo nocy, ba! nawet miesiące.

Przeszło lato, brzydkie, słotne, i nastąpiła piękna jesień. Józef nie mówił już nigdy o Mańce, przestał oszukiwać gości, tylko senny był zawsze i smutny. On wiedział dobrze, gdzie szukać tej dziewczyny, ale iść tam do niej nie chciał. Nie przez to, by jej więcej nie kochał; o! nie! — ale bał się jej. Mogła go kopnąć nogą i powiedzieć: — idyoto!" boć teraz go nie potrzebowałapewnie

wcale. Sukienka kaszmirowa musiała jej przynieść szczęście, teraz już bosa i obdarta nie słania się po trotuarach ulicznych* Mówili mu, że jest sklepową w jakiejś owocarni i że z „panami” po alejach jeździ. Widział ją niejeden, jak śmiała się, potrząsając makami na kapeluszu; ale on, Józef, nie widział jej wcale i tylko słuchał, gdy oni w kuchni mówili. Palił przytem coraz więcej papierosów, aż chodził jak senny, a twarz uwędziła się w dymie i zęby pożółkły jak stare klawisze. Nie smakowały mu przecież teraz papierosy, choć kupował coraz inne gatunki, nawet niesklejane! żadne porównać się nie mogły z temi, które Mańka mu w łóżku zwijała...

— Pogasić światła!—wyrzekł zwolna i sam leniwie wyciągnął rękę, aby przykręcić kurek od gazu.

Nagle na opustoszałych schodach dał się słyszeć ruch jakiś.

Goście idą!

Prędko wyprostował swą zgarbioną postać i machinalnie obciągnął pomarszczone poły fraka. Gdy goście weszli do przedpokoju, on już stał wyciągnięty, z serwetą przerzuconą przez ramię, błyszcząc w świetle gazu talmigoldową dewizką i upomadowaną głową. W przedpokoju zrobiło się nagle gwarno i wesoło.

Kobiece spódniczki zaszeleściały, cienkie głosy dziewcząt mieszały się do rozmowy mężczyzn.

Józef stał pomiędzy nimi spokojny, niewzruszony, jakby ta cała wesołość uliczna, przyniesiona w fałdach paletotów i dolmanów, nie obchodziła go wcale. Nie patrząc prawie na nikogo, zapytał:

— Z fortepianem?

— Continent? — wrzasnęła nagle jedna z dam, przeciągając na końcowej zgłosce.

— Pyta się czy z fortepianem! — powtórzył mały, wychudły jegomość z przymrużonemi oczami.

— Naturellement! — ryknęła ta sama dziewczyna, skrzypiąc przeraźliwie bucikami.

— Idyota! — zawołała druga, odwrócona tyłem do Józefa i zdejmująca z głowy długą, koronkową chustkę.

Na dźwięk tego głosu, zwłaszcza na intonację, z jaką słowo: „idyota!” zostało wyrzucone, drgnął kelner i świeca, którą w tej chwili zapalał, wypadła mu z ręki.

Tak! to była ona! Mańka!... ona sama! nikt bowiem nie potrafi tak powiedzieć, jak ona: „idyota” i poruszyć ramionami...

Zresztą odwróciła głowę; poznała go teraz, bo zmieszala się trochę i krok jeden cofnęła.

Patrzą oboje na siebie, ale słowa wymówić nie mogą...

Wreszcie ona pierwsza wybucha śmiechem znanym, ostrym, przeciągłym

— Józef aż pochyla głowę pod wpływem tego śmiechu:

— Coż to? dawna znajomość — pyta czerwony, tłusty młodzieniec, w którego wmawiają podobieństwo do hrabiego G. i który gwoli tego podobieństwa wtlacza na głowę jasny cylinder i jeździ dorożką pierwszej klasy.

Mańka wzrusza ramionami.

— Znajomość? — odpowiada — z kąd znowu? to dawny lokaj moich rodziców...

I szeleszcząc sukienką, wchodzi pierwsza do gabinetu, w którym drugi kelner kończy zapalać płomień gazowe.

Reszta towarzystwa wtlacza się za nią.

— Tiens! tiens! Rodzice Mańki mieli lokaja... — szydzi młodzieniec, podobny do hrabiego.

— Koniu Pana Jezusa... —ryczy amatorka francuzczyzny — nie każdego ojciec, jak twej właśnie, był kucharzem.

Rozmowa, rozpoczęta w tym tonie, trwa dalej. Mężczyźni i kobiety prawią sobie impertynencye, dochodzące do grubiaństwa.

Kobiety zdejmują kapelusze i kładą je na pianinie, Mańka jednym palcem wystukuje: „mąż panem domu”, a Józef stoi pod ścianą,

wpatrzony w tę ciemnowłosą dziewczynę, która nazwała go z taką bezczelną pewnością siebie „lokajem swoich rodziców”...

Czelna bestya ale szykowna, ubrana jak przynależy, cała czerwono, a w uszach ma dwa duże turkusy! W tej owocarni widać niezłą pensye dają...

— Ty, Mańka, finisuj! — woła lingwistka — lesuj fortepiano i asseyez vous comme il faut...

Wszyscy zajmują z hałasem krzesła, popychają się i znajdują widocznie wiele w tem uciechy, bo zabawa ta przedłuża się do nieskończoności.

Jest to rodzaj gimnastyki pokojowej, która siły młodzieży rozwija.

Młodzieniec, podobny do hrabiego, i lingwistka oddają się temu sportowi z całym zapalem. Wreszcie jedwabna, kanausowa sukienka dziewczyny pęka na plecach.

— Ach ty, syngalezie! — krzyczy poszkodowana — rozdarłeś mi kieckę, zceruj teraz!...

— Sama rozdarłaś — neguje czerwony młodzieniec — zresztą odkupię ją, jeśli ci o to chodzi...

— Nie potrzeba! — mówi dziewczyna, rozsiadając się na dwóch krzesłach

— connu! asztujesz robę po dwa dwadzieścia łokieć a potem wrzeszczę będziesz, żeś się na mnie zrujnował...

— Możebyśmy co zjedli?—proponuje delikatna blondyneczka, przezwana „trznadlem”.

— Kelner! no! dalej, ten z pod ściany, a rusz się i podaj kartę...

— Jakiś niedołęga...

— Zaspany!

— E nie, to mu pomada tak mózg wierci...

Karta tymczasem lata z rąk do rąk, wyrywana, wyszarpywana, podarta prawie na strzępki.

— Ja chcę kurczę w pulardzie! —decyduje nagle Mańka, zbliżając się do stołu — tylko dużo sosu, rozumiesz, dużo sosu!

I wszyscy dysponują razem, a w głowie Józefa, powstaje straszny zamęt. Machinalnie kiwa głową, a oczami śledzi ciągle tę wielką, czerwono ubraną dziewczynę, która najspokojniej czyści sobie paznokcie szyldekretową szpilką, wyjętą z włosów... Czy ona nic już nie pamięta z tego, co wiązało ich dawniej?

I gdy zszedł po wódkę, koniak i przekąski, drżał cały od wewnętrznego wzruszenia. Wszakże to była jego Mańka, ta „jego”, którą tyle razy tulił w swych objęciach, za którą tęsknił i wołał: „Mańka, moja Mańka!”

Teraz jest tuż przy niej i nie śmie nawet ręki wyciągnąć, aby dotknąć jej sukni. Wie, że to ona, a przecież wydaje mu się całkiem inną w tem czerwonym ubraniu, z włosami

podniesionemi wysoko i oczyma czarno podkreślonemu W kole tych panów i dziewczyn jest jakby oddzielona od niego płomienną obręczą. Siostra gospodarza smaruje właśnie bułki kawiozem, przyciskając grubsze ziarnka palcem. Już jest cały talerz gotów, stawia na tacy, obok innych przekąsek. Józef wszakże tacy utrzymać nie może, coś mu ręce podcięło, a w gardle go dusi. Siostra pana dziwi się bardzo.

— Upiłeś się, czy co!

Upił się on, ale widokiem tej dziewczyny, która teraz pożera kapary od śledzia i klęczy na krześle tuż obok czerwonego młodzieńca. Na Józefa nie zwraca uwagi. Cóż? wielkie rzeczy! nie byłaż z nim dość długo? nawet zadługo?... dał jej sukienkę, buciki, ale ona za to robiła mu papierosy. Potem, nudziła się i poszła jednego wieczoru. Chciała się tylko trochę przejść i wrócić, a że potem... tak się jakoś złożyło, że wrócić nie mogła, nie było to jej winą. Zapomniała nawet, że on służy w tej restauracji, a gdyby nawet pamiętała, nie byłaby się od drzwi cofnęła... Tylko przyznać się do swej przelotnej miłości z kelnerem nie chciała. Kiedykolwiek Trznadel albo Belka rzuciłyby jej kelnerem w oczy...

Nie, tak nisko nie chciałyby upaść w oczach swych towarzyszek. Zwłaszcza ta Belka, której Mańka dodała przydomek „w oleju”, a która mści się za to i dokucza jej na każdym kroku!

Teraz nawet wyśmiewa żądanie Mańki, owo „kurczę w pulardzie”; cóż ona temu winna, że nie jest tak jak Belka córką urzędnika i że nie żyła jak ona na wielkim świecie?

I cała czerwona ze złości zwraca się ku przyjaciółce z ustami, pełnymi kaparów:

— Ty! obstaluj sobie co w oleju! — woła ze złośliwym śmiechem.

Belka zrywa się, wołając, że nie pozwoli, aby jej uchybiano; mężczyźni uspokajają obie panny, rozwijając przytem cały zasób swej inteligencji. Trznadel tymczasem obcina po cichu wstążkę od szarego cylindra i wysypuje w kapelusze całe solniczki, ciesząc się zawczasu złością towarzystwa.

Józef schodzi do kuchni i zgnębiony siada na zydelku.

— Kurczę z papryką, zrazy po nelsonsku, dwa antrykoty z rusztu, pularda po strzelecku, pół strogonowa...

Głos jego brzmi tak żałośnie, że pan Inocenty przestaje mieszać palcem kokilkę mózdkową i obraca się do przyjaciela:

— Co się stało?

— Ona... tam jest!

— Kto? ta... łajdaczka? —Tak!

— Czego chce?

— Kurczęcia w pulardzie.

— Oślica!

I mistrz Inocenty zabrał się do przygotowywania żądanych potraw.

Józef siedział jak skamieniały.

Wszystkie wspomnienia z widokiem tej dziewczyny ożyły na nowo. Serce mu się w piersi tłuc zaczęło, jak ptak w zbyt ciasnej klatce. Czy ona miała nowego kochanka? może którego z tych panów, co tam na górze koniak piją...

Gdyby tylko miał odwagę zapytać się jej, czy go zapomniała i dlaczego odeszła, gdy miała wszystko, czego kobieta zapragnąć może.

Butelka wódki, z której pił Inocenty, stała prawie obok, Józef sięgnął machinalnie i wypił spory haust...

— To na kuraż—powiedział sobie.

I zabrawszy talerze, poszedł na górę.

Teraz ją zaczepi, schyli się niby po serwetę, którą upuści tuż przy niej, i zapyta się jej po cichutku:

— Mańka! czemu ty mnie porzuciła?

Lecz gdy wszedł do gabinetu, Mańka siedziała na poręczy fotelu czerwonego młodzieńca i Józef się nie mógł zbliżyć. W jednej ręce trzymała kieliszek z koniakiem, a drugą... zdawało się Józefowi, że głaszcze po szyi czerwonego pana. Ach! to pewnie jej kochanek... tak! to on musi być z pewno j

Rozstawia talerze, podaje chleb, biegnie po wino, a w bufecie żąda kieliszka mocnego rumu i na schodach wypija go duszkiem.

Gorąco mu, krew do głowy uderzać zaczyna, teraz mu każą zamrozić szampana, biegnąc po sery, owoce, kompoty.

Dobrze! przyniesie to wszystko, lecz ta Mańka ile zrobiła, przychodząc tu na kolację. Bądź co bądź postąpiła sobie podle, opuszczając go nagle wtedy, gdy on miał szczerą chęć ożenić się z nią i kapelusz jej kupić. Teraz poprostu szydzi z niego i pieści w jego oczach innego człowieka...

Inocenty, układając kompot w salaterce, przyznaje mu rację zupełną. Tak! dziewczyna to ladaco, a w dodatku bez odrobiny serca. Bo może Józefa nie kochać, ale mu się jeszcze przed oczy nasuwać... z innymi Kto wie, może ma jeszcze na nogach buciki, kupione jej przez dawnego kochanka.

Józef pije wódkę i patrzy w mówiącego jak w tęczę.

— Jabym jej buciki zdarł, a potem „obzacam” w łeb uderzył — konkluduje kucharz, odrywając pęcherz ze słoika rajskich jabłuszek.

Józef idzie na górę, gubiąc łyżeczki po drodze.

— Psia wiara, ma rację ten Inocenty, w łeb chyba taką niewiarę, żeby cały rok popamiętała.

Przed drzwiami gabinetu zaciska pięść i wchodzi nawpółprzytomny, podniecony wódką. Widzi przed sobą tylko Mańkę całą w płomieniach pasowej sukni, zajadającą sos z chlebem i śmiejącą się ostrym, przeciągłym śmiechem.

Ten śmiech—on zna!!...

Zresztą wszystko się tu teraz śmieje: i Trznadel, pełna zadowolenia z wsypanej soli w kapelusze dam, i Belka „w oleju”, która je ser nożem, dowodząc, że tak we Francji jadają.

Młodzież, pełna adoracji przed wykwintnym dowcipem tych dam, wlewa sobie w gardło szklanki wina, śmiejąc się z wyuzdania, jakie panuje dokoła. Jest coś wtrząsającego w tym strasznym śmiechu, jaki napełnia ciasne ściany gabinetu. Tak śmieją się w szpitalach

obłąkanych, na salach tak zwanych ogólnych. Taki śmiech, to jęk zamierającej duszy.

I tu może w tej ciasnej przestrzeni konały dusze młodych i zdrowych ludzi, rozrzucających swe siły, jak szklanki, widelce i kieliszki zalegające poplamiony obrus. Bezmyślna paplanina głupich dziewcząt, szelest ich spódnic, woń porozplatanych warkoczy mieszały się z zapachem potraw i porozlewanej wina... Przez szyby świt zaglądał, kładąc bladawe plamy na rozognione czoła mężczyzn, kobietom zaś żółte tony na zniszczone przedwcześnie twarze.

Były wstrętne w oświetleniu dziennym te zgrzybiałe dziewczęta z piętnem rozpusty w wykrzywionych twarzach i ze słownikiem szynkowni w ustach. Siedziały teraz na stole pomiędzy próżnemi butelkami i ogryzkami owoców, paląc papierosy i od czasu do czasu kopiąc nogą którego z mężczyzn.

Były one uosobieniem rozpusty, gminnej, trywialnej, która w kieliszku fałszywego szampana szczyt szczęścia widzi.

Kłęby dymu owiewały ich głowy, piersi, wpadały im do gardła... One, przywykłe do tej atmosfery, nie przestawały krzyczeć ochryplemi głosami, głosami starych pijaczek, które się słyszy wieczorami w niedziele....

A mężczyźni w zbydłczeniu jakimś dziwnem patrzyli z zachwytem na tę parodyę kobiety, rozpościerającą przed nimi czelność uliczną i jedwabne sukienki... Podniecony ich oddech kołysał płomieniami gazu i przepełniał ciasne ściany gabinetu.

Zwierzę górowało nad człowiekiem.

Gabinet stawał się stajnią.

Józef z pięścią zaciśniętą stał teraz pod ścianą i patrzył ciągle na Mańkę.

Ona, w pół śpiąca, otwierała szeroko oczy i starała się być ożywioną.

Wiedziała po co ją tu zawołali, dlatego prostowała się w swym czerwonym staniku, szczypiąc się za rękę, aby nie zasnąć.

Późno już było, do domu wracać pora.

A Józef stał jak urzeczony wciąż pod ścianą: i chciał rzucić się na nią,

spoliczkować, oplwać wobec wszystkich i nazwać swoją dawną

kochanką... Pięść zacisnął, postąpił krok jeden i— znów mu odwagi

zabrakło... Nie! teraz stanowczo zdecydować się musi, w gardle go ścisnęło, wszystko wirowało dokoła... To wódka! ta wódka przeklęta,

którą pił niepotrzebnie, inaczej miałby siły więcej. Zbiłby ją już dawno, o! dawno! Ale ona teraz znów patrzy na niego.

Wydaje się jej bardzo biednym, bardzo nędznym, w tym zniszczonym fraku i w wytar

tej kamizelce. Jest mizerny i ma sine pręgi pod oczami. Wygląda, jakby lulka dni nie jadł... Co mu jest? może nie ma już papierosów?... Powoli i przed jej oczami przesuwają się wspomnienia. Był dobry dla niej, tam, na górze, na poddaszu—o! nawet bardzo dobry. Nie wymyślał jej nigdy tak, jak ten pan, do jakiegoś hrabiego podobny. Choć się nudziła, ale on jej to nieraz wynagradzał. Teraz stoi przed nią i oparł się o ścianę, bo na nogach

utrzymać się nie może... patrzy na nią tak dziwnie jakby o coś prosił, a pięść ma zaciśniętą... Czego on chce od niej?... czego?... a!— wie już teraz! wie z pewnością! I szybko, jak błyskawica, Mańka porywa srebrne portecigares, leżące na stole, i wysypuje zeń papierosy w dłoń swoją. Poczem zręcznym ruchem rzuca niemi w kelnera, wołając tak jak wtedy, na górze:

— Na! łapaj!...

Józef na ten głos wyprostował się nagle, oczy zabłyśły, a usta rozchyliły się w uśmiechu. Nie zapomniała!... nie zapomniała!... woła jak na psa! po swojemu! po dawnemu!... I zmożony wódką, wzruszeniem, wyciąga ręce ku śmiejącej się dziewczynie i pada na ziemię, wołając:

— Mańka! moja Mańka!

Siostra właściciela restauracji nie wiedziała, jakimi słowami przeprosić „szanownych” państwa za tak przykrą awanturę. Ależ bo też wybrał sobie Józef chwilę do upicia się!.. on! taki trzeźwy, punktualny, spokojny. Po raz pierwszy się to zdarza i prawdopodobnie ostatni. Wyrzucę go zaraz jutro skoro się wytrzeźwi, bo teraz leży jak kłoda w kuchni i coś bełkoce niewyraźnie.

„Szanowni państwo” schodzą ze schodów, potracając się i popychając wzajemnie. Szary poranek wpływa przez szyby i zagłada im pod czerwone i nabrzękle powieki. Oni śmieją się ciągle, obdarzając niezbyt miłymi epitetami. Przenoszą rozbestwienie gabinetu na ciasne schody i z pod niezdrowego światła gazu wchodzą nie wytrzeźwieni w szare światło dzienne.

Jedna Mańka idzie cicho, otulając się w swej dolman. Jest jakaś przybita; młodzieniec, podobny do hrabiego, zbliża się do niej z umizgiem.

— Idź do dyabła! —odpowiada dziewczyna, odtrącając go od siebie.

CNOTA.
SZKIC DO POWIEŚCI

Coldcream gdzie? W słoicku!

— Ależ gdzie?

— W kosycku!

— A koszyczek?

— W kosu!

— Dobrze!... — i młoda dziewczyna pochyliła się nad szerokim, zamykanym koszem, ustawionym na środku pokoju. Drobna jej postać niknęła wśród cieni, zalegających pokój — cieni, zabarwionych różowym odbiciem światła od jedwabnych zasłon, zwieszających się u okien. Krótka ponsowa spódniczka nie osłaniała dostatecznie nóg dziewczyny, wsuniętych w czarne giemzowe pantofelki, a cała fala łątych, prześlicznych włosów spadała na drobne, wychudłe, źle rozwinięte ramiona, zdając

się przygniatać swą masą tę małą postać kobiecą.

Nerwową i drżącą ze złości ręką przewracała szybko przedmioty, znajdujące się w koszu, szeleściła jedwabiami falban i zanurzała swe palce w masie koronek. Nagle podniosła głowę. Błyskawica strzeliła z jej pięknych ciemnych oczu, przyemionych wspaniałymi rzęsami—usta świeże i różowe rozwarły się, aby dać ujście krzykliwemu głosowi:

— Gdzie lila wstążki?

Pytanie to zwracała do kąta pokoju, gdzie tuż obok gotowalni, opiętej różową gaza i białą koronką, wysoki, barczysty mężczyzna usiłował wtłoczyć wielki damski kapelusz w zbyt małe pudełko. Na głos dziewczyny podniósł szybko głowę.

— Nie wiem — odrzekł, a widząc wcale niedwuznaczny ruch zniecierpliwienia ze strony dziewczyny: — poszukam — dodał pośpiesznie.

I rzeczywiście, potulnie podszedł do komody i z babską cierpliwością wydobywał stopy wstążek, gipiur, szychu, szukając zaginionego przedmiotu.

Dziewczyna popatrzyła na niego długą chwilę, poczem wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

Ściemniło się zupełnie, służąca weszła i rozpałała ogień w piecu. Ponsowe płomienie mieszały się z resztkami dogasającego światła dziennego, oświetlając jasno tapetowane ściany, srebrne toaletowe przybory, białe firanki nad łóżkiem, jaskrawe kwiaty dywanów.

Ogień figlarnie przesuwał się w fałdach portyer, oblewał wielki wizerunek Matki Boskiej, zawieszony nad łóżkiem, i ze zdziwieniem ślizgał się po siwych włosach mężczyzny, pochylonego nad szufladą komody. Człowiek ten szukał bowiem i szukał zapamiętałe.

Już jedne szufladę wyjął i postawił na ziemi, teraz zagłębił się w drugój, wciąż powtarzając:

— Lila wstążka!... wstążka lila!...

Był w tem szukaniu jakiś gorączkowy pośpiech i upór dziecinniałego starca, który, jak za lat młodych, lęka się kary za zgubiony przedmiot. Czoło, porane bruzdami, marszczyło się bezustannie. Ciemne, przygasłe oczy z dziwnem natężeniem starały się wśród purpurowego blasku rozróżnić „lila” kolor. Powoli pot zaczął występować starcowi na czoło, ale on szukał i szukał, zginając się prawie do ziemi. Ogień z pieca palił go i dokuczał mu wielkim żarem, lecz on nic nie czuł, nic nie widział oprócz stosu gałęzi i koronek.

Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi pokoju. Stała w nich młoda dziewczyna, już ubrana i gotowa do wyjścia. Eleganckie futerko ochraniało ją od zimna.

— No i cóż, wstążka jest? — zawołała od progu.

Starzec odwrócił się powoli. Wysoka jego postać, zgięta i skurczona, była typem człowieka, który wiele przewinił i ma ponieść zasłużoną karę.

— Niemal — wyszeptał pokornie. Dziewczyna tupnęła nogą. Ciemne brwi ściągnęła w dziwny sposób, niemiły grymas wykrzywił jej usta.

— Niedolega! — syknęła — powiedziałam ci... Nagle urwała; na progu zjawiała się służąca, więc dziewczyna, na widok świadka, z wprawą wielką złagodziła pochmurny wyraz twarzy.

— Niech mi stryjcio będzie tak dobry i kupi taką samą. Tylko trzeba się śpieszyć, bo to do trzeciego aktu...

Mówiła teraz pieszczotliwie, uśmiechając się nawet. Czerwony blask ognia oświecił ten uśmiech i dwa rzędy białych zębów, prawdziwych zębów pantery.

Służąca zabrała kosz i pudełka z kapeluszami, dziewczyna małą szkatułeczkę z koszt

wnościami i wyszły obie śpiesznie, trzaskając drzwiami.

Na progu jeszcze młoda dziewczyna rzuciła słowa:

— A kuropatwy na wieczór i mandarynki bo już tych ostatnich brakuje.

Po chwili cisza zaległa mieszkanie. Przy komodzie tylko pozostała zgarbiona postać starca, drżącymi rękami układającego rozrzucone drobiazgi. Kosmyk siwych, wypomadowanych włosów opadł mu na spocone czoło i przylgnął jak szrama, w walce otrzymana Głownia wypadła na ziemię i, sycząc, dogasała. On nic nie widział, nic nie słyszał. Powtarzał tylko:

— Kulopatwa, mandalynki, wstążka lila! lila! lila!...

Nagle przestał przewracać koronki i westchnął rozpaczliwie:

— O Jezu! gdzie ja tela lila wstążkę znajde !

Ona była „naiwną,” on był jej stryjaszkiem." Znali go wszyscy—i starzy i młodzi. Gdy zgarbiony, lecz wyświeżony, wsuwał się do krzesel, uczniowie, siedzący na galerii,

przechylali swe głowy, chichocząc się radośnie:

— Stryjaszek! patrz, stryjaszek idzie!

Nawet panie w łóżach uśmiechały się dyskretnie, wzruszając ramionami i z poza wachlarzy wskazywały sobie „stryjaszka" naiwnej.

On tymczasem siadał w swoim krześle zdenerwowany, drżący, pełen obawy o nową rolę, którą umiał całą od początku do końca, a czasem i sztukę całą.

Gdy podniosła się zasłona, a na scenę wy' chodziła jasnowłosa dziewczyna, otwierał usta szeroko, bardzo szeroko i tonął w zachwycie, wydając tylko lekkie wykrzykniki. Lecz gdy „naiwna” zacinać się poczęła, lub wikłała sytuację, zamierał z trwogi i starał się kaszlać, ażeby zwrócić na siebie uwagę publiczności. Każdego z widzów znał dokładnie; nieraz, w nadmiarze zachwytu, chwycił sąsiada za rękaw i szeptał:

— Widzis! widzis! uważaj!...

Czasem mieszał się w tłumy, zasiadające na galeryi, i, sądząc, że go nikt nie zna, pytał naiwnie:

— Co to za panienka, co tak doskonale gra rolę?

A gdy zapytany objaśniał go, on śpiesznie dodawał:

— A! to sławna, to bardzo sławna aktorka... to najlepsza... a jaka podobno zacna, i poczciwa!...

Ludek bawił się dokoła „stryjaszka,” a on, rozgorączkowany i uśmiechnięty, prosił:

— Bijcie brawo, panowie uczniaki, bijcie razem ze mną!...

Po przedstawieniu czekał długo, chodząc po śniegu dokoła oświeconych okien damskiej garderoby, i co chwila spoglądał, czy „jego mała” nie idzie.

Tymczasem rozgrzewał zziębnięte nogi, drepcząc na miejscu, i macał z zadowoleniem paczki łakoci, pomarańcz i pralinek... Czy był to łańcuch, założony na szyję dobrowolnie przez niego samego? Zdaje się, że... tak. Nie skarżył się nigdy, nie żalił, zawsze usłużny, chętny, podtrzymywany dziwną namiętnością starca do tego, co jeszcze młode i do życia uśmiechnięte. Jej kaprysy, despotyzm i zachcianki znosił z anielską łagodnością, wpatrując się w falę jasnych włosów lub siwych oczu promienie. Drżał cały, gdy się zbliżała ku niemu,—przygasłe źrenice odnajdywały blaski dni młodzieńczych; gdy się oddalała, gasły te blaski, pozostawało tylko drzenie, przechodzące powoli w stan chroniczny.

Ona znała swą władzę i nadużywała jej w dziwny sposób. Przy ludziach słodka i uprzejma, zdawała się być uległą i kochającą „siostrzenicą,” lecz gdy zostali sami, we dwoje, przemieniała się w małą hyenę. Drogo kazała opłacać nazwę „stryjaszka,” Chrupała kuropatwy, połykała mandarynki i cukierki z miną znudzonej królowej, nie racząc spojrzeć na schylonego u stóp jej starca. Zaciśnięte tylko usta wykrzywiała uśmiechem pogardy i od czasu do czasu rzucała krótkie, urywane rozkazy... Wobec świata drobniała ona i pokorniała przy nim, a gdy byli sami, „naiwna” rosła w olbrzyma — „stryjaszek” stawał się pyłkiem.

Żyli tak już długo... lata całe. Ona miała duże butony brylantowe w uszach, on coraz

więcej siwych włosów. ?renice jego stawały się coraz mętniejsze. W dniu benefisu przygotowywał jej wspaniałe bukiety z wstęgami, na których nalepiał i układał napisy. Mózg schorowanego starca silił się na dwuwiersze koszlawe, chrome, tak jak i cała jego postać.

Ona stawała się coraz bardziej wymagającą. Prócz kuropatw i mandarynek, chciała

być... szanowaną. „Stryjaszek” musiał nabyć i ten towar, który ostatecznie także kupić można. Na wieńcach przeto i szarfach pojawiały się napisy, robiące aluzje do tego „szacunku” i „czci,” jaka otacza jasnowłose dziewczętą, chowane pod skrzydłem matki.

Zajrzyjmy na chwilę do pokoju, w którym po raz pierwszy ujrzeliśmy „stryjaszka” i „siostrzenicę.”

Noc... przyemiona błękitnym motylem lampa stoi na stoliku przed małą kanapką. Wszystko tonie w tym miłym półcieniu; poza firankami, na poduszkach, obszytych koronką, spoczywa głowa dziewczęcia z rozrzuconą dokoła kaskadą jasnych włosów. Dziewczyna zasypia, przymykając powoli swe wielkie, szare źrenice.

W błękitnawym blasku jest ładną, nawet bardzo ładną, choć drobne i chude członki okryła atlasową kołdrą. Co chwila otwiera leniwie oczy i spogląda na siedzącego koło stolika starca.

On, schylony i drżący, wycina ze złotego papieru litery, układając je kolejno na leżącej przed nim wielkiej białej wstędze. Jest to wstęga do bukietu, stanowiącego część „owacyi,” jaką jutrzejszej benefisantce wyprawi... publiczność. Złote litery rozsypują się co chwila po dywanie — starzec przykłęka

i zbiera je, spoglądając z trwogą w stronę łóżka.

— A pamiętać — odzywa się współsenny głos dziewczyny, — aby napis był tak, jak ja sobie życzę...

— Dobrze, aniołku — odpowiada mężczyzna, zabierając się do wycinania wspaniałego „H.”

Napis już gotów.

— Ho! cnotcie, talentowi i skromności! — sylabizuje stary, uszczęśliwiony ze swego arcydzieła.

— Gotowe! — woła nareszcie, klaszcząc w dłonie z radością małego dziecka.

Dziewczyna, drzemiąca na dobre, roztwiera znów swe szare źrenice.

— A „cnota” jest?—pyta, wyciągając się wśród koronek i batystu.

— Jest, aniołku, jest!...

I TACY BYWAJĄ....

I jak ogniki na bagnisku płoną!...

Wiktor Gomułki.

...posądzą mnie o donkiszoteryę. Niech sobie!... Los pozwolił mi być świadkiem wielu cichych poświęceń, z bohaterstwem graniczących niemal. O! biedne, zbolełe mary! świat dla was ma nieraz tylko uśmiech i żart na ustach. Pod świecącym łachmanem scenicznej nędzy jakże piękne serca się kryły!... Maski waszej twarzy, warstwą szminki pokryta, nieraz szlachetną łzą świeciła! Szlachetne! piękne duchy!... ciało wasze kryje zimna mogiła... wianki na niej śmieją się do grobowych krzyżów!... marmurowe mauzolea koronkowych szczytów ku niebu nie wznoszą. Darujcie, iż na chwilę poruszę wasze biedne trumny, uniosę wieko i do życia was powołam, a ludziom, tym, którzy w was tylko śmiesznych komedyantów widzieli, bez błazeńskiej szaty, bez dzwonek kłownowskich was pokażę. Wstań

cie wy, lilie w bagnisku wyrosłe! wy, perły, błyszczące wśród śmieci, raz jeszcze jeden stańcie wśród nas po to, by nie uśmiech bezmyślny, lecz żal

w sercu obudzić. Potom wam spać pozwolę, spać długo, bez końca!
Ziemia wam lżejszą będzie, niż szyderstwo świata, bo ja wiem, czuję, jak
wam wśród ludzi było nieraz łzawo! smutno! ciężko!...

I.

Dla Mani...

Przesuwała się tak cichutko w garderobie, że chwilami aktorki zapominały
o jej obecności. Wchodziła lękliwie, bojaźliwie, zajmując najgorszy kącik
tuż przy drzwiach prawie.

Ustawiała nadtłuczone lustro, opierając je o koszyk, wyjmowała słoik z
waseliną, papierek z karminem i zgniecioną blaszaną puszkę z pudrem.

Poczem zdejmowała wyszarzane okrycie i wieszła je na kołkach, pytając
rozpartych pod ścianami służących: „czy tu można?”

Aż gdy znalazła wolne miejsce, rozpoczęła wyjmować z kosza suknie,
biedne, stare, przerabiane, lub upstrzone pękami wstążek staniki.

Wieszając, oglądała się na wszystkie

strony, czy komukolwiek nie przeszkadza, usuwając się młodszym
dziewczynom, które z szelestem króciutkich spódniczek kręciły się po
ciasnej przestrzeni, rozlewając dokoła bielidło, rozrzucając tumany pudru i
setki szpilek.

Wszystkie te kobiety rozmawiały pomiędzy sobą, śmiejąc się, śpiewając,
kłócąc naprzemiany.

Teatr był źle zbudowany, garderób prawie nie było. Zapomniano o nich w
pośpiechu. Przerobiono więc rekwizytornie i kazano się wszystkim
kobietom razem ubierać. Mężczyzn umieszczono na piętrach.

Gwar więc wylewał się całymi potokami z tych ciasnych izdebek, w
których szmer głosów kobiecych, szelest spódnic, syk płomieni gazowych
mieszał się z wonią mydeł i swędem spalonych włosów.

Na ścianach blade kolory atlasów mieszały się z ostremi tonami welwetów
i delikatnemi fałdami iluzyjnych welonów. Tu i owdzie sztuczne róże

gniotły się, ocierając o ścianę, na której porozpinano wielkie kawałki kretonu lub prześcieradła, czasem w pośpiechu od kołder odpięte. Sukienka baletowa, jak balon z tarlatanu wydęty i srebrną rosą zmoczony, sterczała, przypięta szpilką podwejną do zrudziałego

płaszczyka, kryjącego swą nędzę w fałdach błyszczących tkanin. Kobiety siedziały rzędem przed stolikami, z oczyma utkwionymi w stojące przed nimi lusterka. Lusterka te dla baczego obserwatora były najdoskonalszym świadectwem sposobu życia aktorki. Są tam lusterka „porządne,” oprawne w dębowe ramy, bezpretensjonalne, niezmiernie dobrze wytarte. Inne mają minki strojnych w plusz kokietek, weneckie, kryształowe, mówią, że właścicielka jeździła... daleko. Wielkie, w srebro oprawne lustro „naiwnej” opowiada o staranności, jaką ją otacza... stryjaszek; kawałek nadtłuczonego szkła naśladuje lustro subretki, która miniową szminką smaruje monogramy na swych wybladłych policzkach. Od stolika podnosi się chuda, drobna dziewczyna z kaskadą płowych włosów na nagich ramionach; powoli, systematycznie wdziewa różową bareżową sukienkę, sukienkę dziecka, rozszerzoną na ciało trzydziestoletniej kobiety. Poczem, założywszy jeszcze fartuszek z szeleczkami, zaczyna swą wieczną wędrówkę po garderobie, pytając każdą prawie sługę:

— Czy jestem dobrze ucharakteryzowana?

Nikt jej nie odpowiada—wszyscy się śpieszą; z poza drzwi źle przymkniętych słychać dzwonek inspicjenta; w kącie tęga i dziobata aktorka krzyczy mdlejącym głosem na wystraszoną sługę:

— Psia krew! cholero!... gdzie flakon z wodą kolońską? — a potem, zwracając się do towarzyszek, dodaje:—żyć bez wody kolońskiej nie moge...

Kilka znaczących chrząknięć jest na to odpowiedzią. W samym kącie, tuż obok lustra, zawieszonego na ścianie, ziewa stara kobieta, niedawno czczona jubilatka; drapie sługę za to, że jej imitację uryańskich pereł podała zamiast weneckich. Tłusta, ordynarna dziewczka wytrzeszcza swe oczy na rozirytowaną staruszkę, która zawzięcie smaruje gors bielidłem, mrużąc ku słudze skierowane przekleństwa: — Bodaj cię piorun rozszarpał na dwoje! — co wprawia w niemalą wesołość siedzącą obok silną brunetkę, wciągającą właśnie trykoty na kształtne nogi.

Tak zwana statystka, która przed chwilą weszła do garderoby, opowiada paniom „artystkom” o cudownej kabalarce, mieszkającej na Chwaliszewie, która za cenę kilkunastu fenigów przepowiada przyszłość.

Dziobata aktorka z miną zdetronizowanej królowej objawia, ii ona „bojałyby się badać, bo wie, że co Menezis zechce, to i nie minie!..”

Przeciągły, chóralny śmiech odpowiada na podobne słowa; dobry humor ogarnia wszystkie te kobiety, posmarowane tłustymi farbami, ściśnięte w gorsety, z nogami wyciągniętymi daleko pod rzędem stołów.

Ta „baronowa” ma zawsze sposób mówienia: a niechże ją!...

Jedna „naiwna” krąży ciągle pomiędzy armią sług, krąży jak żyd wieczny tułacz, pytając ciągle: „jestem dobrze ucharakteryzowana?” Pod ścianą, koło drzwi tylko cicho, spokojnie. Aktorka tam siedząca już się ubrała i teraz siedzi, patrząc wybladłymi oczyma na płomień gazu, przedzierający się przez stłuczone szkiełko.

Drobna jej twarz, zmarszczona, ma dziwnie regularne rysy, skrzywione jednak jakimś wewnętrznym cierpieniem. Bielidło odznacza tylko bruzdy i zmarszczki dokoła nosa i oczu, róż tworzy chorobliwe ceglaste rumieńce na policzkach.

Włosy blond, starannie ufryzowane, przysypane pudrem i przystrojone różami, mają w swych złotych cieniach jakąś dziewczęcą świeżość, coś pozostałego z młodości i wdzięku tej kobiety.

Biała jedwabna suknia ubogimi fałdami okala wychudłą postać, tak wychudłą, że prawie szkieletem jeno zwaćby się ją godziło. Girlanda z róż okala wycięcie stanika; z poza tych różanych kwiatów sterczy deka piersiowa, cienką tylko powleczone skórą. Szyja pomarszczona, ustrojona w trzy rzędy fałszywych pereł i iluzyowe froufrou, biedna, cienka szyja wynędzniałej kobiety, kurczy się co chwila w jakiejś czkawce nerwowej. Ręce chude, przecięte żyłami, mną nerwowo zapisany świstek, na którym wielkimi literami wypisano:

„Rola margrabiny Villafrancha.”

Na boku czerni się dopisek, snąc ołówkiem reżysera zrobiony:

„Pani Maryszewska.”

Drugi dzwonek dał się słyszeć, przeciągły, jęczący.

Chuda kobieta drgnęła, oderwała oczy od gazu i zaczęła czytać półgłosem rolę, powtarzając machinalnie:

— Pięćkroć, które daję mój córce, margrabiance Villafrancha, są za ledwie częścią tego, co dostanie po mej śmierci...

Frazes ten błakał się ciągle na jej spieczonych wargach, pociągniętych silną warstwą sproszkowanego karminu.

— Pięćkroć, które daję mej córce...

Teraz urwała nagle i jakby sama do siebie powtórzyła:

— Mejr córce... pięćkroć!...

Rola wysunęła się z jej ręki i utkwiała w koronkowej falbanie, wzrok powrócił machinalnie w stronę gazu.

Kobieta znów milczała, pochłonięta zwykłą swą zadumą.

Lecz dokoła niej gwar i hałas potężniał coraz więcej. Z poza drzwi dolatywały brzęki ostróg i szybkie kroki mężczyzn, zbiegających po schodach na scenę.

Ochryple głosy maszynistów mieszały się z krzykiem reżysera, przyciszony śmiech zaczepionej na schodach służącój — z piosenką, śpiewaną w jednej z oddalonych piętrowych garderób.

Aktorki, potracając się wzajemnie, kładły długie suknie, płacząc i mieszając treny, pożyczając sobie wzajemnie szpilek, kawałków gazy lub igieł z resztkami nici.

Na podłodze w masie jedwabiu i koronek tonęły sługi, upinając treny, podszywając baleuzy, wyrywając sobie jedne parę nożyczek i kawałek białej tasiemki.

Subretka malowała sobie nozdrza, a staruszka jubilatka zakrywała zbyt wycięty stanik kawałkami koronki.

Aktorka dziobata wycierała ręce opoponaxem, mrużąc oczy z dystynkcyą nieźrównaną.

Nagle, jakby sobie coś przypomniawszy, porwała się z miejsca.

— Rejent Milczek! —zawołała—gdzież jest rejent Milczek?

Chuda, milcząca kobieta drgnęła i oderwała oczy od gazu.

— Jestem tu! —wyrzekła nierównym, drżącym głosem.

— Pokaż się pani!—wołała tamta—niechże zobaczę ten panache, który kupowałaś dziś na Wodnej ulicy... Powiadam paniom, panache jak... dynia, z samych strusich piór.

Wszystkie aktorki zwróciły oczy na Maryszewską, tulącą się do swego kącika.

— Gdzie panache? gdzie?—pytały.

W oczach im migotały blaski, jakie mają zwykle kobiety na widok nowości toaletowej.

Maryszewska jednak nie odpowiadała — szukała teraz nerwowo roli i, znalazłszy ją, czytać zaczęła.

— Zapłaciła dwa talary i nie ubrała się... skąpica!...

A subretka, przypadłszy prawie na kolana, zawołała:

— Gdzie panache?... pokaż pani!... pokaż!... Maryszewska zniecierpliwiona poruszyła się na krześle.

— Kupiłam, prawda!—odrzekła powoli— ale nie dla siebie!...

— Dla kogo? dla kogo? — nalegano ze wszystkich stron.

Ona uśmiechnęła się teraz łagodnie, rzewnie prawie,

— Dla... Mani.

Kobiety zamilkły na chwilę.

Lecz ona mówić teraz zaczęła.

Tak! dla Mani kupiła panache do kapelusza, a wczoraj sukienkę i pończochy półjedwabne, długie, za kolana. Wszystko granatowe, do garnituru. Chodzi jej teraz tylko o płaszczyk i parasolkę. Mania będzie wystrojoną na całe lato! Och! zobaczą wszyscy, jaką ma ładną córkę!... bo skoro tylko przyjadą na letni sezon do Warszawy, ona córkę przyprowadzi na próbę i zaprezentuje. Pisała wczoraj do niej, prosząc o pieniądze na zeszyty i szarfy popisowe. Już jest w drugiej klasie... mój Boże!.. choć ma dopiero jedenasty rok. Duża jest bardzo na swej wiek, wygląda co najmniej na trzynaście lat.

I umalowana aktorka promienieje nagle pod wpływem uczucia, które jej wychudłą pierś podnosi. Ożywia się, mówi prędko, chwilami tylko rękę do czoła przykładając; wyblakłe oczy mają jakiś połysk, uśmiech usta rozchyła.

I wszystkie inne aktorki słuchają jej z uśmiechem.

O, taki znają one dobrze tę „Manię,” chowającą się na pensyi w Warszawie. Słyszą o niej bardzo często, bo Maryszewska tak chętnie o niej opowiada. I teraz słuchają wszystkie, ogrzane nagle tem ciepłem macierzyńskiego uczucia, objawiającego się w atmosferze teatralnej garderoby.

I mieszają się do rozmowy, zapominając o wkładaniu rękawiczek, bieleniu rąk, przyklepaniu muszek—powoli dając się ogarniać tym troskom matczynym, zapominając o swem rzemiośle dla budzącej się kobiecości. Maryszewska właśnie mówi o skrofułach, które się pokazały za uszkami Mani.

— Na to najlepszy Iwonicz—wyrokuje jubilatka.

— Tak, tak, Iwonicz!—potwierdza subretka, która przyklękła prawie na trenie Maryszewskiej, a smarując przód jej sukni ubielonemi rękami, pyta:—Mania... blondynka? co?...

— Tak, blondynka!

— A ładna?...

Maryszewska się uśmiecha.

Miły Boże! Czy jej Mania ładna? Ależ tak — i to bardzo!... O! nie dlatego, że ona jest matką, mówi w ten sposób — nie! Ale

każdy będzie mógł osądzić, czy ona przesadza. Mania ma już teraz śliczne włosy, oczy, rysy—a cóż to będzie, gdy się uformuje! Przytem sprytna, rozmowna, dobrze ułożona. Będzie guwernantką... aktorką, broń Boże!... Mania musi być od niej szczęśliwszą... o! tak! szczęśliwszą bezwarunkowo.

Teraz powoli wszystkie aktorki otoczyły Maryszewską ciasnym kołem. Ten kącik koło drzwi zapełnia się strejnami i pięknymi damami.

Wszystkie się uśmiechają, a purpurowe ich wargi odcinają się ostro od upudrowanych twarzy.

Ta „Mania” to czysta „córka regimentu”—wszystkie się nią interesują, odczuwają w głębi swych istot jakąś nieprzewartą potrzebę zajmowania się dziećmi, pełne chęci zaspokojenia choć częściowo chybionego powołania kobiety.

Maryszewską ożywiona podnosi głos, rzuca pod stół rolę margrabiny Villafrancha i, podnosząc się z krzesła, pokazuje teraz koleżankom wysokość wzrostu Mani.

— O! prawie mi sięga pod pachę—mówi, wyciągając swą chudą rękę; lecz nagle przymyka oczy, twarz jej kurczowo się wykrzywia i z głuchym jękiem upada na krzesło, ginąc w powodzi róż i zżółkłych jedwabów.

Aktorki przerażone pochylają się nad nią, rozpinają stanik, podają wodę kolońską.

Całe dobre serce tej cygańskiej dziatwy ujawnia się w tej chwili.

Strwożone, ze łzami w oczach, starają się przyprowadzić Maryszewska do przytomności.

Jedna z nich wysyła służącą do cukierni po kieliszek koniaku, druga po herbatę lub bulion.

Ona jednak, zsiniała cała, wije się w jakichś strasznych boleściach, szarpiących jej wnętrzności. Róże z włosów jej wypadają, rozpięty stanik ukazuje pierś wyschlą jak zapadła mogiła.

Głowa pochyla się na prawo i lewo, jakby szukając oparcia—z oczu wielkie łzy cieką.

Aktorki smutno patrzą po sobie.

Nie pierwszy to raz kobieta ta pada im na ręce, jęcząc i wijąc się z bólu.

Raz przywołany doktor oświadczył, iż jedynie tylko troskliwe odżywianie i ciągłe pielęgnowanie może ją przy życiu utrzymać — wewnątrz tkwi bowiem straszny zarodek złego, niosący ze sobą zniszczenie i śmierć.

Lecz ona uśmiechnęła się tylko i dalej wiodła swe życie— życie matki, dla której „córka” jest wszystkim.

I teraz, widząc, że aktorki chwytają z jej kosza ciepłą wełnianą chusteczkę, aby natrzeć

jej sztywniejące ręce i nogi, z najwyższym wysiłkiem szepce:

— Nie ruszajcie!... to... Mani!... Życie jej było tak smutne, jak płomyk spirytusowej maszynki, na której gotowała sobie obiady. Były to tak ubogie, nędzne posiłki, tworzone cudem z resztek, pozostałych z dnia poprzedniego, że zagadką prawdziwie było, w jaki sposób ta kobieta trzyma się na nogach. Pensye miała wypłacaną najregularniej i stosunkowo niezłą na jej sceniczne uzdolnienie.

Lecz „Mania” pochłaniała wszystko. To słabe, wątłe dziewczę, chowające się daleko, w murach pensyjnych, potrzebowało wiele, zabierało bezwiednie wszystko... odejmowało matce kawałek pożywniejszej, a tak koniecznej strawy. Mania była celem jej życia, szczęście córki—ideałem, do którego dążyła. W zimnym i pustym pokoiku, ponad ubogiem łóżkiem Maryszewskiej, w tanich pluszowych ramkach śmiało się młode dziewczę, strojne w elegancką sukienkę. Maryszewską, powróciwszy z teatru, zdejmując z siebie pocerowane spódniczki, robiła znak krzyża nad fotografią pensyonarki, a zmuszając się do przełknięcia szklanki czystej

herbaty, uśmiechała się do dziecka, które w marzeniach swoich widziała bogate, wykształcone, szczęśliwe...

Czasem obok złotej główki Mani mignęła w jej myślach twarz inna, twarz mężczyzny, z tych zdrowych, silnych egoistów, którzy swoje „ja” tak wysoko cenią!—twarz człowieka, który, zmieniawszy z nią ślubną obrączkę i serce, odebrał jej serce, a zostawiwszy obrączkę i dziecko, poszedł w świat, nie troszcząc się, co robić będzie porzucona kobieta... lecz widziadło to znikło szybko. Snać samolub nawet w wspomnieniach nie chciał dłużej gościć w tym biednym pokoiku, obok wychudłej, znękaney kobiety, której zapadłe policzki i jęk siłą woli tłumiony raził jego nadmiarem siły i zdrowia tryskającą postać.

Pusto było i ubogo w tym pokoiku, pusto i ubogo w koszach, zawierających sceniczną garderobę aktorki,—lecz w osobnych szufladkach komody leżały codziennie prawie skupowane ubrania i bielizna dziecinna. Nierzadko ozdobna książeczka złociła się wśród stosu koszulek, hafty spódniczek mieszały się z różową mora zeszytów.

W podłużnym pudełeczku duńskie rękawiczki służyły za podkładkę ołówkom i ozdobnym piórom lub wiszorkom.

I wszystko to było dla... Mani!

Co wieczór Maryszewska otwierała komodę i przeglądała te skarby. Ze śladami różu na twarzy, z głową upudrowaną, z gałązkami

mchu lub konwalij we włosach, pochyliła się drżąca z zimna nad szufladą, układając, przyciskając fałdy sukienek, przeglądając książki, uśmiechając się do obrazków...

Czasem brakło nagle nafty w maluchnej lampeczce i światło gasło powoli, pozostawiając kobietę w ciemności zupełnej; czasem herbata, nalana i stojąca na rogu komody, wystygła zupełnie na podobieństwo mętneho żuru... lecz Maryszewska nie dostrzegąła tego wcale.

Była tak szczęśliwą, kupiwszy dla Mani długie włóczkowe kamaszki, że jej własne skurczone nogi zdawały się w tej ciepłej wełnie rozgrzewać i nie czuć przenikliwego zimna, panującego w izdebce.

Jeśli nafty starczyło, aktorka wyjmowała z szuflady paczki listów, zabazgranych śmiałem, choć dziecinnóm pismem, kreślonóm w „dwóch liniach”—i, kiwając głową, czytała po raz setny te korespondencye. zaczynające się od słów: „Kochana Mamo,” a kończące się zawsze jednakowo: „tata nic nie pisał...”

Czasem znów przy świetle tej małej lampki zaczynała przerabiać sceniczną swą garderobę, chcąc się zastosować do wymagań mody. Pruła więc i zszywała napowrót, ocierając łzy, które mimowoli wzrok jej zasłaniały. Bolały ją oczy, popsute od gazu i podkreślań tuszem, zresztą bolało ją wszystko—

całe ciało, każdy mięsień, każda kosteczka. Nie skarżyła się przecież nigdy, kryjąc się we framugi bram, gdy na ulicy iść dalej nie mogła,— czepiając się kamiennych murów, lub przebywając na czworakach schody, gdy nikt tego nie widział. Chwilami przecież traciła przytomność, wijąc się w szalonych boleściach, które szarpały jej wnętrzności, oblana łzami i potem, drząc, aby wiadomość o jej chorobie nie doszła do uszów dyrekcji, a tem samem nie sprowadziła jej dymisyi.

Byłby to dla niej cios śmiertelny; tułając się lata całe po prowincjonalnych scenach, tak mało dla dziecka swego oszczędzić mogła! Lata całe dobrowolnego głodzenia się i odmawiania sobie

najniezbędniejszych potrzeb zamieniły ją w szkielet, trawiony śmiertelną chorobą. Teraz... zabłysła dla niej szczęśliwsza gwiazda—zaangażowano ją do stałego teatru... Mania mogła być wreszcie pomieszczoną na pensyi! Lecz straszna, śmiertelna dręczyła ją trwoga. Choroba, pożerająca jej organizm, wyniszczała ją z dniem każdym. Gdy stała na scenie w pełnym świetle gazowem, przystrojona w róże i białe jedwabie, robiła wrażenie zniszczonego grobowca, który litościwa ręka. w noc Zaduszną przystroiła w kwiaty i błyszczące światełka...

Publiczność krzywiła się; damy, siedzące po łóżach, wzruszały ramionami; studenci na parterze śmieli się głośno... a ona stała, jak skazana na karę pręgierza, skrzywiona w bolesnym uśmiechu, usiłująca rzucać kokieteryjne spojrzenia na nalepioną brodę scenicznego bohatera... nędzna w swem poniżeniu, czująca szyderstwo i niechęć publiczności, a przecież tak wielka! tak wspaniała miłością macierzyńską, dla której wszystko poświęciła!... A gdy mówiła, wachlując się z dystynkcyą: „jako, wicehrabio?... więc mnie uwielbiasz?”—oczy jej, te biedne, zmęczone oczy schorowanej kobiety, śledziły z niepokojem chmurną twarz dyrektora, rozpartego w pierwszym rzędzie krzeseł i zdającego się nienawidzić ją poprostu.

W twarzy tej czytała jaknajwyraźniej słowo jedno, straszne, zabójcze... Dymisyą!...

Prostowała się wtedy w rozpaczliwym wysiłku, poprawiała fałdy sukni, nasuwała koronkę na wychudłe ramiona...

Napróżno!...

Dymisyą była dokoła niej—dymisyą w litościwych spojrzeniach koleżanek, w szyderczych uśmiechach kolegów, w lodowatym chłodzie, z jakim publiczność przyjmowała jej każde pojawienie się na scenie!

O! gdyby mogła stanąć tak tuż przed kinkietami i zamiast słów roli wypowiedzieć to, co ją udręcza,—powiedzieć tym niemiłosiernym ludziom, o aksamit ramp opartym, że ona nie dla siebie, nie z własnej rozkoszy maluje twarz szminkami i zbolące ciało w sznurówkę wciska! Że jeśli jest tak blada, wychudła, smutną... jeśli mówiąc: „więc, panie wicehrabio, pan mnie naprawdę uwielbiasz?” nie ma zalotności upudrowanej kurtyzany, to dlatego, że... od lat tyłu idzie przez życie sama, opuszczona, znieważona w uczuciach żony, mając troskę o dziecko za całą życia osłodę...

Więc nie powinna mieć z końcem roku dymisyi... o! nie, przez Boga żywego!... jeśli nie dla niej, to dla... Mani! dla... Mani!

Co ma się stać, nie minie.

Z końcem sezonu teatralnego dyrektor nie wezwał Maryszewskiej do odnowienia kontraktu.

I rozpoczęła znów biedna kobieta ciężką wędrówkę po małych prowincjonalnych miasteczkach, w których na wiadomość o przy. byciu teatralnej trupy zamykają się hotele i zajazdy żydowskie.

Wówczas na głównej ulicy stoją wozy, wypakowane kuferkami i koszami, pomiędzy którymi, oparte o kanty, drzemią znużone aktorki, zbite, stłuczone forsowną jazdą na niewygodnych wózkach lub w smrodliwych wagonach trzeciej klasy.

Nierzadko pomiędzy niemi widnieje główka dziecka, przytulonego do matki, dziecka, zrodzonego pomiędzy płótnami kulis i mającego na twarzyczce wypiętnowany jakiś grymas kłownowski, to „coś,” z czym dzieci aktorskie na świat już przychodzą...

Często deszcz leje strumieniami, moczając dery, maty, kawałki płócien, którymi aktorki osłaniają kosze w śmiertelnej trwodze o zniszczenie „rzeczy.” w koszach tych zamkniętych.

Mój Boże!... wszakże to lata całe nędzy i niedostatku, wszakże to owoc głodzeń się i wszelkich prywacyj te łachmanki, oszyte koronkami,—te kostiumy operetkowe, nieraz kosztem łez i wstydu nabyte,—te fartuszki naiwne, za grosz hańby kupione!... Czasem śnieg wśród mroźnej nocy sypie gęstymi płatami—wozy stoją wciąż na środku ulicy, nie mając gdzie zajechać; furmani drwią i wymyślają... tylko kobiety siedzą cicho jak statuy, otulając się w zniszczone okrycia... tylko dzieci zdają się być nieczułymi bryłami na zimno i brak dachu...

Dyrektor tymczasem biega za wynalezieniem schronienia. Płaci w dwejnásób i gotówką, często futro z pleców zrzuca, często chwyta okrycie żony i w zastaw właścicielowi hotelu daje.

Czasem którykolwiek z aktorów oddaje swej zegarek, często która z kobiet obrączkę z palca ściąga.

Wreszcie wozy ruszają i wszystko znika.

Od lat dwóch Maryszewską wiodła już takie życie, życie ciężkie, gorzkie — pełne nędzy i upokorzeń.

Jeśli, będąc w stałym teatrze, łożąc wszystko na wychowanie córki, odmawiała sobie wszystkiego—cóż teraz dziać się z nią musiało! teraz, gdy o stałej pensyi mowy być nie mogło... teraz, gdy hotele i restauracje pochłaniały całe dochody z przedstawień teatralnych!

A jednak, mimo to, kobieta ta dokazywała niemal cudów.

W nędzy robiła oszczędności! Mania miała jeszcze sukienki, buciki, chodziła na pensye!

Na doktora, lekarstwa, znalazły się pieniądze.
Dziewczę rosło, rozwijało się jak kwiat! Lecz jak kwiat, pozbawiony
ożywczych soków, zwiędła matka, dając swe życie, krew serdeczną dla
córkę.

Pargaminowa skóra pokrywała jej kości, za każdym krokiem zdawało się
słyszeć klekot szkieletu... Gdy wlokła się do garderoby na wieczorne
przedstawienia, żydówki, kręcące się po zajazdach, oglądały się z
politowaniem; ona szła mimo nich zgarbiona, drżąca, w ciągłych kurczach
wewnętrznych, ściskając konwulsyjnie nadłamaną rączkę parasolki.
Twarz jej miała zielonawą barwę, właściwą ludziom, będącym blisko
grobu.

Prosty lud nazywa taką cere „ziemią przysypana...”

Często teraz padała na ziemię, wijąc się w konwulsyjnych boleściach, lecz
się z chorobą swą już nie kryła, nie lękając się dymisyi.

Zanadto dyrektor zaległ jej gaży, aby mógł nie odnowić kontraktu.

Wreszcie tego rodzaju engagement znajdzie wszędzie. Pożywieniem jej
były zupki, gotowane na maszynie—zupki, złożone z bułek, wody,
kawałków wędliny. Czasem jadła bułkę z musztardą, pozostawioną przez
którąkolwiek z koleżanek—czasem dzień cały żyła czekoladkami,
nadesłanymi dla „naiwnej” do garderoby.

Wodę piła ciągle, oszukując w ten sposób głód i gasząc ogień, który ją
pożerał wewnętrznie—chwilami zdawało się, że ma wewnątrz rozpaloną
pochodnię*.

Wpijała wtedy paznokcie w swe chude piersi i chwytiała powietrze, jęcząc chrapliwie...

Czuła, że życie z niej ucieka, a przecież żyć chciała!... musiała!... O! nie dla siebie— dla... Mani!

Ósma wybiła.

Publiczność z wolna schodziła się do teatru stając małymi grupami, rozmawiając w przedsiionku.

Woleli bowiem wszyscy chodzić po śniegu, rozgrzewać się choć w ten sposób, niż siedzieć w nieopalonym teatrze, kostniejąc z zimna w przemarzłej atmosferze sali.

Za kurtyną gwar był niemały.

Grano kostiumową sztukę ludową, a aktor, zwłaszcza prowincjonalny, odżywa, gdy sukmanę na grzbiet wdzieje.

Ubierano się za kulisami, rozdzieliwszy przestrzeń na dwie połowy podartą firanką.

Garderób nie było.

Aktorki dzwoniły masą szklanych paciorek, szeleściły spódnicami, klnąc zimno i złą budowę teatru.

Wstawiony żelazny piecyk nie rozgrzewał, lecz tylko wydzielał swąd nieznośny, od którego mdłości porywały.

Poprzyczepiane na stołach świeczki tworzyły dziwny widok—paliły się pomiędzy stosami szychu, wstążek i świecideł, odbijały się w potłuczonych lusterkach, mnożąc swą liczbę do nieskończoności.

Z poza firanki słyhać było głosy mężczyzn, rzucanie butami, przekleństwa lub gardłowy śpiew tenora.

Wszyscy drżeli z zimna; ukarminowane wargi aktorek trzęsły się, wyrzucając kłęby pary; ręce siniały pod bielidłem, nogi kurczyły się, kryjąc się w fałdach krótkich spódniczek.

Co chwila słyhać było:

— Jezus Maryja!... to psie zimno! Czasem skargi wybuchały gwałtowniejsze,— wówczas z poza firanki dawał się słyszeć schrypnięty głos mężki:

— Cicho! hołoto Branickiego!

Wreszcie teatr napełniać się zaczął, orkiestra zagrała fałszywie polkę, ze sceny dolatywał skrzyp opuszczanej ławki lamp.

Z poza firanki mignęła ręka suflera:

— Pani Maryszewską, proszę o egzemplarz! Z kącika około pieca podniosła się powoli

Maryszewską i z pod połatanej siermięgi dobyła zeszyty sznurkiem egzemplarz.

Była tego dnia dziwnie zmieniona—rysy twarzy wyciągnęły się, nos zarysował się ostro*

Chwilami oczy jej zaszuwały się za powieki i tylko zżółkłe białka migwały w mdłym świetle świeczek.

Jednak przyszła w oznaczonym czasie i z najwyższym wysiłkiem włożyła na siebie wiejskie łachmany.

Twarzy jednak umalować nie zdołała.

Farby wypadły z jej drżących palców — mgła wzrok zasłaniała.

— Nie ucharakteryzowałaś się pani! —krzyknął sufler, odbierając egzemplarz.

Maryszewska machnęła ręką.

— Nie warto!... wreszcie... kończę w pierwszym akcie... —odparła i, trzymając się stolików, wysunęła się za kulisy.

Tam upadła na kawałek pniaka i pozostała tak nieruchoma, oczekując swej kolei.

Gdy wreszcie wyszła na scenę, grając Motrunę w Dziewczęciu z chaty już wejściem samom zrobiła silne wrażenie.

Majestat śmierci bił z jej pokurczonej postaci. Kir jakiś żałobny otulał ją całą, drżącą, zalaną łzami, gdy głosem urywanym, chrapliwym, błagała Ratajów o opiekę nad sceniczną swą córką.

Cała treść życia tej nieszczęśliwej skupiła się w tej chwili w rozdzierającej prośbie, jaką słała ze sceny w dal mroźną ze stygnącym oddechem na sztywniejących ustach.

— Skoro ja umrę.... co się z córką mą stanie?—pytała, łamiąc rękę.

Cisza uroczysta panowała w sali.

Tak wielką była ta rozpaczna troska konającej matki, że widzowie siedzieli na swych miejscach nieruchomi, czując tragedię śmierci, która powoli ze sceny ku nim spływała.

To nie aktorka klęczała przed nimi... to matka, która odejść musiała w dal ciemną i zostawić na ziemi sierotę... córkę ubóstwianą, dla której kosztem swego życia wywalczyła dobrobyt na świecie.

Po skończonym akcie podniosła się Maryszewską z ziemi; gorące oklaski rozlegały się za kurtyną, lecz ona uczepiła się kulisy i próbowała skierować się ku garderobie.

Przytomność jednak ją opuszczała, bo kilkakrotnie zachwiała się, obdzierając stare płótno, którego się czepiała.

Wreszcie, zatoczywszy się, runęła na ziemię, wydając jęk przeciągły, bolesny, kurcząc się i kryjąc w całej masie przystawek i obszarpanych płócien.

Tam leżała, rwąc na sobie zgrzebną koszulę, w którą była przyodziana, bijąc się o kanty, o łaty i świdry, którymi dekoracje bywają podlepiane.

— Boże!... Boże!...—wołała.

Lecz huczny marsz turecki, grany w tej chwili przez orkiestrę, głuszył jej jęki.

Raz jeszcze uniosła się na rękach, pragnąc powstać koniecznie, lecz purpurowy płomień przesunął się jej przed oczami, w piersiach zabrakło oddechu, krwawa piana wydobyła się na usta.

Tysiące nożów przesywało jej wnętrzności... z łoskotem upadła znów na podłogę.

Czuła, że umiera, lecz już o pomoc wołać nie mogła. Krwawe plwociny dławily ją, stygnąc na zbieleńszych wargach; ręce opadły wzdłuż ciała, a tylko palce poruszały się chwilami, jakby pragnąc znaleźć jakiś punkt oparcia.

Wreszcie oczy stygnąć zaczęły, wlepione nieruchomo w belki, zawieszona nad jej głową... chrapnęła kilkakrotnie, jak konające zwierzę, i pozostała tak z oczyma otwartymi, z ustami oblanymi krwią, z głową wciśniętą kurczowo pomiędzy ramiona.

Skonała.

Orkiestra grała ciągle, hałasując przeraźliwie — na scenie drżące od zimna cyganki próbowały czardasza, podnosząc wysoko nogi, obute w czerwone buciki.

W garderobie mężczyźni pili wódkę, chcąc się zabezpieczyć przed zimnem,.. dyrektor na

kawałku wolnego stołu robił rachunek, kłócąc się z kasyerem.

Poza kulisami tymczasem stygnął trup kobiety, trup biedny, nędzny, pokurczony cierpieniem, obłany krwią i łzami, a przecież tak wielki, tak wspaniały w swej miłości macierzyńskiej — trup kobiety, zda się, swym grobowym milczeniem mówiącej:

— Zginęłam dla dziecka!... dla.. Mani!...

II.

Grandziarz.

Wielka nowina wstrząsnęła wszystkimi aktorami.

— „Grandziarz...” ma syna!

— Nie, to niemożliwe; grandziarzafa ojcem? Coż znowu! do czego to podobne?

— Ależ tak... został ojcem „z przyległościami;” sam opowiadał o tym w knajpce.

— A matka?

— Umarła!

— A to go wzięła na grandę!

— Już ją pochowali.

— Eh! moje dzieci, może to dla niej najlepiej... z takim grandziarzem...

— Tak! ale cóż on teraz zrobi ze szkrabem?

— Phi!... może odda do szpitala!

— Ha! ha! Bamberger we śpitalu...

— No! dalej, dalej! kończmy to czytanie, bo dokądże tu tkwić będziemy!
W nieopalonej garderobie, gdzie kawałki papieru z resztką szmalcu wałały się po podłodze, a podarte trykoty zwieszały się na gwoździach, siedziało kilkanaście osób z zeszytami ról w rękach.

Była to czytana próba, odbywająca się zwykle w „męskiej garderobie,” najobszerniejszej ze wszystkich garderób tego nędznego, prowincjonalnego teatru.

Ciężka atmosfera ludzkich wyziewów i starych kostiumów panowała tu wszechwładnie. Z poza źle domkniętych drzwi widać było kostiumernię i słycać było ujadanie psa, przywiązane do skrzyni ze zbroją i kapeluszami.

Chwilę trwało czytanie sztuki. Reżyser, skulony koło wystygłego pieca, z ołówkiem w ręku, czytał ustępy swej roli z egzemplarza; aktorzy mu odpowiadali.

Wreszcie akt się skończył. Aktorzy tupali nogami, pragnąc się rozgrzać. Jeden z nich zaproponował:

— A gdybyśmy posłali po sznapę i serdelansy?

— Dobrze!

— Ale kobiety płaca, tak jak i mężczyźni.

— Cie go!... voila du nouveau!

— Nuwo, czy nie nuwo!... Chcecie, to płąćcie, zatabaczone siroty...

— No, dobrze! Ale wyrażaj się dystyngowaniej...

— Jutro rano... jak będę księciem de Bligny, ale nie teraz... No! dawajcie każde po dwa szóściele, bo tak będzie, jak z szewcem w „Gałganduchu...” Z pod ziemi wyrósł obszarpany maszynista, który na brzęk dziesiątek zjawia się zawsze, jak duch nagle wywołany.

— Uważaj, ubogi młodzieńcze, co masz przynieść. Nadstaw łapcie, niech ci pieniądze policzę. A żeby się co po drodze nie przylepiło!...

Lecz reżyser uznaje za stosowne użyć swej władzy:

— Panowie! do stu dyabłów!... Jan de Thomeray czeka! Proszę na miejsca!... Akt drugi... gdzież pan Nadniżyński?...

— Grandziarz?

— Rafa?

— Ma syna!

— Jak Boga Kocham, ma syna!

— Panowie!... na Boga! trochę spokoju... Skoro niema pana Nadziżyńskiego, sam jego rolę czytać będę...

I wśród chwilowej ciszy monotony, nosowy głos reżysera czytać zaczął olbrzymią rolę nieobecnego grandziarza.

Nazywano go dlatego „grandziarzem,” że wszystkich nabierał na tak zwaną... grandę. „Granda” znaczy zrobienie komuś kawału na wielką skalę.

Wyraz „lapiarz” — wobec potężnych rozmiarów, do jakich dochodziły „kawały” Nadziżyńskiego — był zanadto słabym.

Chwilami zdawało się, że pod tą czaszką nic więcej istnieć nie może, jak tylko myśl wyplątania komuś figla, ma się rozumieć z korzyścią dla siebie.

Powoli „nabieranie na grandę” przeszło u Nadziżyńskiego w nałóg.

Nabierał, bo to mu do życia było potrzebne — oszukiwał, okłamywał, wyprowadzał w pole, drwił ze wszystkiego i wszystkich, kąpiąc się w ironii, w sceptycyzmie bez granic.

Mały, chudy, zżółkły, ukazywał w demonicznym uśmiechu bezzębną jamę ust, które zionęły krwawą ironią na ludzi, na świat, bał czasem na... Boga.

Nieporównany to był Vauchn w „Safandulach,” a jego stary sceptyk w „Niby małżeństwach” Paillerona wgrzyzał się poprostu w pamięć słuchaczy.

Niepospolita była to inteligencja, umysł bystry, silnie obserwacyjny. Humor gryzący, aż w jad przechodził; ukośne, zielonawe oczy przeszywały do głębi i wydzierały z głębi serca wiarę i to, co entuzjaści „ideałami” zowią.

Grandziarz nie wierzył w nic, przeczył wszystkiemu; była to chodząca negacja, wspaniałe uosobienie chłodu ducha, ironicznej trzeźwości, demonicznej chęci wydzierania pełnemi garściami z duszy bliźnich tego, co im jeszcze życie złociło...

Gdy mówił: „po nas... potopi” — miał w kącikach ust tyle przekonywającego jadu, że mimowoli opuszczało się głowę, powtarzając: — Po nas potop!...

Miłość, uczucie, przywiązanie — nie istniały dla tego cygana. Nabierał kobiety na kawały, ograniczając się przeważnie na głupkowatych chórzystkach. Te mu jeszcze wierzyły i w zielonawych oczach „grandziarza” nie dostrzegały ironii, z jaką je traktował.

Gdy „przyszły do rozumu” — nie pozwalały więcej drwić ze siebie i oddalały się od grandziarza bogate w doświadczenie.

Publiczność dzielił grandziarz na „szarą” i „bębenków.”

Szara, to ta, która aktora zna jedynie ze sceny i na tem się ogranicza.

„Bębenki,” to cała falanga próżniaków, włączająca się dokoła garderób i wyciągająca źle odcharakteryzowanych aktorów na „fundy,” „biby” i „włóczęgi.”

„Bębenki” dają się naciągać grandziarzom, fundują, deklamują „Czarny szal” i pozwalają się zgrywać w stukulkę. Ten rodzaj „bębenków” uwielbiał grandziarz najbardziej.

W nocnej tej włóczędze rozwijał Nadniżyński wszystkie swe wspaniałe kawały: przemieniał szyldy sklepowe, dzwonił do mieszkań prywatnych, pytając się o samego siebie; rozlepił klepsydry, zapraszające na pogrzeb dyrektora teatru; na rogach ulic rozwieszał tablice ze zmianą nazwiska

ulicy; dzwonił gwałtownie do apteki, żądając „tłuszczu komarowego,” lub kładł się w poprzek chodnika, udając nieżywego.

Był niewyczerpany w pomysłach, włączając się noc całą od knajpy do knajpy, wdając się w rozmowę z nocnymi stróżami, śmiejąc się ze strażników.

Świt zastawał go jeszcze na chodniku lub we drzwiach knajpy, zżółkłego, z oczyma zaczerwienionymi.

Na scenie drwił ze wszystkich szlachetnych „figur,” jakie przedstawiał. Gdy grał jakiego z tych pięknych starców, którzy w sztukach Feuilleta przesuwają się jak relikwie w głębi sceny — stawał wtedy przed lustrem i, przekrzywiając głowę, mówił:

— Patrzcie!... z tą brodą mam minę porządnego człowieka!...

Gdy błogosławił syna, idącego na wojnę, ręce mu drżały ze wzruszenia, a pocichu dorzucał kilka „zatabaczonych sierot,” lub „oczu brandeburskich,” od których aktorzy pokładali się ze śmiechu; nieraz unosił poważny płaszcz arcykomtura lub delię kanclerską, aby w rozczochranym galopie wstrząsać kulisami.

Co jednak było najdziwniejszym, to łatwość, z jaką demoniczny ten sceptyk zmieniał się w dobrodusznego starca. Często łyż z oczu widzów wyciskał, gdy drżącym głosem wygłaszał długie tyrady tuż koło budki suflera. A jednak nigdy prawie roli nie umiał, idąc jedynie za głosem, usłyszonym z budki.

Raz, grając olbrzymią rolę, błędził między kulisami, pytając się nawet deżurnych strażaków:

— Powiedzcie mi, do diabła, jak ja się w tej sztuce nazywam?

Lecz za chwilę słyhać już było rzewny i drżący głos jego, jak z zupełną pewnością

siebie wygłaszał koło rampy olbrzymi monolog, mrugając jednym okiem ku kulisom, w których zbici w masę aktorzy z rodzajem niemego uwielbienia wpatrywali się w „grandziarza...”

A gdy zeszedł ze sceny, obsypany oklaskami, śmiał się, zdzierając nalepioną siwą, szlachetną brodę, i mówił z jadowitym uśmiechem: — A to ich wzięłem na grande!...

Dyrektorzy teatrów i lichwiarze, kręcący się około kulis, najczęściej się obawiali Nadniżyńskiego.

Jedyną jego myślą i staraniem było „wykierować” każdego dyrektora i „ubrać” wierzyciela.

Nieraz, po wzięciu znacznego forszusu, znikał nagle w nocy, przyczepiając swoje role do sikawek, stojących w kącie kulis.

Angażował się do kilku naraz towarzystw — i nigdzie nie jechał, bijąc się z uciechy po łysinie na samą myśl, jaką to „kurtę dyrektorom skroił.”

O żydów, od których pożyczał pieniądze, nigdy się nie troszczył. W mieszkaniu swem,

oprócz stosu ról, hamaka, zastępującego łóżko, i potłuczonej lampy, nic nie miał. Ubranie miał pochowane w rozmaitych miejscach, w obawie przed „zajęciem” — i urządziwszy się w ten sposób, pocieszał każdego lichwiarza następującymi słowy:

— Panie kochany!... nie desperuj!... i po mnie i po panu... potop!...

Lecz żyd targał się za pejsy i wołał:

— Po panu to potop, ale po mnie... dzieci! Grandziarz wzruszał ramionami.

— Dzieci?... phi! . to granda!

Wogóle Nadziżyński „szkrabów” nie cierpiał i wykręcał uszy wszystkim aktorskim dzieciom, drzemiącym pomiędzy kulisami.

— Projekta na kryminalistów — mawiał, wykrzywiając się ironicznie.

— Bóg dał — tłumaczył się ojciec przyszłego kryminalisty.

Grandziarz wzruszał ramionami.

— Bóg?... eh! nie bierz mnie na grande z Bogiem!

I mrużąc, odsuwał się od drzemiącego dziecka, odwracając ze wstrętem głowę.

Te małe stworzenia wzbudzały w nim wstręt nieokreślony. Robiły na nim wrażenie żab, skaczących koło nóg jego. Szczególniej biedni ludzie, według niego, dzieci mieć nie powinni.

Uwielbiał Malthusa i cytował go co chwila, szczególnie w dniu chrzcina jakiego aktorskiego dziecka.

Gdy rozgniewane matki życzyły mu serdecznie, aby sam został ojcem sześciorga co najmniej dzieci, on uśmiechał się tryumfująco i wołał:

— O! ja nie dam się wziąć na grande! .

A jednak... został ojcem!

Gdy po całonocnej hulance sprowadzono go do szpitala i zostawiono samego z trupem kobiety, którą poślubił w chwili dobrego humoru, a później nie dbał o nią wcale, śmiejąc się z jej łez i cichego przywiązania, jakie żywiła dla niego — grandziarz otworzył szeroko oczy.

Ta mała chórzystka, którą „wziął na grande,” leżała teraz zżółkła, martwa, smutna, z wyrazem bóleści na zmienionej twarzy.

Majestat śmierci bił od tego biednego trupa kobiety matki, która, krew swą i życie dziecku oddawszy, sama zastygła w wiecznym milczeniu, ze łzą, szklącą się pod źle przymkniętą powieką.

Szary, wybladły świt wpływał przez okna szpitalnej salki.

Zżółkłe liście drzew szeleściły; w oddali jakaś waryatka śmiała się przeciągle.

Grandziarz stał tuż koło łóżka zmarłej i nieporuszony zdawał się myśleć, rozważać... Całą noc spędził w handelku, „nabierając na grande” właściciela sklepu, obrabiając „bębenków,” „naciągając” przyjaciół. Z ciasnej atmosfery knajpowej został nagle przerwany w tę ciszę szpitalną i znalazł się wobec trupa kobiety, która jego „grande” życiem opłaciła... Grandziarz na scenie chętnie umierał. Często wchodził w trumny, potrzebne do sztuki,—a raz jednego ciężką chwilę sprawił artyście, grającemu rolę wojewody w „Mazepie,” gdy zamknięty w trumnie Zbigniewa jęczał i skrobał się w nią przez akt cały. Śmierci jednak nigdy w całym tryumfalnym majestacie nie widział i trup tej biednej chórzystki był pierwszy, jaki stanął przed jego oczyma, zimny, groźny, surowy... Grandziarz uczył zawrót głowy. Pragnął dla dodania sobie humoru powtórzyć: „po nas potopi” — lecz obecność zmarłej odbierała mu zwykłą fantazję. Stał i patrzył, patrzył na to uosobienie poświęcenia, na tę niedolę kobiecą skamieniałą, cichą, szacunku się domagającą. Nikogo w pokoju nie było — tylko on... i trup. Grać więc komedii sceptycyzmu i ironii nie potrzebował.

Liście tylko za oknem szumiały, świt tylko trupa coraz więcej oświetlał. I w sercu grandziarza zadrgało jakieś uczucie. Przez chwilę zdawało mu się, że coś się w nim budzić zaczyna, jakieś nowe życie... to, którego żaden „potop” zniszczyć nie może. Coś go w gardle dławilo i w oczach, piekło.

Wreszcie... dwie łzy, prawdziwe łzy, spływały z jego czerwonych od bezsenności oczów.

Powoli, jakby ze wstydem, osunął się na kolana i, chwytając kraj prześcieradła, w które trup kobiety był owinięty, szepnął: '

— Przebacz!

I pozostał tak z głową ukrytą w fałdach całunu.

Drzwi lekko skrzypnęły.

Jak cień wsunęła się ciemno ubrana kobieta, jedna z tych, które Boga najlepiej kochać umieją — i, kołysząc zwolna dziecko uspięte wśród białych płócien, zbliżyła się do klęczącego aktora.

— Syn pana! — wyrzekła. Jego syn?

Grandziarz podniósł głowę i przez łzy wpatrzył się w uspięte dziecko.

— Tak!... tak!... mój syn!... — odpowiedział.

I uczył nagle jakiś prąd magnetyczny, łączący go z tem drobnem stworzonkiem, tak nędznem. tak słabóm, a przecież tak potężnem młodem życiem i nadzieją przyszłości.

— Czy dziecko to zostanie w szpitalu, czy też pan zabierze je ze sobą?

Grandziarz stał chwilę niezdecydowany. Dziecko?

Co z niem pocznie w swej ubogiej kawalerskiej izbie? w jaki sposób je wychowa? A koledzy? ileż drwin znieść będzie musiał...

Lecz dziecko w tej samej chwili otworzyło wielkie ciemne oczy, i, mrużąc troszkę powieki, spojrzało w okno. Oczy te upiększyły tak bardzo tę maluchną twarzyczkę i tak targnęły sercem „grandziarza,” że machinalnie wyciągnął ręce, poplamione jeszcze winem i kurzem knajpowym.

— Chodź... szkrabie! — wyrzekł, uśmiechając się, a w uśmiechu tym nie było ani śladu ironii, ani demonicznej siły.

Pierwsze promienie jesiennego słońca wpadły teraz do szpitalnej izby i oświeciły twarz zmarłej kobiety.

Grandziarz, trzymając dziecko, zwrócił się w stronę łóżka i zdawało mu się, że trup stracił bolesny wyraz, a łzy znikły z pod zastygłych powiek...

I powoli pochyli! się wielbiciel Malthusa nad dzieckiem i złożył na jego delikatnej główce gorący, ojcowski pocałunek.

— Dobry wieczór panom!

— A! rafa!

— Grandziarz!

— Dobrze, żeś przyszedł; wystaw sobie, trzeba grande urządzić. Dziś deżuruje ten gruby strażak!...

Lecz Nadniżyński zatrzymał się koło wielkiej skrzyni, na której leżały porozrzucane kostiumy.

— Proszę was! bądźcie ciszej, bo mi dziecko obudzicie.

I powoli, spokojnie, choć jeszcze bardzo niewprawnie, układał poduszkę z dzieckiem, podsuwając całe stosy trykotów i butów, aby się nie stoczyło.

Dziecko?

Wszyscy aktorzy porwali się z miejsc.

Ten rafa znów bierze ich na jakiś kawał. Dziecko przynosi do garderoby? coż znowu? zwaryował, czy co? — pewnie jakiś tłumok gałganów i lalkę ma we środku.

Pochylają się nad poduszką i zdziwieni cofają się.

Dziecko! prawdziwe dziecko! ubrane w ciepły, włóczkowy kaftanik i czepeczek, owinięte jakąś starą porty erą ze złotymi frendzlami.

Wyjść nie mogą z podziwienia, wzruszają ramionami, wykrzywiają pomalowane twarze, machają trzymanemi w rękach laskami szminek.

A pomiędzy nimi grandziarz, niewzruszony grandziarz, wyjmując z kieszeni palta maszynkę spirytusową, mleko... i flaszkę do karmienia niemowląt...

Rozkłada to całe gospodarstwo na brzegu paki, otula dziecko jakimś haftowanym frakiem z czasów Ludwika XIV i siada obok, mówiąc jakimś innym niż zazwyczaj tonem:

— Panie fryzyer!... proszę o rudą perukę... Powoli aktorzy powracają do swoich lusterek i szminek.

Grandziarz zbył ich krótko, mówiąc tylko:

— To mój synek; proszę was, bądźcie cicho, bo mi go zbudzicie...

I cisza jakaś dziwna panuje w garderobie.

To zbudzona nagle ojcowska miłość w tak sceptycznym jak grandziarz człowieku zaczyna imponować im.

Dziecko, śpiące pod stosami galonów, powoli tyranizuje wszystkich. Milcząc, nakładają trykoty i peruki. Grają dziś „Fausta,” a grandziarz naturalnie „robi” Mefista.

W czerwonych trykotach, w rogatej czapce, stoi obok paki i grzeje mleko na maszynce. Aktorzy przypatrują mu się z jakimś poszanowaniem. Pod rudawą brodą i śpiczastymi wąsami rysuje się uśmiech grandziarza, ale źle pasujący do kostiumu i roli. Uśmiech ten ma w sobie coś łagodnego, rzewnego, coś, co ma na wargach swoich matka, schylona nad kołyską dziecka.

I gdy, odchylając galony i hafty fraka, podaje dziecku pożywienie, ukazuje się nagle w słabym świetle naftowych lampek taki inny, tak zmieniony... że zdaje się niepodobnym, aby on właśnie był owym sławnym „grandziarzem,” postrachem dyrektorów, rozpaczą lichwiarzy i „obrabiaczem bębenków...”

Już śnieg dawno pokrył ulice małego miasteczka, a grandziarz codziennie niesie swego syna do garderoby.

Układa go przy piecu, poi, przewija z całą zręcznością matki, z pieśczołliwością kobiecą.

Aktorzy i aktorki powoli przyzwyczaili się do widoku tej poduszki, owiniętej starą portyera, wnoszonej zawsze przed przedstawieniem do męskiej garderoby. Dziecko, prawdziwie aktorskie dziecko, śpi spokojnie wśród stosu szychów i świecideł, nie budząc się na odgłos hałaśliwej orkiestry lub dzwonka inspicjenta.

Ścisnąwszy maluchne piąstki w kułaki, gdy się obudzi, rozgląda się dokoła, spokojne, ciche, pewne siebie, czując się dobrze w atmosferze szminek, mastyksu i zleżałych kostiumów.

Uśmiecha się nawet, gdy pochyla się nad niem twarz ojca, twarz wymalowana, oszpecona tysiącznemi kreskami.

A jednak jest teraz coś w twarzy grandziarza, co imponuje i zapominać o jego „kawałach” każe.

Cały oddany roli ojca, matki i piastunki w jednej osobie, nie naciąga nikogo, śpieszy po próbie do domu, gdzie w hamaku leży jego syn, czekający na odegrzanie mleka i na swoją flaszkę.

Dyrektor odetchnął, nie obawiając się ról przypiętych do sikawki, koledzy — kawałów, koleżanki — ciągłych drwin i ironii.

Ta maluchna, różowa istotka dokazała istotnego cudu.

Ocaliła człowieka!

A jednak czasem jeszcze dawna natura bierze górę w starym grandziarzu.

Gdy kończy się przedstawienie, grandziarz szybko rozcharakteryzuje się i zabiera swoje „gospodarstwo.” Chowa maszynkę, spirytus, mleko i, owijając dobrze małego, bierze go na rękę.

— Chodź, szkrabie! — mówi z powagą. Gdy wychodzi, aktorzy usuwają mu się z drogi, ba! otwierają mu drzwi nawet. Kobiety zaglądnają pod portyernę, uśmiechając się dobroduszenie.

— Biedactwo!

Grandziarz idzie teraz szybko ulicą, śpiesząc do mieszkania. Do handelku nie zagląda już nigdy Woli siedzióó przy małym i czytać „Essetis sur les moeurs” Voltaira.

Śnieg pada dużymi płatami, dziecko budzić się zaczyna i płacze coraz głośniej.

— A, a! lulu! lulu! — mrućzy grandziarz.

Jeszcze kilka ulic przejść trzeba, ulic ciemnych, załedwie dwoma latareczkami oświetlonych.

— A! a! kotki dwa! szare, bure obydwu!... Przypomina sobie piosnki zasłyszane z lat dziecinnych.

Zdejmuje ze szyi szalik, okręca nim poduszkę.

— „Jeden biały, drugi szary — Obydwu się pokochały!”

Lecz i śpiew nic nie pomaga—dziecko płacze coraz żałośniej.

Grandziarz znieść tego płaczu nie może. On, który tak energicznie drwił ze wszystkich wzruszeń, czuje się do głębi wstrząśnięty żalospną skargą swego syna.

— Pewnie jesteś głodny, szkrabie? — pyta, przykładając twarz do gęstych fałd portyery i hiszpańskiej kurtki, w którą zawinął dziecko przed wyjściem z garderoby.

Jakby w odpowiedzi na to pytanie gwałtowny płacz rozległ się z poduszki. Grandziarz przystaje, myśli chwilkę — wreszcie wsuwa swą rękę pomiędzy portyernę.

Dziecko chwyta jego długi, kościsty palec i chciwie ssać zaczyna. Na twarz aktora występuje uśmiech zadowolenia; dawna grandziarska natura ukazuje się na chwilę. Spogląda ukośnie na milczące teraz dziecko i zielonawe błyski świecą w jego oczach.

— A widzisz, szkrabie! — mówi tryumfująco — widzisz, wzięłem cię na... „grande!”

KLEJNOT RODZINNY. OBRAZEK.

— „O sancta simplicitas!”

...lecz gdy dorożki stanęły, zataczając się trochę i zjeżdżając w rynsztok, Franciszek stracił swą niezrównaną fantazyę. Wielka czarna tablica, umieszczona nad sienią wchodową, świecąc zdaleka wyzłoconemi literami, imponowała mu w nadzwyczajny sposób. Spróbował jednak blagować. — Wysiadajta — wyrzekł, podchodząc do dorożki, w której chichotały družki, — wysiadajta, bo pan frotograf was w dryndzie na papier wyrznie...

Zrobił się ruch między gośćmi weselnymi. Wysiadano z dorożek, szeleszcząc krochmalnemi spódnicami i obciążając surduty. Woń benzyny i nafty rozchodziła się z fałdów tych świątecznych ubrań, śmiesznych, niezgrabnych, zleżałych. Były to owoce wielkiej oszczędności, groszowych uszczupień —i w zagięciach,

szwach, cerach zdawały sprawę z ogromu trudu i poświęceń, jakie kosztowały.

W porannem świetle słonecznym błyszcząły smutnym zbytkiem nędzarzy. Starsze kobiety poprawiały pomięte spódnice, szerokie, fiołkowe lub brązowe — dostatnie, porządne. Druchny strzepiły falbanki tiunik, które obciskały im zatłuszczonemi fałdami silne kontury bioder; panna młoda wygładzała powoli sztywny muślin ślubnej sukni.

Czyniła to jakby we śnie—wpatrzona cała w marmurową balustradę, okalającą przedsionek. Już to wogóle Marcysia nie zachowywała się, jak na pannę młodą przystoi.

Od rana chmurzy się, jak środa na piątek, a przecież wszystko odbyło się po bożemu. Ksiądz ślub dał, nijakich przeszkód nie było— teraz Franciszek zdecydował, że należy się „fotografo wać. ”

On wszystko robi wedle honoru i wie, co się należy, skoro galantny kawaler uczciwą dziewczynę za żonę pojmie.

Marcysia zgodziła się na wszystko. Na ślub przystała, i na oczepiny, i na resztę, co przynależy, ale ta „fotografia” to coś ją niepokoi i korci od samego rana.

Jeszcze drużba Antoś, który jest dobrze krotochwilny, a na gębie lepiej niż na harmonii wygrywa straszy ją wciąż, mówiąc, że

"fotograf" ma rogi na głowie, bo jest z dyabłem spokrewniony—i tę maszynę, przez którą ludzi na papier „przychyca," od samego Alajkrysta dostał na imieniny.

Na Marcysi aż skóra cierpnie i chętnie odrzekłaby się już i małżeństwa, i Franciszka i wszystkich spraw jego, byle nie wpadać w moc dyabła i jego maszyny.

Odrzekłaby się Franciszka, choć go serdecznie miłuje... ba! nawet tak serdecznie, że beczy po kątach, gdy którego dnia do warsztatu szwagra nie zajrzy.

Wszyscy się z niej wtedy śmieją—i siostra, i brat, i szwagier i terminatorzy — nawet chłopcy, którzy więcej wiórów niż włosów na łbie mają... No! ale co ona pocznie, kiedy koło serca głupia żalność ją chwyta za tym chłopcem?

Ot! jak zwyczajnie sierotę!

Bo Marcysia sierota; odumarła ją przed rokiem matka, ojca jakby nie znała — przyjechała więc do siostry, wydanej od sześciu lat, i sama się obręczyła z tym zatraconym Franciszkiem...

Oj, co zatracony, to zatracony!

Charakterny bo jest, ale czego ją do „frotografii” wlecze?

Wolałaby do zimnej wody razem z głową wskoczyć.

Już próżno lamentować — „derożki” stanęły, całe wesele wchodzi do sieni, Antek się jeden tylko kłóci z dorożkarzami.

— Sałaciarze! — woła, rozwiewając zielonawe poły zimowego palta, w którym dla szyku topi się wśród dwudziestu stopni gorąca— sałaciarze! jechaliście jak za karawanem, a chceta po rubeljansie!

I przytupuje, a pluje tak, że aż konie machają ogonami i jakaś pani otworzyła parasol, sądząc, że deszcz zaczyna padać.

Tymczasem gromada weselna wtoczyła się wewnątrz pracowni fotograficznej. Na czele Franciszek, imponujący śnieżną białością bielizny.

Zatrzymują się wszakże na progu, onieśmieleni wspaniałością urządzenia.

Aksamitne portyery, dywany, lśniący kontuar, za nim trzy wypudrowane panny w trykotowych stanikach, moc fotografii i... cisza religijna, cisza zakrystyi kościelnej...

Gromada weselna stoi więc w progu i tylko powieki szybko zamykają się, to znów otwierają, jakby nie mogąc znieść tej nadzwyczajnej jasności.

Panna siedząca za kontuarem lekko ziewnęła, a zamykając „Kłamstwa” Bourget'a, raczyła zwrócić uwagę na świeżo przybyłych.

— O co chodzi?

W gromadce rozpoczęło się potracanie, popychanie—w ogóle przygotowanie do odpowiedzi. Odpowiedzi wszakże nie było. Upudrowana twarz fotografistki sprawiała wrażenie, graniczące z uwielbieniem.

Panna jednak nie grzeszyła cnotą cierpliwości; pocisnęła guzik—rozległ się głos dzwonka; jedna z drużek usiadła na ziemi z wielkiego przestachu, a pod Marcysią nogi zadygotały. Gruba Kośtalowa, wdowa po rzeźniku, a zastępująca matkę pannie młodej, odważyła się wyszeptać:

— Kajsik dryndoli...

I znów nastąpiła grobowa cisza.

Panna wzięła do ręki książkę i czytała powoli, sznurując usta; dwie inne kończyły retuszować fotografie.

Franciszek jednak powoli odzyskiwał dawną swadę.

O la Boga! wielkie rzeczy takie gzemsy i sztukaterye!... toż u swego majstra widzi ładniejsze, z kunstykiem i symetrunkiem. A to nawet i krzywe i kostropate...

Myśli o tem wszystkim, wodzi wzrokiem dokoła i szczypie czerwone łokcie Marcysi, które czerwienią się pod cienkim muślinem sukni.

Szczypie mocno — dziewczyna ma łzy w oczach, ale nie śmie nawet pisnąć.

Stoi cała czerwona jak piwonia, skubiąc wykrochmaloną chusteczkę. Nagle z bocznych drzwi wypada młody mężczyzna, ubrany w bluzę i rozwiany krawat. Ma żółte, olbrzymie włosy i bardzo małe uszy. Przybiera dziwną pozę—głowę odrzuca w tył, poczem zapytuje:

— A czego to, moi państwo?

Franciszek czuje, że stanowcza chwila wybiła. Należy się odezwać, lub cała jego „zatrącość” straci dobrą opinię.

— Wedle frotografii....

Panna zatopiona w Bourgecie wzrusza ramionami.

Młody człowiek w bluzie zmienia znów pozę.

— Wszyscy?

— Nie, jeno ja i... moja żona!

Ostatnie słowo wymawia Franciszek głośniejszym i dobitniejszym głosem; Marcysia zato kurczy się, tak, że wygląda, jakby garb miała.

— Garbata?—woła młodzieniec w bluzie— trza kolumnę grecką przygotować.

Lecz Franciszek porywa się obrażony:

— Kto garbaty?—woła.—Dziewczyna jak świeca, jeno się ze strachu skuliła.

Swatki zaczynają pocichu namawiać Marcysię, by się wyprostowała i, odmówiwszy pacierze, nabrała rezonu,

Kośtalowa mówi nawet dla dodania odwagi:

— Nie bój się, głupia! frotografia to żaden ból, to jeno jakby ci kto ząb wyrwał...

Lecz oto Antek już wchodzi, szczęśliwy, z pogromienia dorożkarzy.
— A czegoż wy u progu stoicie? — pyta kładąc ręce w kieszenie. —
Siadajcie se, jak kuźden inszy. Każdy dobry za swoje pieniądze.
Panna czytająca Bourget'a spogląda na Antka, mrużąc oczy.
— A to ci młynarska gęba! — decyduje družba półgłosem.

Panna zaczyna znów czytać Bourget'a.

Z wejściem Antka robi się weselej, każdy czuje się śmielszy. Franciszek uczul grunt pod stopami. Usiąść wprawdzie nie śmieją, ale rozglądają się dokoła. Kośtalowa już coś prawi, opierając się o ścianę.

Zawsze to lepiej, że będą mieli swoje malunki, choć na czarno; ostanie to i dla dzieciaków i dla wnuczyków. To i święta pamiątka i nad komodą piękny ornament. Ona ma też taki malunek z nieboszczykiem swoim, jeno na cyracie. Siedzą sobie na zydelkach, jak dwa wróbelki, i aż dusza skacze jak się jej suknia pięknie udała.

— Cztery falbany miałam—opowiada, rozkładając rękami, — cztery falbany, z łebkami i paczmanterią, jak Pana Jezusa uwielbiam! I wiecie, moi najmils, wszystkie cztery wyszły na cyracie jak woły, jeno jednej koniuszczka brakowało.

— A giemby? — pyta jedna z druchen, ta, od której woda kolońska i mydło o dziesięć kroków pachnie.

Kośtalowa skrzywiła się cokolwiek.

— Phi!... co od giemb, to tam niebardzo... Zeby nie suknia, tobym nie poznała, która ja, a który nieboszczyk... No, ale co suknia, to była bardzo uczciwie zrobiona!

Antek teraz śmieje się, przeglądając fotografie, stojące na stole. Zwłaszcza jakaś idealna blondynka, z oczyma wzniesionymi w niebo, pobudza go do wesołości.

— To ci slipie wywróciła! — mówi, pakując ręce w kieszenie od palta.

— Może ją szlag trafił — dorzuca Franciszek, nie chcąc pozostać w tyle za przyjacielem.

Antek spogląda na pannę młodą.

— Pewnikiem, bo to przy frotografii często się trafia!..

Marcysia zasłania oczy welonem. Jeszczeby tego brakowało, aby tu zamarła!

Drzwi ukryte za porty erą otwierają się z trzaskiem. W ramach z pluszu zjawia się żółta głowa poseura.

— Gabinet? czy wizyt? — zapytuje, stając na jednej nodze, interesujący młodzieniec.

— Wizyt! — odpowiada Antek, pokazując cały rząd zębów; a gdy poseur znika poza firanką, on, cały promieniejący, zwraca się do towarzystwa.

— Cie go! jaka lapidarna bestya! Wizyt? wizyt? Pewnie wizyt! On mówi jak choroba, a ja mu cholera w głowę... i schował się, jak w szopce...

Zbliżył się do Marcysi.

— Działa panna Marcysia? to szwagier dyabelski: rogi ma i pazury także. Ojej!...

Jest przytem bardzo krotochwilny, mruga znacząco i przekrzywia usta.

Druchny aż kułakami zasłaniają usta, aby nie śmiać się głośno.

Prostu przez przyzwoitość, bo już się ośmielili wszyscy.

Nawet Kośtalowa próbuje przysiąść na aksamitnym pufie. Nogi ją bolą... mało się to w kościele i w zakrystyi wystąpiła! A poczęstunek!... wiadomo, likiery zawsze w nogi idą.

To też cała czerwona pociąga ciągle szal na plecach.

— Rety! jak gorąco!...

Wszystkim twarze się świecą, a nawet pot kroplami płynie. Dziś spiekota nie na żarty, a tu, w tym zamknięciu, miasto chłodu, gorszy panuje upał, ot, jak w oranżeryi. Hyacyny, porozstawiane po kątach, wydają ze siebie duszną, przenikliwą woń; zapuszczone portyery, firanki, nie pozwalają najmniejszego przewiewu.

Marcysia z czerwonej przeszła w barwę szkarłatu. Wzruszenie, przestach, gorąco odbiera jej przytomność—stoi teraz sama jedna na środku pokoju, bo całe grono weselne powoli rozchodzi się po kątach, oglądając fotografie, zachęcane przez Antka i Franciszka.

Kośtalowa wydaje ciche okrzyki na widok tancerek cyrkowych, uwiecznionych w króciuchnych spódniczkach. Antek zato śmieje się, dowcipkując i kiwając się jak serce we dzwonie.

— Inoby mamę Kuśtalową wyfotografować w takiej spódniczynie...

— Jezu miłosierny!—woła swatka, żegnając się— a odpuść temu wydziwaczowi takie niepoczciwe gadanie...

Druchny zastanowiły się nad portretem jakiegoś muzyka, którego wąsy były z pewnością cieńsze od strun smyczkowych.

— Ten ci wzięń pomady!...—zaopiniowała starsza podczas gdy młodsza stała skupiona

w niemem uwielbieniu, cisnąc czerwone ręce do płaskiej piersi.

Lecz Franciszek przeciął ich niepewność.

— Musik faksatuaru! —wyrzekł rezolutnie, podkreślając swoje ostre, rudawe wąsy.

Panna czytająca Bourget'a była bardzo zniecierpliwiona niesfornym zachowaniem się całej gromady. Powoli bowiem podnosili głosy, włączając się po kątach, biorąc w ręce ramki, otwierając albumy, opierając się o gablotki. Cała zuchwałość warstw niższych, skoro poczują się panami sytuacji i płacą za swą obecność, zaczęła ujawniać się teraz—zuchwałość

trywialna, natrętna, ciekawa. Antek nawet powoli przysuwał się do kontuaru, chcąc z „młynarczariką porezonować...”

Lecz panna nie miała ochoty do wszczynania rozmowy, bo z miną obrażonej królowej powstała i zadzwoniła powtórnie.

Kośtalowa złożyła ręce nabożnie.

— Wieczny odpoczynek!— wyszeptała, machinalnie zwracając oczy ku sufitowi.

Nastała chwilowa cisza, przerywana tylko sapaniem Kośtalowej i skrzypieniem butów Antka.

Portyera uchyliła się.

— Gotowe!— zawołał poseur. — Proszę do altany.

Antek porwał się z miejsca.

— Jazda! — zawołał z galanterią i ruszył naprzód, prowadząc po wąskich schodkach kręconych cały orszak weselny, szeleszczący krochmalnemi spódnicami i pozostawiający za sobą smugę śmiechu, benzyny i taniej kolońskiej wody.

Na samym ostatku prowadzono, a raczej niesiono Marcysię, która w ostatniej chwili znalazła nadnaturalną siłę do stawienia czynnego oporu. Lecz Franciszek wykazał cały takt i ujawnił program swego małżeńskiego pożycia. Silną dłonią pochwycił opierającą się dziewczynę i wyniósł ją prawie z pokoju. Poza nimi postępowała Kośtalowa, proponująca Marcysi wspólne odmówienie jakiegokolwiek krótkiej modlitewki, choćby „Kto się w opiekę...”

Lecz już wchodzą do altany...

Cała kaskada światła oblewa im głowy— światło to białe, mleczne, olśniewająco białe... Dokoła całe stopy dekoracyj, przystawek, skał, łódek, okien, ram, kolumn, balustrad, płotów, urn, klombów, huśtawek, foteli, ławeczek, podstawek, wreszcie albumów, biurka, stołów, książek, wachlarzy, wypchanych ptaków, kotów, draperyj, makartów, japońskich

parasolek, skór tygrysich, siana, grabi, wioseł, kwiatów, koszyków, poduszek, pufów, oto

manek i innych przyrządów, mających ujawnić prostotę i niewyszukany wdzięk pozy.

Na lewo portyera z perskiego kretonu kryje mały buduarek, zniszczony, poplamiony, świecący zdaleka wielkim zwierciadłem.

Na dywanie wala się brudny puszek od pudru i kilka szpilek podwejnych, na konsolce przed lustrem pusta puszką i nadłamany grzebień.

W altanie chłopiec kilkunastoletni w zbyt szerokiej marynarce przesuwają na kółkach tło i rozpina „parasol” z szafirowej satyny.

Poseur znikł właśnie z głową pod czarnym płatem sukiennym, okrywającym „maszynę...”

Nawpół obumarła z przestachu Marcysia spogląda na ten wielki, ciemny przedmiot, który tajemniczo, groźnie ku niej jednym wielkióm okiem błyska.

— O Jezu! to już po mnie!...—myśli dziewczyna, czepiając się konwulsyjnie ręki Franciszka.

Welon, wianek, wszystkie oznaki dziewictwa przesunęły się jej na lewe ucho. Jestto fantastycznie, ale strej cały traci na wielkim spokoju, jaki winien cechować strej oblubienicy. Marcysia nie wie o tem—oszalała z trwogi, nieprzytomna, czuje, że łyzy oczy jej zasłaniają.

— O matuchno! —myśli— czemużeś mnie na taki los porodziła!...

Tymczasem poseur wychyla swą głowę z wnętrza tajemniczego przyrzędu.

— Obok jest buduarok—mówi zwykłą formułką,—jeśli pani chce tualetę poprawić...

Urywa przerażony, wpatrując się w całą grupę ludzi, cisnących się u wejścia.

— A to po co? —pyta, przybierając odpowiednią pozę.

Antek występuje, gotując się do walki.

— Niby co? —pyta, rozwiewając palto.

— A ci wszyscy ludzie? —odpowiada poseur.

— To je familia! — woła Antek, potrząsając głową — familia i guście weselni; a jako za frotografię będzie ućciwie zapłacone, tako kuźden ma prawo z familiantów zażreć, jak się to będzie robiło...

Lecz poseur nie chce zrozumieć tego „prawa."

— Nikomu nie wolno być przy zdejmowaniu portretów. Proszę wyjść, wyjść natychmiast!...

Lecz Antek wzrusza ramionami.

— Czego się pan zoładkuje? — pyta, mrużąc oczy. — Zostaw nas pan w tej ośklonce, a już ja tam panu dołożę na piwo!...

Szmer uwielbienia rozchodzi się pomiędzy weselnikami.

Ten Antek umie się brać do rzeczy. Szelma sprytna, a w dodatku wcale nieskapa.

Franciszek nie chce pozostać znów za przyjacielem.

— I ja cosik dołożę!—mówi, śmiejąc się.— No, windujcie się całą kupą! Lecz poseur rozkrzyżował ręce i protestuje przeciw tej inwazyi całą siłą ciała i duszy.

— Cóż to za naród! Czego oni chcą?— woła, dobywając rozpaczliwych tonów. —Mnie „na piwo!" mnie, poseurowi artystycznemu, poseurowi dyplomowanemu, nagrodzonemu w Muzeum!

Lecz teraz Kośtalowa występuje jako poseł.

— Wielmożna osoba niecharakternie się gniewa; my tu w kąciczku jak wróbelki poprzysiadamy i ani wielmożnej osoby, ani żadnej z tych śliczności nie uszkodzimy.

Lecz na nic cała wymowa pani Kośtałowej, poseur jest niewzruszony— pomimo opozycji Antka, nawet jego grubiaństw, całe towarzystwo musi opuścić altanę, przymuszone do tego aktu czynnem wdaniem się młodzieńca, ubranego w zbyt szeroką marynarkę.

Z głośnym szmerem niezadowolenia całe grono weselne lokuje się na kręconych schodkach, wiodących do altany, podsłuchując, potracając się wzajemnie i uprzyjemniając sobie w ten sposób przykre chwile oczekiwania.

W altanie tymczasem ustawiono kolumnę z ciemnego papieru, a na kolumnie tekturową urnę z pękiem sztucznych róż w środku.

Po obu stronach kolumny stanęli nowożeńcy: drżąca Marcysia po prawej, Franciszek po lewej.

Podczas ustawiania obok kolumny Franciszek okazał olbrzymią siłę charakteru i przewagę, jaką mieć chciał nad swą „żoną,” rozkazując jej zająć wskazane miejsce i nie „strachać się przez powodu...” Marcysia uległa i dała tómu dowód wielkióy łagodności, jaka miała być zapewne jej zaletą. Stała przy kolumnie, sztywne, wyprostowana, hamując nerwowe drżenie, jakie wstrząsało nią całą..

— Jezu! polecam Ci duszę moją!...—szeptała w myśli, zamykając szczelnie oczy.

Dojrzała bowiem u poseura—podczas gdy układał fałdy jej sukni i poprawiał welon— długie, bardzo długie paznokcie, różowe i zakrzywione... Kto nosi takie pazury, pewnikiem dyabeł, boć uczciwy człowiek paznokcie obcina, albo obgryza, tak, jak to robi jej szwagier, a nawet Franciszek. A ta maszyna! czarna, straszna! jak gad jaki z jednym okiem, okryta płachtą, na cienkich nóżkach!... W nióy musi siedzieć sam dyabeł, boć tam

nic ludzkiego być nie może w tak wielkiej ciemności...

Oj, ten Franciszek zatracony! jeszcze wydziwia na nią i każe jej oczy roztwierać! Niedość, że jej jakiś dyabelski pręt dali za głowę i jak w kleszcze złapali — on chce koniecznie, aby ona oczy rozwarła!... Nazywa ją... „niedojdą” — oj, poczekaj, ty wisielaku! to już ostatnie twoje wymysły... ona ci pokaże później, kto to „niedojdą” zostanie.

Tymczasem poseur przyskakuje, odskakuje, wykręca głowę na prawo, na lewo, układa ręce, poprawia, znów psuje to, co przed chwilą ułożył, odsuwa biały perkal połaadowany na suficie, zasuwą ściany, jasne tła, to znów daje rembrandtowskie oświetlenie.

Całe potoki światła spływają na parę nowożeńców, stojących po dwóch stronach urny jak dwie woskowe figury.

Tylko Franciszek nabiera wielkiej pewności siebie — odsłania surdut w ten sposób, aby nowa nikłowa dewizka uwidoczniła się jaknajlepiej, i wysuwa prawą nogę z całym butem, lewy zaś, oszpecony „przyszczypką,” chowa poza kolumnę. Zuchwale spogląda dokoła, chcąc uwiecznić swoją „zatracość” — jest wyzywający, groźny, nieulekniony.

Tymczasem z małych drzwiczek, które, otwierając się, ukazywały poza sobą całą

otchłań ciemności, rozjaśnionej zaledwie żółtawym płomykiem, wysunął się wysoki brunet, niezmiernie chudy i sentymentalny!

Był to właściciel zakładu.

Jednym rzutem oka objął grupę.

— ?le! —wyrzekł głosem konającego suchotnika—oni winni uplastyczniać miłość...

Franciszek wysunął więcej prawą nogę na przód, a Marcysia nerwowo uczepiła się kolumny.

Poseur tymczasem podskoczył jak piłka.

— ?le? względem którego zarysu? Właściciel zakładu machnął ręką.

— Względem całości!

— Nie wypukła się?

— Oberżnięta...

— Ode spodu?

— Ode wnętrza.

— Zaraz podetnę!

Marcysia zaczęła odmawiać „Pod Twoją obronę.” Poseur szarpnął jakiś sznurek.

Ciemnogrnatowy perkal zesunął się o pół łokcia; za drugim

szarpnięciem ciemno fioletowy perkal posunął się o ćwierć łokcia.

Lecz właściciel zakładu kiwał melancholijnie głową.

— Nie to, nie to! —powtarzał.

I nagle, jakby pod wpływem natchnienia, zawołał:

— Proszę się wziąć za ręce! Franciszek porwał rękę Marcysi.

— Teraz dobrze!

Mimo to, z ośm razy poprawił jeszcze pozę, przesuwał kolumnę— wreszcie, wygiąwszy w pałąk nieszczęśliwą Marcysię, odrętwiałą z bólu, znużenia i strachu, zakomenderował:

— Weselej, weselej!

Zbliżył się do maszyny i, nakazawszy spokój, z zegarkiem w ręku, zdjął skórzane koło, pokrywające szkiełko.

Nagle drzwi, prowadzące do schodków kręconych, otwały się z hałasem; jak bomba wpadła przez nie Kośtalowa i zasłoniła plecami swojami fotografującą się parę.

Właściciel zakładu aż zbladł ze złości. Poseur zmienił pozę i porwał się za głowę.

— Czego? czego?

— Względem Marcysinej chusteczki — odpowiedziała Kośtalowa, składając niski ukłon.

W rękę trzymała wykrochmaloną chusteczkę panny młodój.

— Kliszę popsuła! — jęknął brunet. Kośtalowa obejrzała się dokoła.

— Jak Boga uwielbiam, nic nie ruchałam... jeno...

Dokończyć nie mogła, znalazła, się bowiem za drzwiami.

I rozpoczęło się znów pozowanie, poprawianie, układanie.

Pod Marcysia nogi drżały jak w febrze. Oczu roztworzyć wcale nie mogła.

Napróżno właściciel zakładu upominał ją, napróżno poseur żądał, a Franciszek rozkazywał, ona stała jak martwa, z powiekami zacisniętymi kurczowo. Czuła, że jeśli powieki rozchyli, strumienie łez z poza nich popłyną. Nie napróżno ją w gardle tak dusi. Ona wie, co to znaczy....

Bo jeszcze, żeby ją ten Franciszek za rękę nie trzymał — ale to przecież dziewczynie krew do głowy bije, kiedy ją „kawaler” za rękę ściska! Coś ją dławi i dusi... nie! oczu rozewrzeć nie chce, nie może!... Już niech ją tam te dyabły „podcinają ode wnętrza,” ona się choć na to patrzeć nie będzie.

— Raz, dwa, trzy, weselej, weselej. Jedna sekunda... coś klapło —

Franciszek

ścisnął rękę „żuny,” że aż kości zatrzęszczały i przestała oddychać...

Marcysia zacisnęła powieki, zęby ją zaboląły, w piersi tchu nie stało...

— Już! — zawołał poseur.

Franciszek porwał się z miejsca, uszczęśliwiony, rozpromieniony.

Chłopak w mary

narce zaczął z hałasem podnosić perkale i zasłony, poseur wraz z właścicielem znikli w czarnej otchłani. Marcysia jeszcze przyjść do siebie nie mogła.

A tu już przez otwarte drzwi wsuwała się Kośtalowa i Antek, blagujący jak zawsze.

— No i cóż? żyjeta? caliśta? Pokaż się, panna Marcysia! nie brak ci ta czego?

Ale Marcysia nie odpowiadała, wciąż przyklepiona do tekturowej kolumny, spocona i drżąca...

— Mięso hen się rozgotuje, a ten urwipoleć jeszcze nie wraca!...

I pani Franciszkowa z niedwuznacznym dąsem odsunęła garnek od ognia. Jakże nie ma być zła, kiedy to już pierwsza godzina wybiła dawno na wielkim, malowanym w różę zegarze. Choć to niedziela, ale właśnie Franciszek powinien uczciwie powrócić do domu i rosół zjeść jak człowiek, a nie czekać, aż wszystko makaron wypije.

— I gdzie się to włóczy?

Warsztat zamknięty—to się rozumie, jak pobożność każe; chyba do jakiego szynku po sumie załazł i z Antkiem się raczy. Bo choć

to już dwa tygodnie niby ode ślubu upłynęło, to jeszcze ciągle ci mężczyzniska" się fetują, gdzie się tylko spotkają.

Niby tak się cieszą z tego małżeństwa. Cieszyć się bo jest z czego.

I ona, Marcysia, raduje się bardzo, choć się tam do tego nie przyznaje,— ale raduje się pocichu, uczciwie, nie tam po szynkach, przy kuflu piwa.

Wreszcie, czego się cieszą inni? Antek naprzykład, albo Jan, stolarz, albo jeszcze inni? Tego Marcysia nie rozumie.

Kręci więc głową, ubraną w suto ugarniowany czepek z wielką perkalową różą na samym czubku, i nakrywa powoli stół czystą, grubą, różową serwetą. Potem ustawia fajansowe talerze, drewnianą solniczkę i słoik z chrzanem. Uśmiecha się nawet na widok chrzanu.

Ten „zatracony” mąż chrzan bardzo lubi.

Wróci pewnie znów podpiły i zje chrzanu cały spodek. Mówi, że mu to piwo wygryzie... A no, niech je na zdrowie, byle był wesół i do pracy zdatny.

A wesół jest—ciągle przyśpiewuje i żarty stroi, a robota pali mu się w rękę.

O, Marcysia nie spodziewała się, że on taki do wszystkiego sposobny.

Tylko coś dziś się spóźnia, i to dobrze nawet, choć wie, że ona tego nie lubi.

O, bo pani Franciszkowa już zdołała nieraz zaznaczyć, co lubi, a co jej się nie podoba. Franciszek jeszcze się trochę buntuje, ale Marcysia ma nadzieję, że on się „uchodzi.”

Wiadomo, w jej rodzinie baby zawsze przewodziły i nie dały sobie w kaszę dmuchać.

Ot i teraz gotuje się do gorącej rozprawy. Słyszy, że idzie, a hałasuje po schodach, że aż huczy. Śpiewa sobie nawet coś nieprzyzwoitego...

Marcysia mimowoli śmiać się zaczyna, ale całą siłą woli chmurzy się i robi zagniewaną minę. No, niechby mu tak pofolgowała odrazu, toby z nim potem do ładu nie trafiła. Wiadomo, mężczyzna to jak kura, co to jej dać grzędę...

Potokiem więc wymówek wita wchodzącego męża, ale on szybko jej przerywa:

— Cicho, pani majzdrowa; na ci frotografię, com ją od tych młynarczanek odebrał...

I z wielką dumą ustawia na stole małą wizytową kartkę fotograficzną, na której biała suknia Marcysi rozkłada się jak wielka jasna plama...
I cała ich nędza materialną ujawnia się na tym portreciku, nędza materialną i pustką moralną w wyrazie rysów zgrubiałych,

bezmyślnych, oszpeconych u Franciszka bezczelnością, u Marcysi przestraczem, nerwowo wykrzywiającym maskę jej twarzy.
Są śmieszni i biedni, stojąc tak po obu stronach kolumny, złączeni w sztywnym uścisku, jak dwie niezgrabne lalki na wystawie sklepowej. A jednak!...

Jednak, przyjrząwszy się im bliżej, wniknąwszy głębiej i serdeczniej w te biedne dwie plamy, źle wyretuszowane, niewykończone, nawet zamazane—można tam znaleźć coś, co pociąga, zniewala, rozrzewnia...
Mężczyzna z dumą najwyższą ścisną rękę dziewczyny i zdaje się rzucać w oczy patrzącemu:

— Wara!... To moja żona!..

Ona ma w sobie niewinność biednej, prostej dziewczyny, dla której wprawdzie świat nie ma tajemnic, ale kwiat pomarańczowy nie więdnie w dotknięciu tych dziewczęcych splotów.

I z nędzą, prostactwem, trywialnością, ciemnotą łączy się jakaś miłość wielka i dumą mężczyzny, czystość i niewinność kobiety...

Wszystko to mówi ta biedna, źle wyretuszowana fotografia, oparta o słoik z chrzanem i stanowiąca przedmiot uwielbień Franciszka.

Marcysia zachowuje się więcej zimno i nieufnie. Przygląda się fotografii bokiem i lęka się jej trochę.

Zawszeć to dzieło dyabelskie tak człowieka przenieść żywcem na papier. Tylko teraz jej nawet znajomy zakrystyan wytłumaczył, że grzechu niby w tem niema i nawet księża fotografować się chodzą.

Stawiając więc wazę na stole, zatrzymuje się chwilę i, nie przybliżając głowy, przypatruje się Franciszkowi i jego dewizce, która się nieźle na ciemnem tle wydaje.

— A to choroba, jak to wyszło! — mówi Franciszek—wszystko jest jak obstalowane... i buty i krawat, galantno, jak się patrzy.

Marcysia nalewa rosół. Makaron wypił połowę; twarz pani Franciszkowej chmurzyć się zaczyna.

— A slipie u mnie jak u wołu— ciągnie Franciszek,—bo ci też wytrzeszczyłem, nie tak, jak ty, co wyglądasz niby nieboszczka...

Zły humor Marcysi zaczyna wzrastać z każdą chwilą.

— Jedz oto! — mówi, potrząsając łyżką— i tak ten rosół do ludzi niepodobny.

Ale Franciszek ciągle żartuje.

— Bo ci tez potrza było te oczy zawierać? No, patrz, nikiem trupek taką masz gębę.

Marcysia wybucha:

— A to marność z tą frotografią! teraz se ślipia będziesz oglądał na tym dyabelskim rynstunku! I tak gdzieś się włóczyłeś cały ranek. A to ci los z takim chłopem!...

— Pewnie, że los — odpowiada Franciszek,—przynajmniej mam slipie, a ty ich nie masz, ślepaku jakiś!

I stoją teraz naprzeciw siebie: ona drżąca cała ze złości, on podchmielony, uśmiechnięty, wyzywający.

Pomiędzy nimi na obrusie czerni się fotografia.

— No i jakże będzie, pani majzdrowa, jak ja ramki galantne kupię i nad komodą, pod Zmartwychwstaniem, kole Napoliona powieszę? Powiedzą i dzieci i wnuki: to ci biedny człowiek, żonę ślepą miał!... Jak Boga kocham, ślepą!

Krokiem mazurowym posunął się ku żonie.

— Tak ci już wszyscy u Nakwaska na piwie mówili! Jak Boga kocham! A co ci to, Franek, żona oślepla? Biedny Franek, ze ślepakiem się zeszedł!... Na Marcysię ognie uderzyły.

Wyśmiewają się z niej, ślepakiem nazywają? A to zatracony mąż, co po szynkach żonę swoją obśmiewa!...

— Ja bo ślipia mam! —ciągnie Franciszek.

Ale Marcysia rzuca się jak szalona.

— Ano, nie masz, nie masz!—woła, chwytając fotografię ze stołu.

I szybko jak błyskawica porywa szpilkę, tkwiącą w kaftaniku, i dwoma pchnięciami wykala oczy portretowi męża.

Poczem ciska fotografię na stół i cofa się w stronę komina.

— Ach, ty zatracona! — woła Franciszek, lecz głos jego zostaje w tej chwili zagłuszony głośnym płaczem Marcysi, lamentującej na swej los, dołą i rozmaite inne przypadłości.

I oto dlaczego po dziś dzień w mieszkaniu państwa Franciszkowstwa wisi ponad komodą wspaniała ramka ze słomy, powiązanej włóczką. Ramka ta mieści w sobie dziwaczną fotografię dwóch istot, z których jedna ma oczy zamknięte, druga wyklute...

Niemniej przeto fotografia ta jest klejnotem rodzinnym i pan Franciszek z dumą na nią spogląda.

KONIEC.